



***BETHANY CAMPBELL***



***Zauroczenie***

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

Piaszczysta czerwona droga wiła się niemiłosiernie wśród tak gęstych drzew, że ich gałęzie tworzyły u góry strzępiasty baldachim. Dzięki niemu, mimo typowej dla czerwca w Arkansas spiekoty, promienie słońca prawie nie przenikały przez listowie.

Skraje drogi porośnięte były wysokimi paprociami. W pewnej chwili z lasu wybiegł jeleni i Kelly musiała ostro przyhamować, bo wyskoczył tuż przed jej dziapa, po czym zniknął po przeciwnej stronie drogi, w leśnym jarze. Serce Kelly załomotało. Jako mieszkanka miasta jeszcze nigdy nie widziała jelenia na wolności.

Droga teraz wiła się jakiś czas pod górę, aż nagle opadła stromo w dół. Tam Kelly ujrzała wreszcie żelazną pordzewiałą bramę, na której widniała tabliczka z napisem „Wstęp wzbroniony - Własność prywatna”. Kelly zatrzymała dziapa, choć brama stała otworem.

Oto i cały Jimmie, pomyślała, kiwając głową z politowaniem; umieścił napis „Wstęp wzbroniony”, ale nie zamknął bramy. Wiedziała, że ma nowego psa, bardzo łagodnego, który nigdy na nikogo nie szczeka.

Jimmie znalazł go kiedyś jako porzuconego szczeniaka, no i zabrał do domu, bo miał miękkie serce. W tym też objawiał się cały Jimmie: miał psa obronnego, który nie szczekał, tylko merdał ogonem. Psa karmił ktoś z sąsiadów, podobnie jak setki przybłąkanych kotów, przygarniętych przez Jimmie'ego. Kelly będzie musiała znaleźć tego sąsiada i mu podziękować. Będzie też musiała go powiadomić, co się stało z Jimmim. Żal ścisnął ją za gardło.

Jimmie był jej wujem. Odwiedził ją i jej matkę, Cissie, w Cleveland. Był trochę dziwakiem, kochanym człowiekiem, ale nieudacznikiem. Miał problem z piciem. Przyjechał do Cleveland, by jeszcze raz spróbować rzucić alkohol. Szło mu całkiem nieźle. Cissie i Kelly patrzyły na niego dumnie i pełne nadziei, że w końcu uda mu się zupełnie zerwać z nałogiem.

Którejś nocy jednak wielkoduszne i wrażliwe serce Jimmie'ego,

zawsze tak podatne na wzruszenia i cierpienie, po prostu przestało bić. Zmarł mając czterdzieści cztery lata.

Kelly Cordiner przyjechała więc do Arkansas, by uporządkować sprawy związane z jego małą posiadłością. Cissie nie było na to stać psychicznie, a poza tym nie mogła sobie pozwolić na długie zwolnienie z pracy w dziale dziecięcym biblioteki publicznej. Kelly miała natomiast wakacje. Była nauczycielką pierwszych klas. Siłą rzeczy więc jej przypadło w udziale owo trudne zadanie, choć przeżywała to wszystko podobnie jak matka.

Cissie była niemal pewna, że posiadłość Jimmie'ego nad jeziorem znajduje się w opłakanym stanie. Niemniej Kelly mogłaby posegregować rzeczy, wysprzątać dom, przygotować go na sprzedaż, a także przy okazji po prostu spędzić w nim wakacje. Niewiele będzie ją to kosztowało, a pomieszka sobie nad jeziorem, nacieszy się piękną okolicą, zamiast siedzieć w betonowym Cleveland, i spokojnie zajmie się pisaniem książki.

Moje książki, pomyślała Kelly niemal z przerażeniem. Miała dwadzieścia sześć lat i już wydała dwie książki dla dzieci. Mogłoby to wyglądać na obiecujący początek, ale nie zwróciło specjalnie niczyjej uwagi. Książki znikły jak kamień w wodę. Miała nadzieję, że trzecia - zbiór bajek o zwierzętach - zostanie w końcu zauważona. Pisanie było marzeniem dodającym jej sił.

Nacisnęła znów pedał gazu i samochód wjechał w otwartą bramę. W oddali, za ostatnim rzędem sosen, widać było ukochane jezioro Jimmie'ego. Spokojna błękitna tafla lśniła w słońcu. Kelly wciągnęła z zachwytem powietrze w płuca. Jimmie zawsze przysięgał, że to najpiękniejsze jezioro na całym bożym świecie i chyba miał rację.

Od linii sosen, w stronę zasypanego drobnymi kamykami brzegu, ciągnął się pas wysokich traw i polnych kwiatów, ocieniony tu i tam kwitnącymi mimozami, magnoliami i tulipanowcami. W miejscu tym jezioro było wąskie, a na jego przeciwległym brzegu wznosiły się potężne wapienne skały.

Wzdłuż brzegu stały trzy niewielkie domy. Wyglądały jak letnie domki, obecnie opustoszałe. Lecz Jimmie mieszkał w swoim przez

okrągły rok. Kelly udało się rozpoznać go bez trudu.

Podwórce pełne było różnych nie dokończonych przez niego rzeczy. Stał tam stary, nie zreperowany samochód, leżała do góry dnem łódka, którą powinno się odmalować, dalej wznosił się na wpół zbudowany kurnik bez kur, a jeszcze dalej znajdował się mały, nie wykończony suchy dok.

Krzewy nie przycinane, ogródek zapuszczony, zerwany sznur na bieliznę leżał na ziemi, bo zwałił się pał, do którego był przywiązany. A wśród całego tego bałaganu stał sobie mały brązowy pies w białe łaty. Patrzył na nadjeżdżający samochód z taką radością i tak zamasyście machał ogonem, że odnosiło się wrażenie, iż zaraz mu odpadnie. Tu i tam wylegiwały się koty - dwa szare, dwa żółte i jeden czarny w białe pręgi.

To bez wątpienia dom wuja, pomyślała Kelly. Był mały, szary, z ciemnoczerwonymi obramieniami, lecz - mimo panującego wokół bałaganu - wyglądał na dom w całkiem dobrym stanie.

Zastanawiała się, czy pies merda jak oszalały, dlatego że rozpoznaje warkot silnika starego džipa Jimmie'ego. Matka namówiła ją bowiem, żeby w tę daleką podróż do Arkansas nie wybierała się swoim małym sprintem. Nigdy tutaj nie była, bp Jimmie nikogo do siebie nie zapraszał, tylko sam odwiedzał je na północy. Dla Cissie więc Arkansas było południową górską dżunglą, po której dzikich terenach trudno jeździć małym autem;

Kiedy Kelly zatrzymała samochód i wysiadła, pies podbiegł do niej szalejąc z radości. Zaczęła drapać go za uszami, co tylko jeszcze wzmogło jego radość. Była to właściwie suczka, brzydka, mała, podobna do foksteriera, lecz naprawdę budziła sympatię.

Jimmie, Jimmie. Do oczu nabiegły jej łzy. Kto poza nim chciałby zrobić z tej małej zabawnej suczki psa obronnego? Nikt. Potrząsnęła głową ze smutkiem.

Pięć znudzonych kotów nie zwróciło specjalnie uwagi na jej przyjazd. Jeden ziewał sobie znużony, leżąc na nie dokończonym kurniku.

To tak żył Jimmie, pomyślała. Większość dorosłego życia spędził

na uboczu, poza Cleveland i innymi wielkimi miastami. Kiedy był w wojsku, trafił właśnie do Arkansas i zakochał się w nim.

Po wojnie w Wietnamie, w której brał udział, powrócił właśnie tu, by zapomnieć o tych wszystkich okropnościach. Tam w Wietnamie zaczął pić i stamtąd wywodziła się większość jego problemów. Został poważnie ranny, stracił nogę, miał ograniczoną władzę w jednej ręce i niedowidział na jedno oko. Żył z renty inwalidzkiej i czasami nieźle sobie dorabiał - kiedy oczywiście był trzeźwy i dopisywała pogoda - jako przewodnik wędkarzy.

Kelly stała i patrzyła na dostojne skały na przeciwległym brzegu. Tu Jimmie spędził swoje ostatnie lata i tu chciał pozostać na zawsze. Z tyłu dżipa, w małym kwadratowym puzdrze, były jego prochy.

Zawsze powtarzał Cissie, że chce, by po śmierci jego ciało spalono, a prochy rozrzucono po czystym niebieskim jeziorze w Arkansas, które tak kochał. To zadanie też miała wypełnić Kelly. Wydawało się jej ono najtrudniejsze i wymagało najwięcej hartu. Starła się zapanować nad swoimi uczuciami. Wiedziała, że ma taką naturę, iż wszystko głęboko przeżywa. Jedynym dla niej wyjściem było zachować zimną krew.

Weszła po dwóch betonowych schodkach na długi ganek. Pies pałętał się u jej nóg, nie odstępując na krok. Słyszała, że niektóre psy potrafią się uśmiechać, ale teraz dopiero zobaczyła to na własne oczy. Suczka wyszczerzała zęby w radosnym uśmiechu.

- Och, Jimmie, tylko ty mogłeś znaleźć uśmiechającego się psa. Tylko ty - powiedziała do siebie, usiłując się nie poddawać bólowi, którego ukłucie znów poczuła w sercu.

Wsunęła klucz w zamek i otworzyła drzwi. W zachodniej ścianie domu były okna wychodzące tylko na jezioro. W pokoju stało niewiele mebli lecz pod jednym z okien zobaczyła biurko, na którym po sprzątnięciu domu mogłaby ustawić swoją maszynę do pisania.

Rozejrzawszy się zauważyła, że sprzątanie nie będzie, niestety, łatwe i zajmie jej mnóstwo czasu, jako że wokół panował niesłychany nieład. Po kątach poniewierały się sterty starych gazet. Wszędzie leżały porozrzucane ubrania. W kilku miejscach pod

ścianami znajdowały się ustawione jeden na drugim kartony ze starymi puszkami, przeważnie po piwie, które wuj chyba chciał oddać do specjalnego punktu zużytych opakowań.

Wszędzie też zalegały stare czasopisma i książki, bo Jimmie, podobnie jak reszta jego nielicznej rodziny, uwielbiał czytać. Nie był czarną owcą rodziny, raczej zbłąkaną owcą i nigdy nie czuł się dobrze bez książek. Podobnie jak Cissie i Kelly.

Ale jakie to książki, pomyślała z niesmakiem Kelly, podnosząc jedną z nich. „Puszczanie krwi” Farleya Collinsa. Podniosła następną - „Tajemnicze opowieści z dreszczykiem”, wydane przez kogoś nazwiskiem Talon. Podniosła trzecią - „Księżyc wilkołaków” znów Farleya Collinsa. Odrzuciła ją z obrzydzeniem, jakby była brudna, a może nawet cuchnąca. Collins pozostawał jednym z najpopularniejszych autorów tego typu książek. Cissie i Kelly nienawidziły podobnego rodzaju literatury:

Biedny Jimmie przecież dość się napatrzył na okrucieństwo w czasie wojny, pomyślała. Po co jeszcze czytał o wymyślonych okropieństwach. Nic dziwnego, że pił, jeśli siedział tu sam i czytał te przygnębiające śmiecie. Stwierdziła też z oburzeniem, że przez takich jak Farley Collins, ona sama i inni pisarze, mający jakieś większe ambicje, nie mają po prostu szans na powodzenie. A Collins nie dość, że pisał beznadziejne opowiadania, to jeszcze szło mu to bez wysiłku. Co roku publikował nową powieść.

Tym trudniej było się z tym pogodzić, że jego książki naprawdę świetnie się sprzedawały. Kelly na swoich dwóch książkach zarobiła ledwie tysiąc dolarów. Dzieła Farleya Collinsa rozchodziły się w takich nakładach, że pewnie zarabiał tysiąc dolarów dziennie. To naprawdę straszne. Starła się jednak odpędzić niemiłe myśli. Obie z matką lubiły, kiedy wyobraźnia tworzyła piękne wizje, a książki miały szczęśliwe zakończenia.

Postanowiła zabrać się do sprzątnięcia. Dom musi błyszczeć, by znaleźć się na liście nieruchomości na sprzedaż. Musi to zrobić przez wzgląd na Cissie i w jakimś sensie przez miłość do Jimmie'ego. Będzie to jedna z ostatnich rzeczy, jaką może dla niego uczynić.

Kuchnia okazała się malutka. Stanowiła raczej kuchenny kąt z szafką pełną talerzy i kubków, z których każdy był inny. W łazience Kelly zobaczyła staroświecki brodzik. Prysznic, niestety, wymagał naprawy. Znajdowało się tam niewielkie okienko z widokiem na jezioro. Od razu jej się spodobało, bo wpadało przez nie słodkie powietrze pachnące mimozą.

Sypialnia była duża, lecz też panował w niej skandaliczny bałagan. Łóżko pozostawiono nie zasłane, obok na zdezelowanej szafce stał mały telewizor, ale przewód miał tak poszarpany, że Kelly bałaby się go włączyć do prądu. Zegar w, odbiorniku radiowym nie chodził, choć był włączony.

Pokiwała głową i przeciągnęła palcami po włosach, gęstych i ciemnych. Splotła ramiona i podeszła do lustra, by patrząc sobie w oczy uzbroić się w siłę i cierpliwość na to, co ją czekało.

Była wysoka, podobnie jak jej wuj, ale zbyt szczupła. Miała długie nogi i smukłą, niemal chłopięcą sylwetkę. Nigdy nie uważała swojej twarzy za zachwycającą. Brodę miała zbyt ostro zarysowaną, oczy zbyt głęboko osadzone, a nos zbyt zadarty. Jeśli coś uważała w sobie za ładne, to cerę, która była tak naturalnie brzoskwiniowa, że rumieniła się złotym blaskiem. Szaroniebieskie oczy ostro kontrastowały z jej odcieniem, jak również z lśniącymi kasztanowymi włosami.

Miała urodę nazywaną przez kobiety „uderzającą”, które to określenie uważała za taktowny unik słowny, mówiący właściwie tyle, że ktoś ma urodę nieprzeciętną, ale wcale nie jest ładny.

Kiedy czytała czy pisała, jej twarz przybierała marzycielski wyraz. Potrafiła być naprawdę serdeczna wobec uczniów, kiedy wymagali jej wsparcia, ale też surowa, gdy należało narzucić im dyscyplinę.

Ponieważ ubrana była w szorty obcięte z dżinsów i bladoniebieski podkoszulek, przed przystąpieniem do sprzątnięcia nie musiała się przebierać. Najpierw rozładuje samochód, a potem zabierze się do porządkowania tego bałaganu, postanowiła. Im wcześniej zaprowadzi tu porządek, tym szybciej będzie mogła się wziąć do własnej pracy, to znaczy do pisania książki. Tyle nadziei z nią

wiązała, że naprawdę przerażała ją możliwość porażki.

- No, do pracy - mruknęła do siebie, zbierając do tyłu włosy i związując je w węzeł. Spojrzawszy w lustro uśmiechnęła się. W takim uczesaniu, bez makijażu wyglądała naprawdę na stuprocentową nauczycielkę - młodą kobietę bardzo poważnie traktującą swoją pracę, osobę, której obca jest lekkomyślność.

Pierwszy szturm trwał trzy godziny. Zbierając porozrzucone ubrania Jimmie'ego, odczuwała ogromny żal w sercu, lecz przecież musiała to zrobić. W kuchni znalazła plastikowe torby, więc do nich spakowała ubrania.

Pies zwinięty na chodniczku obserwował ją, merdając ogonem i drapiąc się od czasu do czasu. Kelly zmusiła się do metodycznej pracy. Ściągnęła pościel, pozbiierała ręczniki i brudne ścierki i wszystko pochowała do plastikowych toreb.

Zaplanowała, że pojedzie do najbliższego miasteczka po środki czyszczące i jakieś zapasy. Potem odda do reperacji telewizor i zegar. Następnie pójdzie do pralni automatycznej. A później zanieśie wyprane ubrania Jimmie'ego do punktu Armii Zbawienia albo jakiegoś sklepu z używaną odzieżą. Nie będzie to łatwe. Odda też całą kolekcję jego okropnych książek, ale to nie będzie wymagało z jej strony żadnego wysiłku.

Dobre sobie, pomyślała, Jimmie kupował chyba wszystkie po kolei powieści Farleya Collinsa. Kiedy pakowała je do toreb, aż się wzdragła. Potem umyła ręce, bo czuła się jakby zbrukana samym dotykaniem tych książek.

W końcu džip został załadowany. Pies szedł za nią krok w krok. Najwyraźniej miał nadzieję, że też pojedzie. Kiedy wrzucała na tylne siedzenie ostatnią torbę z książkami, nagle poczuła, że chwytają ją w talii dwa mocne ramiona.

- Nie tak szybko! - usłyszała chrapliwy głos. Jakiś mężczyzna zaczął odciągać ją od samochodu.

Upuściła torbę i książki rozsypały się na trawie.

Napadnięto na mnie! - pomyślała. I w tym momencie obudziły się w niej prawidłowe w podobnej sytuacji odruchy. Rąbnęła z całej siły



mężczyznę łokciem między zębra. Jęknął z bólu, a wtedy uderzyła jeszcze raz, znacznie mocniej. On jednak tylko zaklął i przytrzymał ją mocniej.

- Do diabła! - wycedził przez zęby, obracając ją twarzą do siebie. - Kraść nawet książki? To już niesamowite!

Kelly spojrzała na szorstką twarz potężnego mężczyzny, ubranego w niebieską płócienną koszulę. Zbiegły więzień, pomyślała przerażona. Ogolony i ostrzyżony, ale to na pewno niebezpieczny człowiek.

Zamierzyła się na niego pięścią i już miała go uderzyć w szczękę, kiedy zaśmiał się i pchnął ją na dżipa, przypierając do niego tak, że nie mogła się ruszyć. Pochylił się nad nią. Ciemnoszare oczy błyskały gniewem.

- Mój Boże - powiedział z oburzeniem. - I jego ubrania? I telewizor? I dżipa? Gdzie on jest? Umarł?

Kelly prawie nie słyszała, co on mówi. Usiłowała go kopnąć, lecz mężczyzna jeszcze mocniej przycisnął ją do samochodu, zupełnie unieruchamiając. Chwycił ją za ramiona i potrząsnął.

- Wolnego! - ostrzegł, unosząc wymownie jedną brew. - Proszę mnie nie zmuszać, bym pani zrobił krzywdę. Niech pani odniesie po prostu wszystko z powrotem. Proszę zacząć od pozbierania książek.

Szare oczy wpatrywały się w nią z uwagą. Miały uderzająco zimny wyraz.

- Nawet go rozumiem. Przynajmniej tym razem ma młodą i ładną. Ale nie mieści mi się w głowie, dlaczego pani w to się wdała.

Ponownie nią potrząsnął, tak jak dorosły potrząsa wyjątkowo niesfornym dzieckiem.

- Niech pani nie próbuje mnie kopać ani bić, ani przede mną uciekać. Niech pani pozbiera książki. I zanieś wszystko na swoje miejsce. Biedak, znów leży pijany? - Nozdrza mu się rozszerzyły i potrząsnął głową. - Nie miałem pojęcia, że już wrócił. Zawsze tak jest. Zawsze udaje mu się poznać jakąś kobietę. I nigdy nie jest to ta właściwa. - Znów zaklął i po chwili puścił Kelly.

Patrzyła na niego przerażona, ale coś jej zaczęło świtać.

- Pan myśli, że ja kradnę? - spytała z niedowierzaniem. Rozcierała obolałe ramiona. Nie był specjalnie delikatny.

- Upija się - mówił dalej mężczyzna, nadal wyraźnie oburzony - podrywa kobiety, a one okradają go ze wszystkiego. Za każdym razem to samo. Nie pani pierwsza wpadła na ten pomysł. Proszę natychmiast pozbiierać książki. Natychmiast!

- Wcale nie mam zamiaru kraść tych śmieci! - warknęła, kopiąc najbliższą z książek, by okazać swoją pogardę. - Chciałam zabrać wszystko do miasta i tam to zostawić.

- Co to za traktowanie książki?! - wrzasnął. - Ma pani zamiar też pewnie oddać jego telewizor i dżipa? Ile forsy mu pani zabrała?

- Nie wzięłam żadnej forsy! W ogóle nic nie zabrałam. - Była tak wściekła, jak jeszcze nigdy w życiu. - A co to pana w ogóle obchodzi?!

Mężczyzna wziął się pod boki. Biodra miał wąskie, opięte dzinsami.

- To mój sąsiad. Dlatego mnie to obchodzi!

- To już nieaktualne! - wrzasnęła piorunując go wzrokiem. - On nie żyje. Zmarł dziesięć dni temu.

Wiedziała, że informację tę podała w sposób brutalny, chcąc ukarać go za to, że tak ją wystraszył, sponiewierał i nazwał złodziejką, co było niewybaczalne.

Zmienił się na twarzy. Kelly spostrzegła, do jakiego stopnia jej słowa nim wstrząsnęły i serce jej trochę zmiękło, ale nie złagodniała. Nadal bolały ją ramiona, a serce waliło jak młotem ze strachu i wściekłości.

- Tak - ciągnęła. - Zmarł w Cleveland na atak serca. W naszym domu. Jestem jego siostrzenicą.

Mężczyzna potrząsnął głową, usta wykrzywił mu grymas bólu.

- Jimmie nie żyje? Niemożliwe. Boże, miej go w swojej opiece.

Wpatrywała się w niego, nie ochłonawszy jeszcze z wściekłości. Zdjął ręce z bioder, twarz jego straciła wszelki wyraz. W jakiś przedziwny sposób wydał jej się przystojny. Miał proste, ciemne włosy, rozjaśnione pasmami przez słońce. Z jego twarzy o wyostrzonych rysach emanowała raczej siła niż piękno. Była to

naprawdę bardzo męska twarz, a szare, głęboko osadzone oczy pod łukiem ciemnych brwi spoglądały ironicznie. Jasnoniebieska koszula podkreślała miedziany kolor jego opalenizny.

Był potężnym mężczyzną, nic więc dziwnego, że tak łatwo udało mu się ją zupełnie unieruchomić. Wysoki, muskularny, o rękach jak ze stali. Miał szerokie ramiona, potężny tors i gruby kark.

Zaczął się przypatrywać Kelly równie uważnie jak ona jemu. Pies radował się, zachwycony odwiedzinami, a jeden z kotów ocierał się o jego wysoki but.

- Hm, chyba winieniem pani przeprosiny - odezwał się mężczyzna, wzruszając ramionami. - Bardzo przepraszam.

Mimo to na jego twarzy nie dostrzegła żadnej skruchy. Nie spodobało się to Kelly. Gdyby miał choć odrobinę przyzwoitości, padłby na kolana i błagał o przebaczenie. Był jednak tak chłodny i opanowany, że budził w niej coraz większą wściekłość.

- Oczywiście, że jest mi pan winien przeprosiny - rzuciła gniewnie. Nigdy w życiu nikt jej tak nie przestraszył.

Zerknął na nią z głupim uśmiechem.

- Wiedziałem, że ma siostrzenicę. A więc to pani jest tą małą Kelly. Zawsze tak o pani opowiadał, jakby miała pani nie więcej niż piętnaście lat.

- Bo miałam tyle, kiedy odwiedził nas poprzednim razem - odparła obojętnie. - A pan jest sąsiadem, który karmi jego cały zwierzyniec, sądząc po tym, jak pies szaleje na pana widok. Chyba więc powinnam panu podziękować, ale wybaczy pan, że tego nie zrobię... zdaje się, że lekko pan przesadził w swej obowiązkowości.

Podniósł rękę, jakby chciał ją ostrzec, i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Proszę, proszę - powiedział rozbawionym tonem. - Ja jednak kieruję się w życiu kilkoma zasadami. Po pierwsze, przepraszam za coś tylko raz. Tylko raz. Może pani przyjąć przeprosiny lub nie. Mogę jeszcze pozbierać książki, jeśli to sprawi, że poczuje się pani trochę lepiej.

- Nie bardzo potrafię nazwać to książkami - rzuciła Kelly.

- Ja natomiast uważam, że są całkiem dobre - odparł z niewzruszonym spokojem.

- Moim zdaniem to okropne śmiecie - trwała przy swoim, dla zasady nie chcąc ustąpić. - Ale oczywiście, proszę je pozbiierać, bo rozsypały się przez pana. Rzucił się pan na mnie jak jakiś psychopata.

Ukląkł powoli i zaczął podnosić książki, przypatrując się od czasu do czasu okropnym okładkom.

- Niech pani posłucha... - zaczął, nie patrząc na nią - może pani nic nie wie na temat swojego wujka i kobiet...

- Wiem, że miał kłopoty - przerwała mu. - I proszę mi oszczędzić szczegółów.

Podniósł głowę i posłał jej ironiczne spojrzenie.

- Następna moja zasada to nigdy nie oszczędzać szczegółów. Jedna z jego kobiet ukradła nawet pościel z łóżka. - Wrócił do zbierania książek. - Pościel z łóżka. Boże, te jego kobiety. Ani razu nie miał normalnej.

Kelly skrzyżowała ręce na piersiach, by poczuć się pewniej.

- Nie interesują mnie jego... jego niepowodzenia erotyczne. I proszę nie mówić źle o zmarłym.

Wstał Ocieżale i położył książki z tyłu dżipa.

- Nie mówię o jego niepowodzeniach erotycznych. Mówię o tym, jaki był samotny. Nienawidziłem patrzeć, jak ktoś go wykorzystywał.

- Jakie to szlachetne - rzuciła z sarkazmem. - Teraz więc napada pan na obce kobiety. Zadaje im pan ból, straszy je i obraża, zanim się pan czegokolwiek o nich dowie. Byłby z pana niezły pies obronny. O wiele lepszy niż ten... ten tu.

- Pani wuj miał poczucie humoru i nazwał psa Kieł. - Zerknął na nią spod półprzymkniętych powiek. - Pani, jak mi się wydaje, chyba go nie ma.

- Z całą pewnością mam ogromne poczucie humoru - odparowała. Po prostu nie miała ochoty ujawniać go przy tym mężczyźnie. - Normalnie nie przestają pękać ze śmiechu...

Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów.

- Może i tak - mruknął zdawkowo i wzruszył ramionami. - W każdym razie pies wabi się Kieł, duży szary kot - Rio, mały - Pielgrzym, ten puchaty żółty to Żujka, ten gładkowłosy - Podkayne, a nakrapiany

- Dinah. A ja nazywam się Zane Graye.

- Zane Graye? - Zmarszczyła czoło. - Tak jak ten pisarz?

- Prawie - odparł. - Jego nazwisko pisało się trochę inaczej. Mój dziadek lubił jego książki i dlatego ojciec dostał takie imię. A mój ojciec postąpił, niestety, podobnie, kiedy ja się urodziłem. Mieszkam tam, kawałek dalej. Dojazd albo drogą, albo wzdłuż jeziora. Jak pani woli. Hoduję kilka kur i parę wołów i mam aspiracje, by być farmerem-dżentelmenem.

- Może i jest pan farmerem - rzuciła przez zęby.

- Ale do dżentelmena to panu jeszcze trochę brakuje.

- Ach tak - zdziwił się, unosząc jedną brew. - To jednak rzeczywiście ma pani poczucie humoru. Podrzuciłem pani temat i od razu zrobiła pani z tego użytek. Świetnie. Co jeszcze mogę pani zaproponować?

Ładne rzeczy, pomyślała Kelly z niepokojem, teraz usiłuje ze mną flirtować.

- Mógłby pan mi darować trochę swobody i samotności - powiedziała tonem najbardziej belferskim, na jaki było ją stać.

Uprzytomniła sobie jednak, że nie wygląda na nauczycielkę i może dlatego on tak jej się przygląda. W czasie szarpaniny włosy jej się rozsypały i sięgały teraz ramion. W szortach jej długie nogi wyglądały na jeszcze dłuższe, a podkoszulek, mokry od potu po ciężkiej pracy, jaką wykonywała całe popołudnie, oblepiał jej ciało. Przez cały czas ciężko dyszała. Z nieukrywanym zainteresowaniem patrzył więc, jak falują jej piersi.

- Chyba powinienem dać pani szansę trochę ochłonać - powiedział z przekornym uśmiechem. - Jak długo tu pani zostanie? Tylko tyle, ile trzeba, by zrobić porządek i wystawić dom na sprzedaż?

- Nie wiem - skłamała, bo zmiana jego nastroju wywołała w niej niepokój. Poczowała się nagle zagrożona.

Zane jakby wyczuł jej rosnące skrepowanie i coraz bardziej mu się ono podobało. Iskierki w jego oczach wyrażały coraz większe zainteresowanie.

- Czy w ten niby grzeczny sposób chce mi pani dać definitywną odpawę i powiedzieć, bym tu nigdy nie przychodził?

- Chyba tak. To, co zaczyna się niedobrze, rzadko kiedy dobrze się kończy, panie Graye.

Postąpił krok w jej stronę. Przywarła do samochodu, bo choć niełatwo ją było przestraszyć, ten mężczyzna wprawiał ją w taki stan, jaki zawsze wydawał się jej niemożliwy. Serce waliło jej jak młotem, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- To, co zaczyna się niedobrze, czasami prowadzi do niezwykłego dalszego ciągu, panno...

- Nazywam się Cordiner - uzupełniła. - I nie wydaje mi się, bym jeszcze potrzebowała pańskiej „pomocy”. Czas się pożegnać.

- Niezupełnie - rzucił, postępując krok naprzód.

- Moim zdaniem będzie mnie pani potrzebowała z kilku względów. Będę pani potrzebny... i to zdecydowanie.

Zarumieniła się, bo powiedział to tak sugestywnie i miał taki ogień w oczach, że nie był w stanie tego zatuszować nawet pozornie swobodnym uśmiechem.

- Nie wydaje mi się — oświadczyła, podnosząc wyżej głowę.

Nie zwracając jednak na to uwagi, podszedł i musnął ręką jej podbródek. Dłoń miał wielką i szorstką, pełną nagniotków, lecz dotyk jej był delikatny i emanujący erotyzmem.

Serce Kelly przeszył dreszcz. Zbyt wiele przeżyć, pomyślała w panice. Opanuj się. Zalała ją dziś tutaj fala uczuć i jakby unosiła ze sobą. Dziewczyna wyprostowała się i znieruchomiła.

- Może mnie pani potrzebować z wielu powodów - mruknął z ironią. - Na przykład, pewnie przywiozła pani prochy Jimmie'ego. Chyba nie ma pani pojęcia, gdzie chciał, by je rozrzucić. A ja wiem. Może więc pani potrzebować mojej pomocy. Poza tym mam u siebie różne jego rzeczy. Tyle razy go wykorzystano i okradziono, że prosił, bym pewne przedmioty wziął na przechowanie. Między innymi mam

jego testament.

- Testament? - spytała niepewnie, bo dziwnie na nią działała bliskość tego mężczyzny, siła promieniująca z jego potężnej sylwetki, władczy dotyk. - Nie wiedziałyśmy, że zostawił testament - wykrztusiła.

- Myślałyśmy, że zmarł nie zostawiając testamentu. Mama to teraz sprawdza.

- No to już nie musi sprawdzać - rzekł Zane, podchodząc bliżej. - Testament jest, ale go nie znam.

Myślę jednak, że na pewno wszystko zapisał obu paniom. Chyba byłyście jego jedynymi krewnymi?

Przytaknęła ruchem głowy. Serce biło jej coraz szybciej.

- No więc widzi pani, musi się pani ze mną zobaczyć - oświadczył niemal szeptem. - I jeszcze jedno...

Pochylił się w jej stronę, tak że przez ułamek sekundy myślała, iż chce ją pocałować, ale on wyciągnął rękę i sięgnął po coś ze stojącego za nią samochodu. Była to jedna z leżących tam książek. Podał ją Kelly.

- Nazwała pani książki wuja śmieciami. A czytała pani chociaż jedną?

Kiedy musnął jej palce swoimi, przebiegł ją dreszcz.

- Nie - odparła, biorąc niechętnie książkę. - I tak by mi się nie podobała.

- Powinna pani postawić sobie za zadanie poznawanie nowych rzeczy, nawet takich, które mogą się pani nie spodobać. Zawsze trzeba liczyć się z niespodzianką. Mam wrażenie, że jeszcze pani nie zna wielu przyjemności.

I znów musnął jej twarz, aż zaparło jej dech.

- Do zobaczenia, panno Cordiner. Odwrócił się i ruszył w stronę otwartej bramy. Dopiero teraz zauważyła, że przy bramie stoi uwiązany koń - ciemnej maści, z wodzami, ale bez siodła. Aha, to dlatego nie słyszała, jak mężczyzna przyjechał. Miękki piach stłumił odgłos kopyt.

Przyglądała się, jak odwiązuje konia i wskakuje na jego grzbiet.

Odwraca się, patrzy na nią, uśmiecha się i odjeżdża galopem. Jakby był zrośnięty z koniem, jakby był centaurem.

Popatrzyła na trzymaną w rękę książkę. Okładka była czarna, a na niej srebrny tytuł „Jej demoniczny kochanek” i nazwisko autora: Farley Collins. Pokiwała w odurzeniu głową.

- Jimmie - mruknęła, jakby stał obok - kim jest ten mężczyzna? W co ty mnie wplątałeś?

Patrzyła zatroskana w ślad za Zane'em, lecz jeździec już zniknął jej z oczu.

Pomyślała, że to zbyt wiele przeżyć jak na jeden dzień. Żal i oburzenie, gniew i zaskoczenie. Zbyt wiele przeżyć i uczuć, musi nad nimi zapanować. Tak, zapanować.

RS



## ROZDZIAŁ DRUGI

Zane wjechał na pagórek, zwolnił i skierował konia w stronę głównej szosy, Poklepał wierzchowca po karku i uśmiechnął się. Ta siostrzenica Jimmie'ego to irytująca i odważna osóbka. Ma takie same jak Jimmie niebieskie oczy, ten sam krótki i prosty nos. Zastanawiał się, czy uśmiecha się też podobnie czarująco jak Jimmie, zaraźliwie, jakby za szeroko. Ale jeśli nawet tak, to pewnie nigdy nie będzie miał okazji się o tym przekonać.

Pokiwał głową. W porządku, może nie powinien był jej obezwładnić, lecz zrobił to odruchowo, pamiętając ubiegłoroczne zajście z kobietą, która usiłowała wrzucić do samochodu połowę rzeczy Jimmie'ego. To właśnie ona chciała ukraść nawet pościel. Do dziś pamięta, jaka była wielka, wysoka i ciężka. Kiedy zaczął się z nią mocować, rąbnęła go w zęby pięścią.

Tak naprawdę to jednak nie miał ochoty zastanawiać się teraz nad Kelly. Musiał się raczej przyzwyczać do myśli, że nie ma już Jimmie'ego. Miał nadzieję, że jego delikatna, niespokojna dusza znalazła w końcu ukojenie. Lubił go, bardzo go lubił. To za jego namową Jimmie pojechał do Cleveland, by ponowić próbę wydobywania się z nałogu, choć Zane miał wątpliwości, czy mu się to uda. Wietnam pozostawił na Jimmie'ego zbyt głębokie ślady.

Zane rozumiał go, bo sam brał udział w tej wojnie. Jimmie'ego wysłano tam jako młodziutkiego, idealistycznie nastawionego do życia chłopaka. Po raz pierwszy, na samym początku dziewięcioletniej wojny, został bardzo poważnie ranny oraz odarty ze wszystkich złudzeń.

Zane również był wtedy młodym idealistą, nawet młodszym od Jimmie'ego, i wzięto go do wojska dopiero pod sam koniec wojny. Też został ranny, lecz jego blizny nie było widać. Miał ją tuż pod sercem. Jeśli chodzi o idealizm, to również poważnie mu go tam nadszarpnięto, co zresztą teraz łatwo dawało się dostrzec.

Wyszedł z tej piekielnej wojny nastawiony cynicznie do świata, a

potem na dodatek w jego rodzinie zdarzyły się takie rzeczy, że prawie zupełnie przestał wierzyć w ludzi. Lecz w efekcie to wszystko sprawiło, że stał się silniejszy i twardszy. Jego zdaniem miał po prostu szczęście, że zmiany w nim poszły właśnie w tym kierunku. Jimmie był dobroduszny, zbyt dobroduszny. Naprawdę będzie mu go brakowało.

Przypomniała mu się Kelly. Chyba powinien był ją bardziej przekonująco przeprosić, lecz ta kobieta naprawdę go drażniła, czuł się przy niej jakby smagany pokrzywą. Wyrzuciła wszystkie książki Jimmie'ego, czyniąc to w taki demonstracyjny sposób. Przypomniał sobie, z jaką pogardą jedną z nich kopnęła, a to już było bardzo przykre.

I co takiego powiedziała? Że te książki to „okropne śmiecie”? Do diabła, kiedy to usłyszał, nie wahał się utrzyć jej trochę nosa. Właściwie to nawet sprawiło mu to przyjemność i miał zamiar wcale się tej przyjemności w przyszłości nie wyrzekać. Z drugiej strony zabawne, jak łatwo było flirtując z tą dziewczyną zupełnie zbić ją z tropu. Natychmiast zniknęło całe jej poczucie wyższości.

Nie, na pewno wcale jej się to flirtowanie nie podobało. Dlatego też Zane będzie ponawiał próby. Pociągały go jej długie, złotego koloru nogi, małe sterczące piersi i wystające kości policzkowe. A skórę, skórę miała naprawdę niezwykłą. Jak brzoskwinia. Aż by się chciało skubnąć jej odrobinę.

Drogę przebiegła mu para przepiórek. Wstrzymał odrobinę konia i okiełznał też swoje myśli. Owszem, Kelly Cordiner miała swoje plusy, ale nie stanowiła aż takiego łakomego kąska. Zbyt wysoka, zbyt szczupła, oczy zbyt stalowe. W ogóle była zbyt opanowana, we wszystkim. Co prawda bystra, ale nie dostrzegł w niej ani odrobiny ciepła i wrażliwości Jimmie'ego.

Ścisnął boki konia udami, by przyśpieszyć. Cudownie było się poddać rytmowi jazdy. Nie, pomyślał znowu, ta siostrzenica wcale nie jest taka śliczna. Oddałby ją i dziesiątki podobnych, żeby tylko Jimmie mógł znów być przy nim. Będzie mu go strasznie brakowało!

Kelly wmawiała sobie, że Zane Graye wstrząsnął nią tylko dlatego,

że tak ją zaskoczył. Tymczasem, mimo że minęło już kilka godzin i zdążyła wszystko załatwić w mieście, nadal czuła się wzburzona. Powtarzała sobie jednak, że to dlatego, iż jest tu sama, z dala od domu, i wciąż przeżywa śmierć Jimmie'ego. Brakowało jej poczucia bezpieczeństwa. Poza tym jak zwykle w lecie brakowało jej uczniów. W pracy nauczyciela to Właśnie było najtrudniejsze - rozstać się z dziećmi na dłużej.

No, ale ma tu przecież co robić, a rozmyślanie o samotności na pewno jej nie pomogą. Musi sobie narzucić dyscyplinę, tak jak zawsze uczyła ją tego matka.

Kupiła w miasteczku szczotkę na kiju do mycia podłóg i dwie torby żywności. Telewizor i radio zostawiła w naprawie. W pralni automatycznej zrobiła pranie wszystkich rzeczy Jimmie'ego oraz bielizny pościelowej i zawiozła wszystko do Armii Zbawienia. Zostawiła tam również wszystkie książki, z „Jej demonicznym kochankiem” włącznie.

Zane Graye, pomyślała wydymając usta, co to za imię i nazwisko. Ten pierwszy Zane Gray był jednym z najślawniejszych autorów piszących o Dzikim Zachodzie. Ten, którego poznała, wyglądał raczej jak kowboj, który zabłądził i wylądował na południu. Kowboj hodujący kury.

Owszem, do pewnego stopnia był atrakcyjny, jeśli komuś podoba się typ silnego, bezwzględnego mężczyzny, ale jej nigdy się tacy nie podobali. Taki był jej ojciec, który okazał się strasznym mężem i ojcem. Cissie rozwiodła się z nim, kiedy córka miała trzy latka. I przysięgła sobie, że już nigdy nie wyjdzie za mąż. Kelly wyrosła, słuchając bezustannych wyliczeń rozmaitych wad ojca.

Zacisnęła zęby i ruszyła w stronę domu. Zane nie był w jej typie, postanowiła więc się nie zmuszać, by go nawet odrobinę polubić. Nie miała ochoty znów się z nim widzieć. Będzie to jednak konieczne, bo są u niego rzeczy Jimmie'ego. Zabierze je więc i na tym sprawa się zakończy. Absolutnie nie był typem mężczyzny, który by ją pociągał fizycznie, intelektualnie czy duchowo. Oddałaby go i setkę jemu podobnych za to, by Jimmie mógł być znów przy niej. Kochany

**Jimmię, który odszedł na zawsze.**

**Wzięła się znowu do pracy: rozpakowała zakupy i zaczęła dalej sprzątać. Otworzyła szafkę w sieni i ku swojemu zdziwieniu znalazła tam jeszcze jedną książkę. Dziwne, musiała ją przeoczyć.**

**Książka była w twardej oprawie, ale miała znajomy tytuł wypisany srebrnymi literami. Serce podskoczyło Kelly do gardła. Przesunęła ręką po obwolucie i przeczytała tytuł: „Jej demoniczny kochanek”.**

**Dlaczego Jimmie miał dwa egzemplarze tej samej książki? Dlaczego jej wcześniej nie zauważyła? Uważała, że bardzo dokładnie przejrzała tę szafkę. Książka jakby celowo do niej wróciła, niby duch, który chce ją nastraszyć.**

**Nie bądź głupia, pomyślała, przestań być przesądna, zwłaszcza że jesteś w tym domu zupełnie sama.**

**Książka leżała w kącie szafki, łatwo więc było ją przeoczyć. Kelly otworzyła ją teraz z drzeniem i na stronie tytułowej zobaczyła ręcznie napisaną dedykację: „Jimmie'emu - od Farleya Collinsa”. Pod dedykacją był zabawny rysunek uśmiechniętej czaszki.**

**Nagle z książki wypadła jakaś kartka. Podniosła ją. Była to kartka na Boże Narodzenie. Życzenia napisano na maszynie: „Jim, nigdy nie rozumiałem, po co komu dedykacje na książkach, ale dla ciebie z przyjemnością to robię. Najlepsze życzenia - Zane.”**

**Kelly wrzuciła kartkę z powrotem pomiędzy stronice książki, zamknęła ją i odłożyła na stół. Nie bardzo wiedziała, co z nią zrobić. Książka w twardej oprawie, jeszcze z dedykacją, to coś zbyt wartościowego, by ją komuś oddawać. Poza tym dzięki dedykacji mogła stanowić dla Jimmie'ego bardzo cenną pamiątkę i może dlatego tak głęboko ją schował.**

**Tak bezceremonialnie obeszała się z resztą książek. A może powinna potraktować je z większym szacunkiem, choćby dlatego, że należały do wujka? A co ma zrobić z tą tutaj? Oddać Zane'owi?**

**Wzięła ją do ręki. Na obwolucie książki widniały fragmenty wspaniałych recenzji: „Mistrz horroru u szczytu możliwości”, „Magiczna porcja terroru i namiętności... rzuca czar na wszystkich**

miłośników Collinsa", „Autor osiągnął rzecz niemal nieosiągalną - piękną, a zarazem przerażającą powieść o miłości”.

Odwinęła skrzydełko obwoluty, na którym zazwyczaj umieszcza się zdjęcie i dane biograficzne autora. Znalazła tam jednak tylko lakoniczną notkę, że płodny autor pragnie pozostać w ukryciu. Że nikt nie widział nawet jego zdjęcia. Że jest podobnie tajemniczy jak jeden z fantomów, przewijających się przez jego powieści.

Jeśli odnosi takie sukcesy, pomyślała z ironią Kelly, to dlaczego chce pozostać nikomu nie znany? Gdyby jej się udało sprzedać miliony egzemplarzy własnych książek, byłaby z tego dumna. Collins musi więc należeć do tych ekscentrycznych pisarzy, którzy harują jak galernicy, by zyskać sławę, a potem nienawidzą jej - ze zwykłej przekory.

Idąc do sypialni, położyła książkę na szafce. Może powinna ją przeczytać, ze względu na Jimmie'ego? Nie, zdecydowała, nie będzie tego czytała. Nie czytuje byle jakich książek.

Była spocona i zmęczona. Miała ochotę na prysznic. Dobrze, że Jimmie miał jezioro - wielkie, czyste, falujące. Słońce jeszcze nie zaszło, niebo całe zalane było złotem i purpurą. Przecież może pójść popływać w jeziorze.

Włożyła kostium kąpielowy - bikini, którego dolna część była ciemnoróżowa, a górna czarna. Wsunęła nogi w chodaki i pobiegła na wysypany kamykami brzeg, z ręcznikiem Jimmie'ego zarzuconym na ramię.

Rzuciła ręcznik na pobliski pniak, zsunęła chodaki i weszła do wody. Słońce zapadało się w jezioro, rzucając na nie czerwony blask. Pies przybiegł za nią na brzeg i skakał jak szalony.

- Chodź do wody - zapraszała go Kelly. - Jest cudowna.

Pies jakby się namyślał. Zamoczył jedną łapę, ale natychmiast się cofnął, otrząsając się z obrzydzeniem.

- To tylko woda - zaśmiała się Kelly. - Zachowujesz się jak kot. Ktoś musi cię nauczyć, jak być psem.

Kieł jednak nie zwracał uwagi ani na jej zachęty, ani na złośliwości. Pozostał na brzegu, merdając ogonem.

Kelly stała zanurzona po uda, wpatrując się w zachodzące słońce. Nagle dobiegł ją przedziwny krzyk, jakby nie z tego świata. I zobaczyła ogromnego ptaka, ciemnogranatowego jak wieczorne niebo. Wyfrunął z zarośli, muskając wodę.

Wielka niebieska czapla, pomyślała z zachwytem. Cudowny ptak o skrzydłach rozpostartych na ogromną szerokość. Po chwili pojawiła się druga czapla i zaczęły razem krążyć nad wodą.

Dziewczyna nabrała powietrza w płuca i dała nurka. Wynurzyła się po jakimś czasie i płynęła, zachwycając się jeziorem i różowozłotym niebem. Skaty też były piękne o zmroku, zabarwione delikatnie ostatnimi promieniami słońca, a drzewa na ich szczytach stały jakby zaczarowane w głębokiej zieleni.

Och Jimmie, pomyślała, teraz cię rozumiem. Nic dziwnego, że uwielbiałeś to miejsce. Nic dziwnego, że nie chciałeś mieszkać w mieście.

Dopłynęła aż do skał na przeciwległym brzegu zakola i obejrzała się, by spojrzeć na „swoj” brzeg. Dom Jimmie'ego był niemal niewidoczny, zasłonięty krzewami i drzewami, pozostałe domki też. Wszędzie panowały spokój i cisza, jakby jezioro należało wyłącznie do niej. Zrobiło się jednak prawie zupełnie ciemno, postanowiła więc wracać.

Wyszła z wody, czując się wspaniale odprężona. Pies wiernie na nią czekał i powitał ją z radością.

- Zostawiłam cię tylko na chwilę - powiedziała do niego ze śmiechem.

Sięgnęła po ręcznik.

- Nie jest pani specjalnie mądra - usłyszała głęboki męski głos.

Zdumiona, odwróciła się, instynktownie zaciskając pięści. Księżyc już wzeszedł i w jego świetle zobaczyła potężną sylwetkę Zane'a. Siedział na powalonym drzewie.

- To pan! - wrzasnęła. Czy miał zamiar ciągle wprawiać ją w przerażenie? Co sobie wyobrażał? - Skąd pan się tu wziął? Od kiedy pan tu siedzi?

- Przypłynąłem łódką - powiedział łagodnym tonem. - Kiedy była

pani na tamtym brzegu. I naprawdę jest pani niemądra, bo nikt nie powinien się kąpać sam. Zwłaszcza w nocy.

Chwyciła ręcznik i okryła nim ramiona. Żałowała, że nie jest dłuższy. Majteczki kostiumu miały głębokie wycięcia aż do połowy bioder, przez co jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe. Sama obecność tego mężczyzny wprawiała ją w stan niepokoju. Czuła się nieswojo, stojąc tak prawie naga.

- Świetnie pływam - wycedziła przez zęby, okręcając się szczelniej ręcznikiem i wsuwając nogi w chodaki.

- Kiedyś zdobyłam mistrzostwo na uczelni.

- Jakiej? - spytał niedowierzająco. - I gdzie to się odbywało? W basenie? A to, moja droga pani, jest wielkie jezioro. Nie ma tu ratowników. Ktoś mógłby, na przykład, płynąć motorówką, wpaść na panią i po wszystkim.

Wprawdzie wieczór był ciepły, lecz Kelly niemal trzęsa się pod jego zimnym spojrzeniem. W mroku nie widziała jego oczu, ale czuła, że bacznie jej się przygląda. Światło księżyca pobłyskiwało w jego włosach. Padało też na szerokie ramiona, posrebrzało długie nogi.

Wstał i wzruszył ramionami.

- Mówię o tym całkiem poważnie. To naprawdę nie ma znaczenia, czy umie pani świetnie pływać. Wielu dobrych pływaków tu utonęło.

- Nie przypominam sobie, bym prosiła pana o radę

- odparła.

Znów poczuła niepokój w sercu. Opanuj się, opanuj się, powtarzała w myślach. Ten mężczyzna rzucał na nią jakiś szczególny urok. Nienawidziła tego uczucia. Starła się zachować absolutny spokój.

- Nie pamiętam też, bym pana zapraszała. Przyniósł pan testament Jimmie'ego?

- Tak.

- I pozostałe jego rzeczy?

- Przywiozłem wszystko. Uważałem, że powinienem to zrobić jak najszybciej.

- Więc proszę mi to dać - wyciągnęła rękę. - A teraz może pan

wracać do siebie. Już raz pan się tu zakradł.

Zlekceważył to, że trzymała wyciągniętą rękę. Przeniósł ciężar ciała na jedną nogę i wsunął kciuk za pasek spodni.

- Wcale się nie zakradam. Przypląnąłem tu całkiem jawnie. Problem w tym, że łódki po prostu nie słychać. To pani była zbyt zajęta udawaniem wydry w wodzie i dlatego mnie pani nie zauważyła. A ja siedziałem tu przez cały czas i pani pilnowałem. Na wszelki wypadek.

- Jak dotychczas jedynie pan powoduje dziwne wypadki w moim życiu. Mógłby mi pan w końcu dać rzeczy mojego wuja?

Podszedł do łódki i wyciągnął z niej plecak. Był wielki i ciężki, na pewno za ciężki dla niej.

- Zaniosę go pani do domu - mruknął, zarzucając sobie bagaż na ramię. - Jest w nim między innymi kolekcja kamieni.

Kelly westchnęła. Kolekcja kamieni. Jimmie miał dar kolekcjonowania bezużytecznych rzeczy.

- Dobrze, chodźmy - rzuciła niedbale i ruszyła przodem. - Ten głupi pies nawet na pana nie zaszczekał. Nieprawdopodobne.

Ruszyła przodem. Zane za nią, a pies krążył dookoła nich. Dlaczego potrafię sobie poradzić z klasą pełną sześciolatek, a nie mogę się uporać z jednym dorosłym mężczyzną?

Otworzyła drzwi i od razu popędziła do sypialni, by wciągnąć na siebie brzoskwiniowy szlafrok. Ciasno przewiązała go paskiem. W końcu poczuła się bezpiecznie. Teraz Zane może na nią patrzeć.

Kiedy stanęła w dużym pokoju, właśnie wchodził. Przemaszerował przez całe pomieszczenie i położył plecak na stole pod oknem.

- Dzięki - powiedziała, odrzucając mokre włosy do tyłu i krzyżując ręce na piersiach w oczekiwaniu, że Zane sobie pójdzie.

W tym niewielkim domu wydawał się jeszcze wyższy i potężniejszy. Miał na sobie te same dżinsy co przedtem, te same wysokie buty, ale inną koszulę - zieloną z krótkim rękawem, co jeszcze tylko podkreślało muskularność jego rąk.

Mierzył ją wzrokiem od stóp do głów - nogi w chodakach, fałdy



szlafroka, mokre, zlepione włosy. Miał kamienny wyraz twarzy. Stał tak przez długi czas patrząc na nią, aż zrobiło jej się nieswojo. To wszystko dzieje się ze mną nie przez Zane'a, tylko z powodu żalu po Jimmim, pomyślała.

- „Witam pana, proszę się rozgościć”, powiedziałaaby osoba miła dla sąsiadów, „Może napije się pan kawy? Naprawdę dziękuję, że zadał sobie pan tyle trudu”. No, ale już rozumiem, że pani nie jest miła dla sąsiadów.

W jego oczach pojawiły się błyski rozbawienia. Zorientowała się, że cieszy go jej zażenowanie. A to drań, po prostu ma niezłą zabawę. Nie chciała, by miał nad nią taką przewagę.

- Proszę więc usiąść - wykrztusiła tonem, w którym nie było ani odrobiny gościnności. - Mogę dać panu kawy rozpuszczalnej. Innej nie mam.

Uśmiechnął się. A więc udało mu się ją zaskoczyć. Miał zdumiewająco szczery uśmiech. Prawie ją rozbroił. Jakie to dziwne i paradoksalne. W tej samej chwili pożałowała, że poprosiła go, by został.

- Kiedy spotkam kobietę, która będzie potrafiła przyrządzić prawdziwą kawę, ożenię się z nią - powiedział. - Ale widzę, że z panią mi to nie grozi. Chętnie więc zostanę.

Usiadł na krześle jak kowboj na koniu. Odchylił się do tyłu, wsparł łokcie na oparciu krzesła i przypatrywał się Kelly, jak krząta się po małej kuchni.

- Może opowiedzieć pani o rzeczach, które są w plecaku? .

- Bardzo proszę - mruknęła opryskliwie i rzuciła mu niezbyt przyjazne spojrzenie. Znów sobie z niej żartował? Okropnie szybko zmieniały mu się nastroje.

- Drugi egzemplarz testamentu wujek pani zostawił u prawniczki. U pani Phoebe Carrington w Fayette-ville. Pomoże pani wszystko załatwić. - Zmarszczył brwi, pogłaskał psa i mówił dalej: - Co do pozostałych rzeczy, trochę potrwa, zanim wszystko pani opowiem.

Stała oparta o szafkę kuchenną, z ramionami skrzyżowanymi na piersi, całkiem opanowana. Światło lampy tańczyło w jego włosach,

jeszcze trudniej było jej więc odczytać wyraz oczu mężczyzny. Lecz, o dziwo, spoglądał na nią życzliwie. A może to tylko światło płatało jej takie figle?

- Dlaczego zrobił to pan po raz drugi? To znaczy, tak mnie przestraszył? Zakradł się łódką i czekał na mnie?

Wzruszył ramionami i nawet na nią nie spojrział. Patrzył w oczy psu.

- Nie mam pojęcia - rzucił od niechcena. - Może wydawało mi się, że to się pani należy? Po prostu odrobina przerażenia. Musi pani bardziej tu uważać.

- To żadne usprawiedliwienie - odparowała Kelly, odrzucając mokre włosy z czoła.

- Jak ktoś raz się sparzy, dmucha na zimne - powiedział, głaszcząc psa.

- Nie jestem dzieckiem - odparła dumnie. Od razu jednak pożałowała swych słów.

- Zdaję sobie z tego sprawę - uśmiechnął się rozbawiony.

- Niech pan przestanie - powiedziała poirytowanym tonem.

Wiedziała, że nie wygląda atrakcyjnie. Uprzytomniła sobie jednak, o co mu chodzi. Otóż na pewno mu się nie podobała, ale udawał, że jest inaczej tylko po to, by wprawiać ją w zakłopotanie. Po prostu droczył się z nią jak z dzieckiem.

Odwróciła wzrok w stronę okna. Jezioro iskrzyło się w świetle księżyca.

- A poza tym, jak już pani powiedziałem, przypląnąłem tu z podarunkami od pani zmarłego krewnego. Pani nie było w domu, pływała sobie pani jak syrena.

- Nieprawda, zakradł się pan i ukrył w ciemnościach - rzuciła nieco melodramatycznym tonem. - Zupełnie jak złodziej chodzący po nocy. Zakradł się pan i ukrył.

- Aha, świetnie to brzmi. Zakradł się i ukrył.

- Niech pan przestanie ze mnie żartować.

- A dlaczego? Bardzo mi się to podoba. A pani bardzo tego nie lubi?

- Bardzo. To nic przyjemnego - odpowiedziała dobitnie. -  
Podkradanie się do ludzi chyłkiem to naprawdę nic przyjemnego.

- A czy ja kiedykolwiek podczas naszej krótkiej znajomości dawałem do zrozumienia, że będę przyjemny albo miły? Co to w ogóle za słowa?

- Myślę, że lubi pan po prostu sprawiać ludziom niemiłe niespodzianki.

Uśmiechnął się do niej chyba jednym ze swoich najbardziej złośliwych uśmieszków. Zastanawiała się, jak przedtem jego uśmiech mógł jej się podobać.

- Owszem, lubię. Ale tylko w takim stopniu, w jakim sprawia im to przyjemność. Świat nie oferuje zbyt wielu przyjemnych chwil, ja więc usiłuję sprawić, by było ich więcej.

Czajnik zaczął zdecydowanie mrużyć, woda się gotowała. Po chwili Kelly napełniła kubki. Co to za niemożliwy mężczyzna? Jak Jimmie mógł z nim wytrzymać? Jak mógł mu ufać?

Postawiła oba kubki na stole, wzięła drugie krzesło i usiadła jak najdalej od gościa.

- A co tam jest w tym plecaku? - spytała z ironią. - Oczywiście oprócz kolekcji kamieni. Może włożył pan tam kilka ślicznych i miłych nietoperzy lub pajaków, by mi zrobić przyjemność?

- Och, nic pani nie rozumie - westchnął. - Nawet nie usiłuje pani zrozumieć. Nogi ma pani jak koń wyścigowy, ale umysł muła. - Wsunął rękę do kieszeni plecaka i wyciągnął z niej kopertę. - To jest testament. Pewnie będzie go pani wolała przeczytać w samotności.

- Dziękuję - powiedziała, rzucając mu krzywe spojrzenie. - Jestem pewna, że i tak pan wie, co w nim jest, bo Jimmie nigdy nie potrafił być zbyt dyskretny.

- Rzeczywiście wiem, ale proszę nie deprecjonować charakteru swojego wuja. Bo naprawdę potrafił dotrzymać tajemnic, jeśli było trzeba.

-Czyżby?

Otworzyła kopertę. Chciała się tylko upewnić, że wszystko zostało zapisane jej matce, tak jak zresztą być powinno. Miała nadzieję, że

Jimmie nie podjął jakiegś idiotycznej decyzji, jak na przykład zapisanie połowy majątku temu tu mężczyźnie, który podawał się za jego przyjaciela.

Szybciutko przeleciała wzrokiem testament, usiłując z prawniczego żargonu wyłuskać najważniejsze dla siebie informacje.

- Myślałam, że wszystko pozostawił mamie! - wykrzyknęła po chwili, poruszona. - A on część zapisał mnie. Nie powinien tego robić. Ona jest jego najbliższą krewną. Ona powinna wszystko dostać. I jeszcze mnie zrobił egzekutorem testamentu.

- Cóż, to przecież jego testament - odezwał się Zane.

- Najwyraźniej chciał pani też coś dać. Poza tym pewnie doszedł do wniosku, że pani będzie lepszym egzekutorem, traktując wszystko mniej emocjonalnie. No i faktycznie: żadnych uczuć.

- To bardzo miło z jego strony - powiedziała, zupełnie lekceważąc zaczepkę.

Z trudem powstrzymywała łzy. Naprawdę ogromnie ją wzruszyła szczodrość Jimmie'ego. Pozostawił jej jedną trzecią wszystkiego, co miał. Cissie otrzymała resztę.

- No więc wejdzie pani w posiadanie niezłego majątku... Ile pani zapisał? Jedną czwartą?

- Jedną trzecią - odparła, walcząc ze łzami. Zane to ostatni człowiek na świecie, któremu by chciała pokazać, że płacze. Potarła oko, jakby coś jej do niego wpadło.

- Aha, jedną trzecią - mruknął, otwierając plecak.

- Jedną trzecią tego, za ile zostanie sprzedany dom i grunty. Jeśli zostaną sprzedane. Bo to może potrwać. Przecież to okolica oddalona od skupisk ludzkich. Nie każdy lubi takie miejsca.

Kelly przytaknęła ruchem głowy. Wiedziała o tym. Sprzedaż domu może potrwać miesiące albo i dłużej.

- Należy do pani też jedna trzecia dwunastoletniego dżipa - rzucił, układając na stole kilka grotów strzał. - Podobnie jak jedna trzecia samochodu, który w ogóle nie jeździ, łódki, która nie pływa, i nie dokończonego kurnika. Oraz tej kolekcji grotów.

Kelly znów potarła oko. Ironiczny ton, jakim Zane mówił o

rzeczach Jimmie'ego, sprawiał, że wydawały się ostatnią nędzą. A tu przecież nie chodziło o to, jaką wartość przedstawiały, tylko o to, że Jimmie chciał oddać im wszystko, co miał. Usta jej zadrżały, musiała przygryźć wargę, by się nie rozplakać. Patrzyła tępo na kolekcję grotów. Nie znała się na takich rzeczach.

- Jest też tomahawk - rzucił Zane, kładąc na stole kamienne narzędzie. - I kawałki kwarcu. Ten stan słynie z zasobów kwarcu. Okazy Jimmie'ego są naprawdę wspaniałe. Wspaniałe, jeśli interesuje się pani koncepcjami i praktykami Nowej Epoki.

Kelly nie interesowała się ani Nową Epoką, ani kryształami i ich magią. Chciała tylko, by Zane skończył z tym ironicznym tonem, bo w końcu były to rzeczy, które Jimmie sobie cenił.

- Niech pani spojrzy na to - zauważył drwiąco. - Prawdziwy meteoryt. Znaleziony na polu pod Hog Eye, tu w Arkansas. To może być trochę warte.

Obok kawałków kwarcu położył duży czarny kamień o nieregularnych kształtach.

- Pod Hog Eye? - spytała podejrzliwie, dając mu do zrozumienia odpowiednim spojrzeniem, że nie ma ochoty na żarty.

- Przysięgam, że tak. To ładna miejscowość. A ten meteoryt... Jimmie był z niego bardzo dumny.

Kelly poczuła się nagle zupełnie wykończona, ogarnął ją też smutek. Żarty Zane'a z rzeczy, które Jimmie najbardziej sobie cenił, były ogromnie przykre, tym bardziej że tkwiło w tym ziarno bolesnej prawdy. Jimmie przeżył tyle lat, a właściwie co kochał? Nic, oprócz tego domku i kawałka ziemi. Nic, oprócz kilku kamieni. Zimnych, nieludzkich, obojętnych kamieni.

- Taka pani smutna, że tylko tyle pani zostawił?

- Nie, bynajmniej - odparła opryskliwie. - Chodzi o to, że tylko to kochał. Kilka kamieni.

Podparła się ręką. Patrzyła przez okno na jezioro, w którym połyskiwało światło księżyca.

- Nieprawda - zaprzeczył. - Kochał też swoje książki. Ale oddała je pani.

Siedziała sztywno, wciąż patrząc na połyskliwą tafelę wody.

- Kochał też panią i pani matkę. Kochał was obie, choć mam wrażenie, że wy go nie szanowałyście.

Przygryzła wargę. Zane miał rację. Często traktowały go z lekceważeniem. Jak mogły? Bo niszczył sam siebie? Naprawdę jednak kochały Jimmie'ego. Choć zdarzały się długie okresy, kiedy stosunki między nimi stawały się napięte za względu na jego picie.

- Pragnął, abyście go szanowały - ciągnął bezlitośnie. - Zrobiłby chyba wszystko, żeby was uszczęśliwić.

- To powinien przestać pić - rzuciła pragnąc, by już przestał mówić.

- Tego akurat nie był w stanie zrobić - rzekł prawie szeptem. - Proszę mi jednak powiedzieć, co by zrobiła pani matka, gdyby miała pieniądze? Duże pieniądze?

Kelly miała dość tych pytań i drażnienia się z nią. Łzy nabiegły jej do oczu, ale już ich nie ukrywała, tylko spojrzała wprost na Zane'a.

- Chciałaby podróżować. Ale o co panu chodzi? Czy to pana interes? Już dość, niech pan przestanie.

- A gdzie chciałaby pojechać? - zlekceważył jej prośbę.

- Na Hawaje - powiedziała ze złością. - Zawsze mówiła, że to raj. Niech pan posłucha, jestem zmęczona. I ciągle jeszcze przeżywam śmierć Jimmie'ego.

Podciągnął bliżej niej krzesło i pochylił się w jej stronę.

- A pani? - spytał z uśmiechem. - Co pani by zrobiła, gdyby miała pani pieniądze? O czym najbardziej pani marzy?

- Ja bym pisała - powiedziała dobitnie, - Rzuciłabym uczenie w szkole i pisałabym.

- Ach, prawda, Jimmie wspominał, że pani pisze, tylko nie pamiętam co. Zdaje się, że coś dla dzieci?

- Tak - odparła, lecz jej cierpliwość była na wyczerpaniu. Miała ochotę powiedzieć mu coś niemilego. - Tak, pisałabym. Lepsze książki niż te kicze Farleya Collinsa.

- Tak pani uważa? No więc niech się pani do tego zabiera - powiedział, biorąc jej rękę w swoją.

W drugiej ręce trzymał mały skórzany worek, wyszywany indiańskimi paciorkami.

- Co?... - Chciała wyrwać mu rękę z dłoni, lecz trzymał ją mocno.

- Tak, niech pani pisze te swoje książki, a mama niech pakuje walizki i szykuje się do swojego raju - powiedział tonem tak miłym, że Kelly aż znieruchomiała. - Jest pani bogata. No, może niezupełnie, ale prawie. Aha, wygodniej by nam chyba było mówić sobie po imieniu. Czy to pani odpowiada?

- Zgoda - wymamrotała oszołomiona. Przewrócił worek do góry dnem i wysypały się z niego błyszczące kamyczki, upadły na dłoń Kelly, potoczyły się na stół.

Patrzyła na nie zdumiona. Podniosła wzrok i spojrzała pytająco na mężczyznę.

- Co to?

- Brylanty - szepnął, zaciskając jej dłoń na roziskrzonych kamyczkach. - To brylanty. Oprócz wszystkiego innego odziedziczyłyście spory majątek w kosztownościach.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Ręka ściskająca jej dłoń była twarda i silna.

- Co? - spytała jeszcze raz zdumiona Kelly, patrząc mężczyźnie prosto w oczy.

Nadal uśmiechał się i jeszcze mocniej ścisnął jej dłoń.

- To są brylanty, a także szafiry i szmaragdy. Przebiegł jej po krzyżu zimny dreszcz. Nawet ucieszyła się że Zane trzymał ją za rękę.

- Ale skąd Jimmie miał takie kosztowności?

- Z Tajlandii - odparł, napawając się jej zdumieniem. - Był tam na urlopie w czasie wojny.

- Ale... ale... - nie mogła znaleźć słów - ale... jak...?

- Nie pytaj, Kelly - wyszeptał, wpatrując się w jej drżące usta. - Nie wiem. Powiedział mi tylko tyle, że z punktu widzenia prawa należą do niego. Wszedł w ich posiadanie w sposób legalny. Chyba wygrał je w pokera czy coś w tym rodzaju. Teraz są twoje i twojej matki. Zawsze tak je traktował. Jako spadek dla was, spadek, który na pewno będzie dla was zaskoczeniem. Wiedział, że w miarę upływu lat kosztowności te coraz bardziej zyskują na wartości.

- Ale dlaczego sam nie chciał ich spożytkować? - spytała, nadal nie potrafiąc pojąć całej tej historii.

- Kelly, Jim po prostu chciał, byście odziedziczyły po nim majątek, chciał wam coś zostawić. I tak zrobił.

- Nawet nie potrafię rozróżnić tych kamieni ani nie mam pojęcia, ile są warte - powiedziała, powtarzając w myśli: „Jimmie, przez cały ten czas byłeś bogaty? I oszczędzałeś to wszystko dla nas?”.

- On wiedział, ile są warte - poinformował ją Zane z uśmiechem. - Mówił mi, że około trzystu tysięcy dolarów.

Zadrzała. Jeśli wszystkie te kosztowności warte są trzysta tysięcy dolarów, pomyślała zupełnie ogłuszona wiadomością, to jej przypada sto tysięcy, a matce, która przez całe życie haruje i prawie nic z tego nie ma, dwieście tysięcy, czyli fortuna.



- Aha, tak, zgadza się - odezwał się nagle Zane, jakby czytając w jej myślach. - Chyba dokonujesz teraz obliczeń. Zgadza się, sumka całkiem, całkiem. Możesz wziąć sobie roczny albo nawet dłuższy urlop i zacząć pisać. Książki lepsze od powieści Farleya Collinsa. Jeżeli potrafisz.

Nagle puścił jej dłoń i wstał z krzesła.

- Jutro zawieź je do miasta i zostaw w sejfie. A dziś w nocy... no cóż, chyba pilnowanie kosztowności nie będzie ci spędzało snu z powiek.

Przełknęła ślinę. Dotychczas nie uświadamiała sobie, że zostanie tu sama, samotna kobieta na pustkowiu.

- Chyba że... - wziął się pod boki - chyba że poprosisz mnie, bym z tobą został. - Ton głosu miał żartobliwy, ale zarazem bardzo sugestywny. - Mówiłaś, że nadawałbym się na psa obronnego. Gwarantuję, że w razie czego bym się dobrze spisał. W łóżku też zwijam się w obwarzanek jak pies.

Propozycja ta zaskoczyła ją jeszcze bardziej niż kosztowności. Znów poczuła się zupełnie oszołomiona. Postanowiła więc się bronić, okazać gniew.

- Ponownie usiłujesz mnie nastraszyć. Dlaczego? Dlaczego nie zostawisz mnie po prostu w spokoju?

- Przecież mówiłem ci, że lubię straszyć ludzi. Oczywiście nieszkodliwie. A jeśli chodzi o to, bym dał ci spokój, to proszę bardzo, nie będę nalegał. Ale w obecnej sytuacji może jednak byłoby lepiej, gdybym tu został.

Zakłęła w duchu.

Sięgnął po plecak i zarzucił go sobie nonszalancko na ramię.

- Mimo wszystko nie chciałbym - ciągnął uparcie - żebyś się za bardzo wystraszyła. Wziąłem więc ze sobą śpiwór. I strzelbę. Urządę sobie obozowisko nad jeziorem i stamtąd będę cię pilnował.

Znów przełknęła ślinę. Nie chciała, by sobie myślał, że musi jej pilnować, ale też nie miała ochoty spędzić tu nocy zupełnie sama.

- Zwykle sama daję sobie radę - oświadczyła w końcu drżącym głosem. - Mogę porządnie się zamknąć i schować kosztowności.

Przecież nikt nie ma pojęcia, że je mam. A poza tym - uchwyciła się ostatniej deski ratunku - mam przecież psa.

Wybuchnął śmiechem.

- Będę na brzegu - powiedział. - Jak będziesz mnie potrzebowała, wystarczy, że zawołasz. I, nawiasem mówiąc, chyba sama wiesz, że nie masz psa, tylko to coś, co potrafi merdać ogonem i cieszyć się do nieprzytomności. A jakby się tu pokazali jacyś maruderzy, to nie zagłaskaj ich z miłości.

Odwrócił się i ruszył w stronę drzwi.

-No więc będę na brzegu. Jakbyś chciała, bym pojawił się bliżej... mogę bez trudu spełnić twoje życzenie - rzucił, zerkając na nią przez ramię.

- Wolę, byś pozostał jak najdalej.

- Świetnie, że pozbyłaś się wszystkich książek Collinsa, bo z pewnością dziś w nocy i tak nie mogłabyś ich czytać.

Otworzył na oścież drzwi i wyszedł w poświatę księżyca. Kelly patrzyła w ślad za nim. Oblizła wargi. W ustach jej zaschło, a serce biło jak szalone.

Wzięła mieszek i wsypała do niego z powrotem wszystkie kamienie, a potem zamknęła drzwi na klucz. Niestety, nie było na nich rygla.

Kolana uginały się pod nią, w głowie jej się kręciło. Usiadła przy stole i tępo zaczęła wpatrywać się w mieszek. Potrząsnęła głową. Bała się wyglądać przez okno, by nie zobaczyć ciemnej sylwetki Zane'a. W głębi duszy jednak czuła, że on dotrzyma słowa i będzie tam na brzegu przez całą noc. Ta myśl dodawała jej otuchy, a zarazem niepokoiła.

Owinęła się szczelniej szlafrokiem. Pies lizał ją po ręce.

- Piesku, skąd Jimmie miał te kosztowności? Dlaczego nie wydał pieniędzy na siebie?

Po głowie chodziło jej jeszcze jedno pytanie, którego jednak nie chciała wypowiedzieć na głos: Dlaczego Jimmie zaufał akurat Zane'owi?

Zane rozłożył śpiwór na brzegu, zdjął koszulę i ułożył się do snu.

Obok siebie położył strzelbę. Patrzył w stronę oświetlonych okien domku, aż światła zgasły.

Zdrzemnął się jak kiedyś w Wietnamie - sen był płytki, niespokojny. Ale nie śniły mu się dżungle Wietnamu, tylko długonoga nauczycielka. Stała przy nim w świetle księżyca, aż nagle zaczęła zdejmować szlafrok. Piękne, odrobinę za szczupłe ciało oblane było księżycową poświatą. Patrzył na nie przez długi, długi czas. Wreszcie otworzył zamek spiwora i przyciągnął dziewczynę do siebie. Ciało miała chłodne, jedwabiste, a usta gorące. Niecierpliwie szukały jego warg.

Był to jednak tylko sen.

Kelly obudziło głośnie pukanie do drzwi. Zupełnie nie wiedziała, gdzie się znajduje. Usiadła na łóżku i rozglądała się nieprzytomnie. Kilka promyków słońca przedarło się przez żaluzje, słychać było śpiew ptaków.

Przesunęła ręką po potarganych włosach. Aha, już wszystko pamięta. Pies pewnie z nią spał, bo pościel jest strasznie skłębiona. Pod poduszką znalazła miseczek z kosztownościami. A do drzwi pewnie puka Zane, który całą noc spędził nad jeziorem.

Wyskoczyła z łóżka, wrzuciła na siebie szlafrok i mocno zawiązała pasek. Kiedy otworzyła drzwi, stał w nich rzeczywiście Zane z poobtłukiwanym dzbankiem w ręku. Miał na sobie dżinsy, wysokie buty i czerwony podkoszulek. Twarz rozjaśniał mu uśmiech, a jedna brew unosiła się jakby drwiąco.

- Przyniesiono kawę, proszę pani - powiedział, podnosząc trochę wyżej dzbanek.

- Och, proszę, wejdz - odparła zrezygnowana. - Naprawdę spałeś tam przez całą noc?

- Za poduszkę miałem ziemię, za baldachim sklepienie nieba. Jezioro srebrne od gwiazd kołysało mnie swą muzyką przez całą noc. Krótko mówiąc, tak. Spałem świetnie.

Podszedł do stolika, postawił dzbanek i położył białą papierową torbę, którą trzymał w drugiej ręce.

- Pączki dla szanownej pani. Przyplłynęły ze mną wczoraj

wieczorem. Mam nadzieję, że miła pani lubi śmietankę?

Kelly skrzyżowała ręce na piersiach i stała patrząc na niego.

- Zawsze rano jesteś taki poetycki?

- Dlaczego pytasz? Czy to oznacza, że chciałabyś się budzić obok poetyckiego mężczyzny? Czy może obok niepoetyckiego?

- Przestań - rzuciła rumieniąc się. - Wiem, że mówisz takie rzeczy tylko po to, by wprowadzić mnie w zakłopotanie. Jeśli dalej chcesz ze mną w ten sposób rozmawiać, to lepiej sobie idź.

Patrzył na nią z takim napięciem, że policzki wręcz zaczęły ją palić. Zapadło milczenie. Cisza wręcz dzwoniła im w uszach.

- Na ogół rozmawiam tak, jak mi się podoba - odezwał się wreszcie. - Ale zapomniałem, że jesteś nauczycielką. Przywykłą do wydawania poleceń. Prawda, uszczypliwa panno? Chyba rzeczywiście mnie się boisz. Chyba w ogóle boisz się mężczyzn.

- Bynajmniej - rzuciła przez zęby. - Hm, uszczypliwa? Wcale się ciebie nie boję. Jeśli chcesz kawy, nalej sobie, bo ja idę się ubrać.

Wyszła z podniesioną głową, pozując na nieustraszoną. Drzwi łazienki zamknęła za sobą na klucz.

Zgrzytając zębami, zabrała się do mycia. Jak on może być taki szarmancki, pilnować jej, spać na ziemi nad jeziorem, przynosić rano kawę, a zarazem być taki denerwujący i beznadziejny? Czy te wszystkie dokuczliwe złośliwości stosuje tylko wobec niej? Co teraz sobie myśli siedząc sam?

Wypadła z pokoju turkocząc falbankami, pomyślał Zane. Już nie ma takich kobiet, co to turkoczą falbankami. To mistrzyni zapomnianej sztuki. Miał wątpliwości, czy jest mistrzynią w sprawach, które kilkakrotnie jej sugerował. Udawała taką wyniosłość, że niewątpliwie świadczyło to, że nie czuje się swobodnie przy mężczyźnie.

Szkoda, myślał podchodząc do szafki po kubki i talerzyki, bo naprawdę ładnie wyglądała, mimo że dopiero wstała z łóżka. Ciało ukryła co prawda pod fałdami grubego szlafroka, lecz jeszcze pamiętał je od wczoraj. Przypomniawszy sobie, jak ładnie Jimmie o niej kiedyś opowiadał. „Wygląda jak młode źrebię. Nogi ma po szyję.”

Cóż, teraz źrebie przeobraziło się w dorosłą, dumną, nieposkromioną klacz, ale nogi pozostały te same.

Nalał sobie kubek kawy, zaczął jeść pączek. Długonoga, o małych piersiach, szczupła. Na ogół takie kobiety nigdy mu się nie podobały. Nie wiedział więc, dlaczego właśnie ona go pociąga.

Poza tym charakter też miała zupełnie inny niż kobiety w jego typie. Dlaczego więc z nią flirtował? Była typową nauczycielką: sztywną, absolutnie opanowaną kobietą o zahamowaniach seksualnych. A ponadto miała okropne gusty literackie. Wzruszył ramionami. A jednak mu się śniła. Wspomnienie tego snu rozpałało mu krew.

Nie powinien jej dokuczać choćby dlatego, że była siostrzenicą Jimmie'ego. Ale nie potrafił się powstrzymać, bo na jej twarzy bezustannie malował się wyraz wyższości.

Drzwi łazienki się otworzyły i stanęła w nich Kelly, uczesana w piękny kasztanowy warkocz, który spływał jej na ramiona.

Nie zadała sobie trudu, by się umalować, co w pierwszej chwili go poirytowało, bo przecież cierpiała na tym jego męska próżność. Widać nie miała zamiaru stawać na głowie, by jak najlepiej dla niego wyglądać.

Wczoraj była w szortach, dzisiaj miała na sobie dzinsy, piękne nogi zostały więc zakryte. Duża trykotowa bluzka w czerwono-białe paski tuszowała jej sylwetkę. Tak, chciała się jak najbezpieczniej przed nim ukryć.

Kelly nie podobał się wyraz głęboko osadzonych szarych oczu, lecz usiłowała nic sobie z tego nie robić. Usiadła sztywno, nalała sobie kawy i wzięła pączek. Przyszło jej do głowy, że jedynym mężczyzną, w którego towarzystwie jadała czasami śniadania, był Jimmie. No i kiedyś, jeszcze w czasach szkolnych wpadali o tej porze koledzy. Ale to byli chłopcy, a nie mężczyźni.

-Dobrze spałaś? - spytał, uśmiechając się znad kubka. W tonie jego głosu rozbrzmiewała jakaś dziwnie intymna nuta.

- Jako tako - odparła krótko.

Nagle zdała sobie sprawę, że niewątpliwie prędzej znów zacznie

pracę w szkole, niż ponownie będzie siedziała naprzeciwko tego mężczyzny. Jakże mógł wydawać jej się pociągający? Cissie byłaby zdumiona. Ona sama była zdumiona. Zaczęła jeść pączek.

- Pies dobrze cię pilnował?

- Och, dajże spokój - mruknęła. - Sam wiesz, jaki jest. Nawet nie potrafię wołać na niego po imieniu.

- A co z nim zrobisz?

- Nie wiem. - Kelly posmutniała. - Nie mogę go zatrzymać. Moja mama ma uczulenie na sierść. Będę musiała komuś go oddać. No i te koty. W przeciwnym razie stałyby się wszystkie bezdomne. A tego bym nie zniosła. Przecież Jimmie je kochał.

- Jestem pod wrażeniem. Czyli masz odrobinę serca?

- Owszem, mam - rzuciła zniecierpliwiona. Ostatnio problem polegał na tym, że zbyt łatwo było to serce zranić. - Ale wiem, że niełatwo mi będzie znaleźć domy dla pięciu kotów i trochę dziwnego psa.

Nagle spojrzała na niego, jakby dokonała odkrycia.

- Przecież ty... ty możesz wziąć psa. I może jednego kota albo nawet dwa. Mieszkasz na wsi. Jimmie bardzo by się z tego ucieszył. A może wzięłybyś wszystkie koty?

- Ja? - spytał z kamienną twarzą. - Nie, dziękuję. Mam szopy. Zaraz pożarłyby te koty. A co do psa, to też bardzo dziękuję. Żle bym znosił stworzenie, które bez przerwy się cieszy.

- Przecież to bardzo kochana suczka.

- Owszem. I kochająca wszystkich. Kochałaby psychopatę, mordercę i równie dobrze zbrojnego. Nie wybiera. Ale ja niestety dokonuję wyborów. I jej nie wezmę.

Kelly westchnęła. Będzie musiała dać ogłoszenie do prasy. I powinno to być bardzo ładne i zachęcające ogłoszenie. Ogarnął ją smutek.

- Dlaczego wciąż mieszkasz z matką? - nagle przerwał jej rozmyślenia. Patrzył na nią znad kubka badawczym wzrokiem.

- Mamy sporo miejsca - odparła, wzruszając nonszalancko ramionami. - Z mojej pensji niełatwo byłoby mi zapłacić za coś

równie dobrego. Poza tym lubimy też swoje towarzystwo.

- I żadna z was nie lubi specjalnie mężczyzn?

- Słucham? - Kelly aż odłożyła pączek. - To chyba bardzo osobiste pytanie.

- W stosunkach z ludźmi jestem bezpośredni i otwarty. Po prostu zadałem pytanie. Jimmie mówił, że twój ojciec na zawsze zniechęcił matkę do mężczyzn.

Kelly ścisnęło coś w gardle. Ojciec był wysokim, przystojnym, czarującym mężczyzną. Ale okłamywał żonę, a kiedy pozwolił sobie zdradzić ją o raz za dużo, Cissie zdobyła się na to, by rozstać się z nim na zawsze. No więc odszedł na dobre, pewnie nawet zadowolony, że w końcu będzie mógł żyć swobodnie, bez zniewalających go więzów rodzinnych. Nigdy nie przesłał Cissie ani grosza na dziecko, wyjechał gdzieś na Zachodnie Wybrzeże i nie utrzymywał z nimi kontaktu. Nigdy też nie przysłał nawet kartki na Boże Narodzenie ani na urodziny Kelly. Zmarł przed pięcioma laty w Sacramento, w Kalifornii, a one dowiedziały się o tym dopiero w rok później. Kelly w ogóle nie zareagowała na wiadomość o jego śmierci. Dziewczyna, która całymi latami musiała pracować nad swoją wrażliwością i nauczyć się panować nad uczuciami, na wieść o śmierci ojca nie czuła nic.

Cissie wychowała ją zupełnie sama, toteż córka darzyła ją miłością, jaką zwykle dzieci obdarzają oboje rodziców. Była wobec niej też absolutnie lojalna. Jeżeli więc Zane ma zamiar krytykować jej matkę, to na pewno mu na to nie pozwoli.

- Moja mama - wycodziła przez zęby - przeszła z ojcem piekło. Kiedy się wyprowadził, ani razu nie dał znaku życia. Ani razu. Przez takiego człowieka każdy może wypalić się do końca.

Gniewny ton jej głosu powinien go przekonać, lecz on tylko spojrzał na nią ze znużeniem i powiedział:

- Tak, Jimmie mi o tym opowiadał. Żałował tylko, że tak się zupełnie odcięła od mężczyzn, że nigdy już nikogo nie miała. Po prostu było mu żal twojej matki.

- Moja mama jest całkiem szczęśliwa. Znasz zapewne

powiedzenie: „Kobiecie potrzebny mężczyzna tak samo jak rybie rower”? Cóż, tak to jest. Tobie się to na pewno nie podoba, burzy się przeciwko takiej prawdzie twoje męskie ja, ale kobiecie naprawdę nie jest potrzebny do szczęścia mężczyzna.

- Nie chciałem powiedzieć, że twojej matce był potrzebny - zauważył szyderczo. - Ale Jimmie po prostu się martwił. Ja się nie martwię. Może jednak miał trochę racji. No, nieważne. Obie z matką mieszkacie więc razem: bibliotekarka i nauczycielka?

Kelly zacisnęła zęby. Słowa Zane'a zabrzmiały jak nagana. Zrobił z nich jakieś dwie stare panny, które boją się mężczyzn i w ogóle życia.

- Tak, zgadza się. Bibliotekarka i nauczycielka. Przeszkadza ci to?

Odsunął kubek zdecydowanym ruchem. Pod podkoszulkiem widać było jego napięte mięśnie.

- W ogóle mi nie przeszkadza. Niby dlaczego miałyby przeszkadzać? Aha, i chcesz zostać pisarką? - dodał drwiąco.

- Już jestem pisarką - odparła z wyższością. - Wydano mi dwie książki. - Poczula jednak, że zabrzmiało to bardzo wyniośle, dodała więc: - Może nie sprzedano ich w nakładzie miliona egzemplarzy i może nie jestem sławna, ale jestem pisarką.

Udawał, że zrobiło to na nim wrażenie.

- Ojej, dwie książki? A mogę cię o coś spytać?

- Proszę. O co? - Patrzyła na niego podejrzliwie.

- O czym, do diabła, możesz pisać?

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- O to, że żyjąc w taki sposób, jak żyjesz, całkiem odcinając się od prawdziwego życia, a więc i od uczuć, o czym właściwie możesz pisać? Pisarz powinien być otwarty na nowe doświadczenia, a nie zamknięty jak w skorupie.

- Zapewniam cię, że potrafię czuć... I nie odcinam się od życia... Uczę... mam w klasie dwadzieścioro pięcioro dzieci, a to daje mi takie poczucie rzeczywistości, że o większe trudno. Patrzę, jak dzieci rosną, śmieją się, płaczą, cierpią... - Przez chwilę zastanawiała się, czy powściągnąć swój gniew, lecz zdecydowała tego nie robić. - A co tobie daje prawo, by mnie oceniać? Uczyć mnie, jaki powinien być



pisarz. Czyżbyś uważał, że masz zdolności literackie? Ceniąc Farleya Collinsa?

- Pewnie że lubię Farleya Collinsa - warknął. - Bo jestem Farleyem Collinsem, do diabła.

- Faktycznie, to całkiem możliwe - rzuciła gniewnie, jakby nie dosłyszała. - Taki facet jak ty rzeczywiście mógłby być Farleyem Collinsem...

Twarz jej pobladła. Patrzyła na wielkiego mężczyznę, jakby widziała go po raz pierwszy. Stała z otwartymi ze zdumienia ustami. Dopiero teraz dotarły do niej jego słowa.

- Nie wierzę - wydusiła z siebie w końcu. - Jakby to była prawda, to Jimmie już dawno by nam powiedział. Tyle razy opowiadał o tych wstrętnych książkach. Przecież by się pochwalił, że zna Farleya Collinsa.

- On o tym nie wiedział - warknął Zane i zaklął pod nosem. - Wiedział, że piszę, ale zachowywał się dyskretnie i o nic nie pytał. Na ogół trzymam to w tajemnicy. Mówię po prostu, że zajmuję się pisaniem westernów, ale nie podpisuję ich własnym nazwiskiem, żeby nie mylono mnie z tamtym Zane'em Grayem. W ogóle nie informuję znajomych, pod jakim nazwiskiem piszę. I tobie też bym nic nie powiedział, ale jesteś taka arogancka i pewna siebie, że niestety musiałem.

- I tak w to nie uwierzę - powtórzyła, patrząc na niego jak zahipnotyzowana.

Farleya Collinsa zawsze wyobrażała sobie jako jakiegoś pająkowatego stwora o przygarbionych ramionach, rzadkich przylizanych włosach i oczach błyszczących niezdrowym blaskiem. Wyobrażała sobie, że wcale nie wychodził na słońce, a niekiedy dopuszczał się takich dziwactw jak sypianie w trumnie. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że Collins może być potężnym i zdrowym mężczyzną, który lubi czasami łowić ryby, jeździć konno, pływać łódką czy strzelać.

- Naprawdę jestem Farleyem Collinsem - powtórzył. - I mogę to udowodnić. Nazwisko Farley zapożyczyłem sobie z mojego

ulubionego filmu „Nieznajomi w pociągu”. Widziałaś ten film?

- Tak. To film Hitchcocka.

- A kto grał główną rolę?

- Farley Granger - wydusiła z siebie zdumiona.

- A moją ulubioną powieścią z gatunku tajemniczych jest „Księżycowy kamień”. Czy wiesz, nauczycielko, kto ją napisał?

- Wilkie Collins - powiedziała automatycznie, czując, że robi jej się niedobrze.

- No więc widzisz. - Z oczu jego posypały się gniewne iskry. - To całkiem łatwe. Wychodzi z tego Farley Collins. Napisałem dwadzieścia dwie książki, a najlepszą z nich jest „Jej demoniczny kochanek”. Tytuł zaczerpnąłem z pewnego wiersza. Samuela Taylora Coleridge'a „Kubla Khan”. Znasz to?

- Tak. - Miała wrażenie, że powiedziała to niemal szeptem.

- Ja znam to całkiem dobrze - podkreślił z naciskiem. - Coleridge tak opisywał pewne czarowne miejsce:

Dzikię miejsce! święte i zaczarowane, jakie tylko pod sierpem księżycy nawiedzać może zakochana dziewczyna demonicznym kochankiem oczarowana.

Zane rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Jakbyś zachowała moją książkę, mogłabyś sprawdzić, że na jej początku są zamieszczone te słowa.

- Owszem, zatrzymałam ją - stwierdziła obojętnym tonem. - I sprawdzę.

Wstała, poszła do sypialni i wzięła stamtąd książkę. Usiadła w kuchni, zerkając na Zane'a podejrzliwie, otworzyła książkę i rzeczywiście na stronie poprzedzającej pierwszy rozdział znalazła ten fragment wiersza. Podniosła osłupiały wzrok.

- Nadal mi nie wierzysz? Dobrze. Otwórz na rozdziale pierwszym.

Otworzyła posłusznie i zaczęła czytać, a on jednocześnie mówił to samo z pamięci:

- „Tej nocy Serena śniła, że stoi w sadzie oblanym światłem księżycy. Trawa zasypana była płatkami kwiatów jabłoni, które wyglądały jak płatki srebrnego śniegu. Stara Cyganka Alma

opowiadała, że w sadzie tym mieszkały demony. Ich chichoty rozlegały się pośród księżycowej poświaty jakby z bardzo daleka, niesione na skrzydłach nocnego wiatru..."

Zane recytował dalej z pamięci, dokładnie, słowo w słowo tak jak w książce. Czasami przerywał i stwierdzał, że teraz inaczej by napisał jakieś zdanie, po czym mówił dalej.

Kelly ze zmieszania aż się zarumieniła.

- W porządku, teraz ci wierzę. Dlaczego nie powiedziałaś mi od razu? Nie nazwałabym tych książek tak... jak je nazwałam.

- Bo prawie nikomu o tym nie mówię. - Oczy zwęziły mu się jak szparki. - Lubię mieć swobodę w życiu prywatnym. A jeśli chodzi o ciebie, to jeśli myślisz tak, jak powiedziałaś, dobrze się stało. Po co miałabyś zachowywać się jak hipokrytka, jeśli uważasz, że moje książki to śmiecie.

- Ja... ja - zająknęła się, bo nie wiedziała, co odpowiedzieć. - Przykro mi, przepraszam - wyjąkała skruszona. Ale czy takie przeprosiny mogą wystarczyć?

- Nie musi ci być przykro.

Stał w malutkiej kuchni, która teraz wydawała się jeszcze mniejsza. Kelly czuła się przy nim jak karzełek. Zbierał się do wyjścia. Dlaczego nie zachowała się bardziej taktownie i nie trzymała języka za zębami? Lecz z drugiej strony przecież naprawdę nie lubiła ani nie ceniła podobnych książek.

- Jeśli chcesz coś zrobić, to możesz przeczytać moją książkę i podzielić się ze mną uwagami. Doceniam słuszną krytykę. Nie znoszę jednak tanich popisów ze strony tych, którzy nic mojego nie czytali, a wygłaszają miażdżące opinie. Najpierw trzeba wiedzieć, o czym chce się mówić. - I wręczył jej książkę.

- Posłuchaj, to po prostu kwestia gustu. Mój różni się od twojego. Nie lubię powieści z dreszczykiem, bo uważam, że na świecie jest dość okropności. Poza tym, po co straszyć ludzi?

- Mówiłem ci, że lubię straszyć ludzi. Naprawdę dobrze mi to wychodzi.

Zalała ją fala dziwnych uczuć, lecz właściwie nie bardzo wiedziała,

co czuje. Chyba jednak nie powinna się martwić, że go zraniła, bo raczej wygląda na to, że byłoby to niemożliwe. Jego „ja” było potężne i twarde jak granit. Odwróciła głowę, bo znów poczuła, że zaczyna być na niego po prostu zła.

- Mnie jednak nie potrafisz przestraszyć - rzuciła z pasją, lecz nie ośmieliła się spojrzeć mu w oczy.

- Naprawdę? - spytał stłumionym głosem. - Więc pozwól mi jeszcze raz spróbować. Bo łatwo zauważyć, co najbardziej cię przeraża. To dziecinnie łatwe. Przeraża cię najprostsza rzecz na świecie.

Wyciągnął ręce i ujął ją za ramiona.

Pod jego dotykiem Kelly aż znieruchomiła. Powoli podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy, w których błyskał jakiś chochlik. Stał tak blisko, że czuła na twarzy jego oddech.

- Niech się pani weźmie w karby, panno Cordiner - szepnął. - Zaraz będzie pani przerażona. Znam się na tym naprawdę dobrze.

Wziął ją w ramiona i patrzył jej długo w oczy, uśmiechając się wyzywająco. Kelly wytrzymała jego spojrzenie, choć serce biło jej jak młotem. Czuła się jak sparaliżowana, zahipnotyzowana. Nie opierała mu się, więc przyciągnął ją mocniej do siebie. Już się nie uśmiechał, patrzył jej w oczy z całą powagą.

Pochylił głowę i zaczął ją całować z takim żarem, iż rzeczywiście mogła się przestraszyć, gdyby nie było to takie słodkie.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przez chwilę Kelly próbowała się bronić, ale tylko przez chwilę. Rzeczywiście się przestraszyła, lecz nie bała się obezwładniającej siły Zane'a ani gorącego naporu jego ust. Przestraszyła się raczej swojej własnej reakcji, swoich uczuć, dreszczu, który przeszył całe jej ciało i skłonił do uległości.

Silne ramiona oplatały ją coraz mocniej, ciało mężczyzny wtapiało się w jej ciało. Muskularne uda jakby rozpałały jej własne, szeroki tors napierał na jej piersi.

Od ponad tygodnia, to znaczy od śmierci Jimmie'ego, czuła się smutna, zagubiona i zmęczona. Ostatniej nocy zasnęła tylko dlatego, że była naprawdę wyczerpana. Teraz znajdowała się w silnych ramionach mężczyzny promieniującego energią, porwana przez ciemne siły, dzięki którym życie wydawało się proste.

Lekko oszołomiona chciała poddać się tym siłom, chciała zostać uniesiona na wyspę przyjemności i ożywczych czarów. Czuła, jakby jego ciało ocierając się o nią obiecywało w nagrodę pełne odrodzenie. Całował ją tak namiętnie, w sposób wręcz doskonały, aż czerń zalewająca jej oczy roziskrzała się złotymi cętkami. Twarda, nieustępliwa szczęka i nie ogolone policzki przywierały do miękkiej skóry jej twarzy. Otwarte gorące usta wchłaniały jej wargi, zęby i język, który miał się nauczyć mówić bez słów.

Och, jakże przyjemnie jest w ramionach silnego mężczyzny, myślała, jakże ciepło, jakże cudownie być całowaną z taką namiętnością, że świat przestaje istnieć. Lecz nagle zadźwięczał jej w uszach głos matki: „Kelly, przestań!”. Pomyślała, że to, co robi, jest niebezpieczne i niemądre. Ten pociągający jak narkotyk dotyk mężczyzny to trucizna, która niemal zrujnowała życie Cissie i jej własne. „Kelly, uważaj na tę pułapkę”, mawiała matka, mając na myśli seks i miłość. Dziewczyna pamiętała wyraz oczu matki, kiedy mówiła o tych rzeczach, pamiętała jej wykrzywione urazą usta. Tym zapłaciła Cissie za miłość. Za miłość i oczarowanie seksem.

Dopiero teraz Kelly się przestraszyła naprawdę. Usta Zane'a na jej ustach wydawały się czymś tak naturalnym, a zarazem absolutnie niewłaściwym. Dopiero teraz powrócił strach, który towarzyszył jej przez całe życie. Czowała się jakby wpadła w ciemną czeluść.

Jej usta nagle przestały oddawać pocałunki, ciało stało się sztywne i chłodne. Zaparła się rękami o jego pierś i odepchnęła go z całej siły.

- Przestraszyłaś się? - szepnął jej nad uchem.

- Nie - odparła, usiłując uciec przed jego ramionami. - Poczulałam odrazę. Puść mnie, ty... ty sadysto!

Tulił ją do siebie jeszcze mocniej, aż uprzytomniła sobie, iż nie ma ucieczki, chyba że on jej na to pozwoli.

- Nie całowałaś mnie z odrazą.

- W ogóle cię nie całowałam - syknęła. - Puść mnie. Bo zaskarżę cię w sądzie. I obsmaruję w prasie. To jest napastowanie seksualne. To jest...

- No rzeczywiście - zaśmiał się. - Tym argumentem można ochłodzić zapalę każdego mężczyzny. A ja należę do szanowanych obywateli, zapewniam cię. Mówisz: sadysta? Nie znasz się. Sadysta to taki ktoś, komu sprawia przyjemność czyjś ból. Napastowanie? Też się nie zgadza. Bo trudno nazwać napastowaniem sprawianie komuś przyjemności.

Odepchnęła go jeszcze dalej.

- Puść mnie, ty dra...

Chwycił ją mocno za ramiona i odwrócił jej twarz ku swojej tak, by musiała spojrzeć mu w oczy.

- Nie mów nic, czego potem będziesz żałowała. Nie martw się. Nie będę cię zmuszał do niczego. Chyba że do tego, byś spojrzała prawdzie w oczy: wszyscy ludzie na tym świecie czegoś się boją. Ty, taka kulturalna i opanowana, boisz się prostych uczuć... tych, które wybiegają poza bezpieczny krąg, w jakim się zamknęłaś. Jimmie zawsze się martwił, że tak się z tobą stanie. Ton jego głosu, uśmiech pełen pogardy sprawiły, że nie była już przerażona, tylko wściekła. W głębi duszy wiedziała, że on jej nie skrzywdzi, ale bała się, iż

będzie chciał ją ukarać za jej zniewagi.

- Wyjdź stąd - rozkazała z bijącym sercem. - Co mój wuj widział w tobie...? Jak w ogóle mógł się z tobą przyjaźnić...?!

Położył jej palec na ustach, chcąc, by zamilkła.

- Nigdy w to nie uwierzysz, ale byliśmy ulepieni z tej samej gliny.

- Chyba żartujesz - zaśmiała się gorzko. - W ogóle nie jesteś do niego podobny. I nie rozumiem, jak mógł ci ufać...

- Ufał mi, bo wiedział, że może. - Uśmiech na jego twarzy zamarł nagle.

Trzymał ją teraz za jedno ramię. Mogła mu się wyrwać, odsunąć od niego, lecz nie zrobiła tego. Uważała, że nie pozwala jej na to duma.

Patrzyła mu w oczy, szare, niespokojne, o przedziwnych źrenicach, w których można było się zatracić. Kryło się w nich wiele tajemnic, sprzeczności, uczuć. Nie potrafiła się oprzeć wrażeniu, iż dojrzała w nich żal i trochę smutku.

- Przepraszam - rzucił po prostu.

Zrobił to całkiem niespodzianie, ale czuła, że on rzeczywiście żałuje.

- Nawet złamałem własną zasadę i przeprosiłem cię po raz drugi.

Dotknął dłonią jej policzka i lekko pogłaskał jedwabną skórę.

-Przepraszam, ale nigdy w życiu żadna kobieta mnie do tego nie doprowadziła.

Zaczął się bawić kosmykiem jej włosów.

- Miałem ochotę cię pocałować, kiedy tylko cię zobaczyłem. Ale broniłem się przed tym.

Kelly głęboko westchnęła. Zastanawiała się, czy on znów będzie chciał ją pocałować, a jeśli tak, to czy mu na to pozwoli?

- Nie bój się mnie, Kelly - powiedział cicho. - Nie musisz się bać. - Cofnął się aż do stołu. - Nigdy w życiu - wyznał, patrząc na nią poważnie - nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zranić kogoś, kogo kochał Jimmie. Owszem, mogłoby mi się to zdarzyć, ale przypadkiem, kiedy bym sobie nie zdawał z tego sprawy. Może ze złości lub na skutek pychy. Ludzie najczęściej właśnie dlatego

krzywdzą innych. Złość i pycha to nie najpiękniejsze cechy, ale niestety wyzwalamy je w sobie nawzajem.

Kelly stała, patrząc na niego w napięciu.

- Zawrzyjmy więc pakt - ciągnął. - Ty nie będziesz ubliżała moim książkom, a ja twoim. Ani nie będę mówił nic obraźliwego na temat twojego życia. Jakby Jimmie nas teraz zobaczył, na pewno od razu poszedłby się upić. Jeszcze tu wrócę. Mówiłem ci, że znam miejsce, gdzie sobie życzył, by rozsypać jego prochy. Dziś jestem zajęty, ale jutro wieczorem mogę cię tam zaprowadzić.

Nadal milczała.

- No więc od tej chwili każde z nas będzie się starało być obiektywne wobec drugiego. Nawet podczas krytyki, dobrze? - I jakby wznosząc toast podniósł dzbanek po kawie, po czym odwrócił się i wyszedł.

Podniosła odruchowo rękę do ust i podeszła do okna. Patrzyła na oddalającego się Zane'a. Szedł w stronę jeziora. Węgale Ogniska, które rozpałił w nocy, jeszcze dymiły, obok leżał śpiwór i łódka odwrócona dnem do góry.

Wargi Kelly wciąż drżały od pocałunków, krew jej pulsowała, na ramionach czuła dotyk silnych, gorących rąk.

Patrzyła, jak Zane szybko zasypuje tłące się węgle, pakuje swoje rzeczy, podnosi łódź i spuszcza ją na wodę. Odpłynął szybko i sprawnie, jakby wtopił się w jezioro.

Powiedział, że wróci. W głębi serca czuła, że mimo wszystkich złośliwości, jakimi go poczęstowała, naprawdę chciała, by wrócił. Choć wywracał jej świat do góry nogami, chciała się znów z nim zobaczyć. Ale co wtedy?

Przez cały dzień usiłowała przestać o nim myśleć, skupić się na robocie, której miała jeszcze mnóstwo. Kiedy się z nią jako tako uporała, włożyła jedną z przywiezionych sukienek - niebieską z krótkimi rękawami - i pojechała do Fayetteville spotkać się z prawniczką Jimmie'ego, Phoebe Carrington.

Była to niska kobieta w średnim wieku, szczupła, o brązowych oczach, bardzo rzeczowa. Od razu wyłuszczyła, co i jak należy zrobić.



Otóż ona sama zajmie się całą robotą papierkową, związaną z egzekucją testamentu. Procedura będzie długa, może trwać nawet pół roku, lecz postara się tak wszystko wstępnie załatwić, by Kelly mogła jak najszybciej wystawić na sprzedaż dom i pozostałe rzeczy.

Dziewczyna nic nie wspomniała o kosztownościach.

Podświadomie czuła, że tak będzie lepiej, skoro Jimmie przez tyle lat nikomu o nich nie mówił.

Wychodząc z kancelarii prawnej od razu skierowała się do jubilera, którego salon mieścił się przy głównym placu. Właściciel, pan Henion, był starym człowiekiem. Skórę miał jak pergamin, drżały mu ręce, lecz oczy wciąż błyszczały młodzieńczą inteligencją. Powoli oglądał przez lupę kamyk po kamyku. Kiedy skończył, spojrzał na Kelly bardzo poważnie.

- Młoda damo, pokazuje mi pani kosztowności, które naprawdę są wiele warte. Proszę na nie uważać. Proszę bardzo uważać.

Zdenerwowana i podekscytowana ruszyła do pobliskiego banku, wynajęła sejf i pozostawiła tam kosztowności. Następnie ruszyła do centrum handlowego, znalazła budkę telefoniczną i zadzwoniła do matki.

Kiedy opowiedziała jej o brylantach, Cissie oniemiała.

- Przechowywał w domu szlachetne kamienie warte trzysta tysięcy dolarów? spytała bez tchu. - A skąd je miał? Skąd wiesz, że są prawdziwe? Jimmie'ego każdy mógł oszukać. Był taki ufny. Miał je po prostu w domu? Przecież w każdej chwili ktoś mógł mu je ukraść! Niemożliwe, na pewno nie są prawdziwe.

- Ależ są, mamó - zapewniała ją Kelly. - Oglądał je jubiler. A Jimmie nie trzymał ich w domu. Przechowywał je sąsiad.

- Sąsiad?! - krzyknęła Cissie. - Nikt nie powierza sąsiadowi czegoś, co jest warte trzysta tysięcy dolarów! A kim jest ten sąsiad? Można mu ufać? Ja bym mu nie. ufała! Uważaj! A u kogo są teraz te... te rzeczy? Co to właściwie wszystko znaczy?

Kelly posmutniała. Im mniej będzie opowiadała mamie o Zanie, tym lepiej. Ale i tak słowa Cissie już w nią zapadły. Przecież matka powiedziała: „Nie ufaj mu”.

- Mamo, złożyłam kosztowności w sejfie, w banku.

- Nie ufam bankom - zaproponowała Cissie. - W czasach kryzysu dziadek stracił wszystkie pieniądze, bo banki zbankrutowały. Nie podoba mi się to. I kim jest ten sąsiad?

- Mamo, nie ma na świecie bardziej bezpiecznego miejsca niż sejf w banku - Kelly usiłowała odwrócić uwagę matki od Zane'a.

- Podpisałam wszystkie dokumenty i mam kluczyk. Nikt nie może się do tego dostać, bo kosztowności mogą być wydane tylko mnie, i to dopiero wtedy, gdy sprawdzą wiarygodność mojego podpisu. Poza tym sejf otwiera się tylko za pomocą dwóch kluczy: ich i mojego. Nikt więc nie może się do niego dostać.

- A co będzie, jeśli zgubisz swój kluczyk? - napierała Cissie. - I opowiedz mi o tym sąsiedzie. Czuję, że nic nie chcesz mi powiedzieć. Jimmie opowiadał o jakimś mężczyźnie. Nie chcę, byś miała do czynienia z nieznajomym. Może mu chodzi o pieniądze?

Kelly zazgrzytała zębami. Co jak co, ale ich pieniądze na pewno Zane'a nie interesowały. Z jej punktu widzenia był niebezpieczny z zupełnie innych względów.

- Posłuchaj, mamo. Przepisy banku są takie, że ty też musisz złożyć swój podpis na karcie depozytu. Wysłałam ci więc formularz, który szybko podpisz i odeślij. I dla ciebie też mam kluczyk. Wyślę go z drukiem.

- Skąd wiesz, że ten sąsiad to nie złodziej, szmugler czy ktoś w tym rodzaju? Może chce nas wrobić, by to było przechowywane na nasz rachunek? I może włamać się do banku w którymś momencie i wszystko się pokręci? Przecież nic nie wiemy.

- Mamo - zniecierpliwiona Kelly przesunęła palcami po włosach - uspokój się. Przestań myśleć kategoriami programów telewizyjnych zrobionych na podstawie kronik policji.

- Te programy są skandaliczne i wiesz, że szczycę się tym, że ich nie oglądam - wołała Cissie w podnieceniu. - Są beznadziejne i tanie. Ludzie powinni czytać wartościowe książki, a nie oglądać telewizję. Ale nie urodziłam się wczoraj i sama wiem, że na tym świecie są ludzie bez skrupułów.

- Mamo - starała się zdobyć na cierpliwość. - Nie denerwuj się, naprawdę. Klejnoty są prawdziwe, schowane w bezpiecznym miejscu i nikt nie może się do nich dostać. Bank zapewnia, że nie mieli jeszcze takiego przypadku. Nigdy.

-Ale nie ufaj temu sąsiadowi. - I nagle Cissie zmieniła temat. - A co z twoim pisaniem? Staraj się nie tracić czasu, tylko pisz. Po to między innymi tam pojechałaś. Wykorzystaj ten czas dla siebie, na ile się da.

Kelly usiłowała jej wytłumaczyć, że wszystko świetnie się układa, ale kiedy przypomniała sobie oczy Zane'a, dotyk jego rąk i smak ust, poczuła się okropnie.

- Uważaj na siebie - kończyła rozmowę Cissie.

- Uważaj, jeszcze raz uważaj.

Kiedy Kelly wróciła do domu Jimmie'ego, zauważyła zaparkowany wśród sosen jakiś obcy samochód. Był niewielki, brudny i stał niedaleko sąsiedniego domku, na którym widniał napis: „Na sprzedaż”.

Nowy mieszkaniec musiał usłyszeć warkot silnika dzipa Kelly, bo natychmiast otworzyły się tylne drzwi domku. Wyskoczyła z nich niewielka pulchna kobieta o kręconych włosach. Uśmiechała się od ucha do ucha i machała w kierunku samochodu. W lewej ręce trzymała drewnianą laskę. Kiedy za kierownicą zobaczyła Kelly, uśmiech zgasł na jej twarzy, ale pokuśtykała w stronę dzipa. Miała jakieś pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt pięć lat i lewą nogę w gipsie.

- Dzień dobry! - zawołała, przechylając głowę i bacznie przypatrując się Kelly. - Na pewno jest pani siostrzenicą Jimmie'ego, prawda? Te same niebieskie oczy, te same wijące się włosy.

Dziewczyna przytaknęła ruchem głowy. Wychowała się w mieście i nie przywykła do bezpośredniego, serdecznego stylu bycia nieznajomych. Kobieta miała słodziutki głos, który jakoś nie pasował do jej wyglądu, zwłaszcza do otwartej, pozbawionej urody twarzy.

- W ubiegłym roku byliśmy z Jimmim sąsiadami - ciągnęła uśmiechając się miło. - Bez przerwy opowiadał o pani i pani matce... chyba ma na imię Cissie? A pani Cathy, prawda?

- Nie, Kelly - odparła, starając się mówić uprzejmym tonem. -

Nazywam się Kelly Cordiner.

- Ależ oczywiście - zaśmiała się kobieta. - Kelly. Jak mogłam zapomnieć? Mała pisareczka Jimmie'ego. Taki jest z pani dumny. Nadal pani pisze?

- Tak, staram się.

Nie może to być, myślała, jedna z tych okropnych kobiet Jimmie'ego. Jest ze dwadzieścia lat od niego starsza. Robi wrażenie naprawdę zainteresowanej nim i jego rodziną.

- Ja nazywam się Mavis Pruer. - Kobieta serdecznym ruchem wyciągnęła do niej rękę.

Kelly wymieniła z nią uścisk. Mavis wyglądała na prostą kobietę, lecz bardzo zadbaną. Nic zdawało się nie umykać spojrzeniu jej bystrych jasnych oczu. Miała na sobie trykotową bluzkę i białe krochmalone szorty.

Mavis zauważyła zaciekawienie w spojrzeniu Kelly.

- Rozbiłam samochód i złamałam nogę - wyjaśniła.

- Ale nie przeszkodzi mi to w spędzeniu dwóch tygodni tu nad jeziorem. Nie potrafię bez niego żyć. Kocham to jezioro. Tak jak Jimmie.

- Och - mruknęła Kelly, bo zrobiło jej się nieprzyjemnie, że Mavis dostrzegła jej zaciekawienie. A poza tym wiedziała, że w końcu musi jej powiedzieć o Jimmie.

- A jak tam Jimmie? - nagle spytała Mavis z uśmiechem. - Gdzie się podziewa ten nicpoń? Poszedł na ryby?

Kelly postanowiła jej wszystko wyjaśnić. Kiedy skończyła, Mavis dobrą minutę stała oniemiała, patrząc na nią szeroko otwartymi oczami. Nagle zaczęła szlochać.

- No, no - Kelly poklepała ją po ramieniu, nie bardzo wiedząc, co robić.

Kobieta rzuciła jej się w ramiona i złożyła głowę na jej barku.

- Uwielbiałam go - łkała, nie mogąc się opanować.

- Po prostu go kochałam. Był najlepszym, najserdeczniejszym...

- Ja... ja - wyjąkała Kelly, ale udało jej się odzyskać równowagę. -

Pani Pruer, proszę się uspokoić. Miał naprawdę szybką i dobrą

śmierć. Zmarł we śnie. Jeśli już musiał odejść, to naprawdę miał spokojną śmierć.

- Biedny, nieszczęsny Jimmie - szlochała Mavis. - Miał takie ciężkie życie. No i ten problem z piciem. Wiedziałam, że i tak nie dam rady go przekonać, by przestał. Mój ojciec też pił. Człowiek tylko sam może się z tego wydobyć. Modliłam się, żeby podjął tę decyzję.

Kelly znów poklepała ją po ramieniu. Zrozumiała, że Mavis potrafi naprawdę współczuć innym.

- Tak jestem wstrząśnięta, że aż kolana się pode mną uginają - chlipała. - Możesz mnie odprowadzić do domu?

Wyciągnęła chusteczkę i zaczęła doprowadzać twarz do porządku. Ręka, w której trzymała laskę, drżała.

- Oczywiście, że tak - powiedziała Kelly, biorąc Mavis pod ramię.

Kiedy podeszły pod ganek, kobieta zaprosiła Kelly do środka.

- Proszę, niech się pani ze mną czegoś napije i porozmawiamy. Co za cios!

W domku pachniało stęchlizną, kurz wirował w promieniach słońca.

- Proszę siadać, bardzo proszę. Należę lemoniady. Proszę mi wybaczyć ten bałagan, ale przyjechałam dopiero dziś po południu i jeszcze nie sprzątnęłam. Nie ma Jimmie'ego. Nie potrafię w to uwierzyć.

Pokuśtykała do kuchni, wycierając nos. Opanowała się trochę, wyciągnęła z lodówki butelkę i nalała lemoniady. Kelly wzięła dwie szklanki i postawiła je na stoliku.

Wnętrze domku było właściwie jednym większym pomieszczeniem. Skierowały się w stronę dużej miękkiej kanapy. Kelly najpierw usadziła Mavis, a potem podała jej ze stolika szklankę i sama usiadła.

- Bardzo przepraszam za te szlochy - zaczęła Mavis. - Zawsze reaguję tak emocjonalnie. Mój zmarły mąż całe życie mi powtarzał, bym starała się być bardziej opanowana, mniej wrażliwa. Naprawdę przepraszam.

- Niech pani nie przeprasza - powiedziała Kelly, ale zarazem miała

nadzieję, że Mavis rzeczywiście już nie będzie płakała.

- Kiedy to się stało?

- Ponad tydzień temu. Zdecydowałyśmy z mamą, że ja tu przyjadę i wszystkim się zajmę.

- On tak bardzo was kochał. I taki był dumny, że pani pisze. Jakie tytuły mają pani książki?

- „Zagubiony miś” i „Mój kochany jednorozec” - odparła Kelly.

- Tak, czytał mi obie. Są śliczne. Takie słodkie i pocieszające.

Akurat do czytania dzieciom przed snem.

- Bardzo dziękuję - powiedziała Kelly, choć nie była pewna, czy miło słyszeć, że przy jej książkach łatwo się usypia.

Nagle zapragnęła znaleźć się u siebie, to znaczy w domku Jimmie'ego.

- Najbardziej na świecie pragnął pomóc pani wybić się zawodowo - powiedziała Mavis, pociągając nosem. - Chciał też zrobić coś dla pani matki. Mówił, że ma ciężkie życie. Takie nieudane małżeństwo. Pani ojciec po prostu nigdy się nie odezwał, prawda?

Kelly zeszywniała. Obie z Cissie wołały nie rozmawiać o swoich sprawach z innymi ludźmi. Szkoda, że Jimmie wszystko o nich opowiedział. Skinęła głową i usiłowała się uśmiechnąć, ale wspomnienie ojca nie bardzo jej na to pozwalało.

- No cóż - Mavis wzruszyła ramionami - dobrze więc, że przynajmniej Jimmie zatroszczył się o was. Mówił mi o testamencie. Że wszystko zapisał wam obu. Tak... myślę, że gdziekolwiek się teraz znajduje, na pewno jest szczęśliwy, że mógł wam pomóc.

Kelly przytaknęła ruchem głowy i zmusiła się do uśmiechu, ale nie powiedziała ani słowa.

- Oczywiście zna już pani testament? Kopia jest u jego prawniczki. U jakiejś panny Carrington czy Farrington w Fayetteville. Wie pani o tym, prawda?

- Tak, nazywa się Carrington - powiedziała Kelly, zdumiona, że Jimmie tak się zwierzał tej kobiecie.

- Tak, znam już testament.

- Miał też dla pań - tu Mavis westchnęła głęboko - miał też coś...

coś zupełnie specjalnego, coś bardzo wartościowego. Wie pani o tym? Niespodziankę. Coś, co trzymał specjalnie odłożone. Ma to pani? Czy jest to w bezpiecznym miejscu?

Kelly zamrugła nie wiedząc, co rzec. Rozumiała tylko tyle, że Jimmie musiał bardzo ufać Mavis, skoro powiedział jej o klejnotach.

- Tak. Wszystko dzisiaj zawiozłam do banku i zostawiłam w sejfie.

- To dobrze. Jimmie był dobrym człowiekiem. - Pokiwała ze smutkiem głową. - Ale ludzie go wykorzystywali. Zwłaszcza kobiety. Aż wstyd. Wszyscy tu pilnowaliśmy go, jak mogliśmy. No, ale... Powinna pani zobaczyć niektóre z tych, z którymi się zadawał.

- Mavis wzdrygnęła się z obrzydzeniem.

Kelly wpatrywała się w szklankę z lemoniadą. Układy z kobietami Jimmie'ego były, jak widać, wszystkim tu dobrze znane.

- Dlaczego powiedziała pani „my”? - spytała, unosząc jedną brew.

- No, chodziło mi o nas wszystkich, którzy tu przyjeżdżamy. Jedni w weekendy, inni na kilka tygodni. Mówię o właścicielach tych domów. I o takich jak ja, czyli tych, którzy je wynajmują. Całe lato będą tu przyjeżdżać.

Serce Kelly zamarło. Wprawdzie pustka dookoła dotychczas ją trochę przerażała, lecz z drugiej strony już ją polubiła.

- No tak, tylko że ja specjalnie tu w tym roku nie poszaleję. Ledwie się ruszam z tą nogą. Nie będę mogła chodzić na spacer, nie będę mogła pływać. Ale przynajmniej posiedzę sobie i poobserwuję ptaki. Uwielbiam tych naszych małych przyjaciół.

- Zna pani ludzi, którzy mieszkają nieco dalej? Poznałam jednego z nich, tego, który zajmował się psem i kotami Jimmie'ego. Nazywa się Zane Graye. Pomógł mi w tej całej sprawie z testamentem.

- Graye? - Mavis była lekko poruszona i skrzywiła się z niesmakiem. - Nie, nie znam go. - Jakby się namyślała, ile powinna powiedzieć. - To znaczy, szczerze mówiąc, wiele o nim słyszałam. Jimmie dużo o nim opowiadał. Chyba by nie chciał, żeby on pani pomagał. Ma swoją opinię.

- Jaką opinię? - Kelly aż przeszył dreszcz.

- No, opinię Don Juana. Chyba wie pani, co mam na myśli. Taka

ładna, młoda dziewczyna jak pani powinna mieć się na baczości. Tylko żeby mnie pani dobrze zrozumiała. W pewnym sensie Jimmie bardzo go lubił. Ale nie podobało mu się, jak Graye traktuje kobiety. Chyba po prostu uważa, że im ma więcej kobiet, tym lepiej. I nie robi tego z poczucia samotności, które na przykład bardzo ciążyło Jimmie'emu. Graye... no wie pani, należy do tych mężczyzn, którzy... no, jakby mają w sobie diabła.

Diabła? - pomyślała Kelly, a po krzyżu przebiegł jej zimny dreszcz. Może demona? Demonicznego kochanka?

- No i dała mu pani sobie pomóc? - spytała Mavis. - Tak - przyznała Kelly z poczuciem winy. Mavis patrzyła na nią przez chwilę, a potem celując w nią wskazującym palcem powiedziała:

- Może nie powinnam tego mówić, ale Jimmie chyba nie byłby z tego zadowolony. Proszę być ostrożną z tym mężczyzną. Bardzo ostrożną.

- Taki miałam zamiar - rzuciła Kelly niedbale.

- Wie pani... - ciągnęła Mavis - mogłabym o nim opowiedzieć tysiące historii. Wygląda na to, że jest podobny do pani ojca. Nie ma żadnego poczucia odpowiedzialności. Po okolicy biega niejedno jego źrebie.

- Źrebie? - Kelly nie miała pojęcia, o czym ta kobieta mówi.

- To znaczy, nieślubne dziecko - Mavis wymówiła te słowa powoli, jakby ich niestosowność narzucała specjalne wymagania temu, kto ich używa.

Kelly poczuła się tak, jakby poraził ją prąd. Jakby dach domu zawalił jej się na głowę. Graye ma nieślubne dzieci? Dopiła szybko lemoniadę i postawiła szklanke na stole.

- Lepiej już sobie pójdę - powiedziała, uśmiechając się z przymusem. - Dziękuję za lemoniadę. Niech pani nie wstaje. Sama wyjdę.

- Proszę wpadać, jak tylko będzie miała pani ochotę - powiedziała Mavis i uśmiechnęła się tak, aż oczy jej rozbłyły.

Kelly wyszła. Zane ma nieślubne dzieci? A ona, idiotka, zaczęła się nim interesować!



**Weszła do domu. W sypialni zaraz się rozebrała z niebieskiej sukienki. Zastanawiała się, w co się ubrać. I nagle wzrok jej padł na znajomą okładkę książki. „Jej demoniczny kochanek” - srebrne litery jakby pulsowały na tle czerni.**

**Wszyscy kazali jej dzisiaj uważać.**

RS

## ROZDZIAŁ PIĄTY

W końcu włożyła szorty i podkoszulek i znów zabrała się do sprząwania. Myła, zamiatała i szorowała w zapamiętaniu. Ale mimo to natrętnie powracały jej w myśli słowa: „uważaj, nie ufaj, bądź ostrożna, źrebie”.

Źrebie. Zane naprawdę miał nieślubne dziecko czy dzieci? Pani Pruer twierdziła, że był z niego niezły Don Juan, a czy miała powody, by kłamać? Kelly zdawała sobie sprawę, że gdy ją całował, całkiem mu uległa. Czy nie tak właśnie czuje się kobieta w ramionach uwodziciela, całkiem owładnięta pożądaniem?

Poza tym Zane był bogaty i sławny, choć w dość pokrętny sposób. Przecież wielu sławnych mężczyzn właśnie tak dzisiaj postępuje. Płodzą dzieci, ale nie czują się odpowiedzialni ani wobec kobiet, ani wobec własnych dzieci. Chcą wszystko mieć: kobiety, dzieci, bogactwo, władzę, wolność. Ale w zamian nie dają nic, chyba że swoją upajającą doraźną obecność. Kelly prawie wstrząsnęła się z oburzenia.

Nie myśl o nim, ostrzegęła sama siebie. Wyruguj go ze swoich myśli. Cissie ma rację co do mężczyzn. Zawsze miała rację.

Słońce zaczynało zachodzić. Ukośnie rzucane promienie złotego światła stwarzały niepowtarzalną atmosferę. Wyjrzała w stronę jeziora. Zane miał się dziś wieczorem pojawić, by ją zaprowadzić na miejsce, gdzie mają być rozrzucone prochy Jimmie'ego. Trochę się z tego powodu denerwowała, przebierając się po sprząwaniu. Powtarzała sobie, że musi być ostrożna.

Kiedy rozległo się pukanie do drzwi, serce aż podskoczyło jej do gardła. Starła się jednak opanować. Wzięła trzy głębokie oddechy, wyprostowała się i otworzyła drzwi z miną księżniczki, która ma wpuścić do swojej komnaty wieśniaka.

Na widok Zane'a serce znów jej załomotało. Był taki wysoki i barczysty, że zasłonił sobą cały widok na sosny i dęby.

Nie przypominał jej ojca, którego znała ze zdjęć. Ojciec bowiem

wyglądał chłopięc. Zane natomiast był uosobieniem siły. Ta siła umożliwia mu wykorzystywanie słabości kobiet.

Dobry Boże, ta kobieta naprawdę wygląda pięknie, na swój własny, osobliwy sposób. Czuł ściskanie w piersiach i lędźwiach, krew zaczęła mu pulsować szybciej. Kelly ubrana była bardzo stosownie: nie za elegancko, ale naprawdę ładnie.

Długie nogi opięte miała dzinsami, które nie były jeszcze sprane i miały odcień głębokiego granatu. Biała bluzka bez rękawów, z dekoltem obszytym koronką, podkreślała jej małe, jędrne piersi i wąską talię. Na nogach miała białe sandały, a włosy związała szeroką białą wstążką.

Smukłe ciało, gładkie ramiona i cudownie długie nogi - na pierwszy rzut oka jej sylwetka robiła wrażenie po chłopięcemu szczupłej. Lecz pamiętał, że kiedy trzymał ją w ramionach, była miękka, ciepła, po kobiecemu uległa. Wysoko sklepione kości policzkowe, mocno zarysowana szczęka i pewne spojrzenie sprawiały, że miała w sobie jakąś królewską dumę.

Wcale nie chciał dzisiaj myśleć o niej, ale było to ponad jego siły. Naprawdę idiotycznie postąpił, wymuszając na niej pocałunki. To nie było w jego stylu, a po drugie nigdy tak agresywnie nie domagał się pocałunków kobiety. Inne zawsze same dawały mu to, czego pragnął, a często, niestety, nawet więcej. Miał aż nadto kobiet, które zawsze znajdowały się pod ręką, zawsze chętne, pełne inicjatywy, wręcz uczipione jego ramienia.

Ta była inna i właśnie to go intrygowało i niepokoiło. Kiedy wziął ją w ramiona i zmusił do pocałunków, najpierw mu się opierała, a potem odpowiedziała naturalnie i ciepło. Zupełnie zawładnęła jego zmysłami.

Właśnie wtedy zrozumiał, że gotowa jest na miłość, głodna miłości, ale zupełnie jej jeszcze nie zna. Jak powinien zachować się mężczyzna wobec takiej kobiety? Uszanować jej niewinność i wycofać się? Czy nauczyć ją tego, czym jest miłość fizyczna?

Patrzył, jak wieczorne słońce błyska w jej brązowych włosach. Nie uciekała wzrokiem przed jego spojrzeniem, patrzyła mu prosto w

oczy. Jeszcze raz zmierzył ją od stóp do głów.

Prawie nie miała makijażu, tylko lekko uszmkowane usta. To rzeczywiście wystarczało. Błyszczące pełne usta odbijały wyraźnie od śniadej skóry.

Powoli, powoli, upominał sam siebie w duchu. Musi bezwzględnie pamiętać o dwóch rzeczach: że to siostrzenica przyjaciela i należy ją szanować oraz że on jej się nie podoba, a prawdę mówiąc, ona jemu też nie bardzo. Czyli nic ich nie łączy.

Była kobietą z miasta, ale niewinną i chyba jednak naiwną. On był cynikiem znad rzek, jezior i lasów i zarabiał na życie robiąc użytek z mrocznej strony ludzkiej natury, czyli tej, której nienawidziła. Zdawał sobie sprawę, że musi się trzymać od niej z daleka. Był pewien, że ta dziewczyna może ściągnąć na niego same problemy.

Kelly patrzyła na Zane'a przez długą chwilę, która wydawała się wiecznością. Usta miał zaciśnięte. Robił wrażenie ponurego, ale jeszcze raz zdumiał ją zmienny wyraz jego szarych oczu. Raz wydawało się, że igrają w nich iskierki ironii, to znów ukazywały coś niebezpiecznego, głodnego czy poważnego.

- Jesteś gotowa? - spytał krótko.

- Prawie - odparła i odwróciła się. Nie zaprosiła go do środka, choć wiedziała, że to niegrzecznie. Czowała się bezpieczniej, zapewniając sobie ten dystans.

Wróciła do sypialni, wyciągnęła szufladę i wyjęła z niej kwadratowe puzderko, owinięte w brązowy papier. Przytuliła je do piersi. Trudno było uwierzyć, że zawierało ono prochy istoty tak wrażliwej, skomplikowanej i szczególnej, jaką był Jimmie. Miała przed sobą ogromnie trudne zadanie, które zdawało się przerastać jej siły.

Wróciła do drzwi. Zane przytrzymał je dla niej, jednocześnie wypuszczając psa, który chciał iść z nimi.

- Zostajesz w domu - rozkazała mu stanowczym tonem.

Pies spuścił ogon i patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Weźmy go ze sobą - odezwał się Zane głosem nie znośnym sprzeciwu.

- To przecież bardzo uroczysta i poważna chwila. Trudno brać ze sobą psa, który będzie biegał, merdał ogonem i szczekał - zaoponowała.

- Ale Jimmie kochał tego psa. Przygarnął go. Niech teraz więc idzie z nami.

Może i ma rację, pomyślała.

- No dobrze, niech idzie - mruknęła.

Zane popatrywał na puzderko, które trzymała przy piersi, ale się nie odzywał.

- Dokąd idziemy? - spytała.

- Do Zatoki Niebieskiej Czapli. Musimy popłynąć tam łódką.

- Łódką? - spytała zdumiona. Nigdy w życiu nie płynęła łódką.

Skierował się w milczeniu w stronę brzegu. Długa srebrzysta łódź wciągnięta była do połowy na ląd. Bez słowa zepchnął ją na wodę. Kelly odruchowo przyglądała się jego mięśniom okrytym podkoszulkiem. Nagle wyprostował się i spojrzał na nią.

- No i co teraz? - spytała, próbując go wyczuć.

- Po prostu wsiadaj - rzucił tonem tak oczywistym, jakby już popełniła błąd, pozostając na brzegu.

- Ale jak? - spytała, patrząc na rozkołysaną łódkę.

- Zwyczajnie - wycodził przez zęby.

Zawahała się. Wreszcie zdecydowała się postawić jedną nogę na rufie, lecz wtedy dziób zaczął tańczyć. Ponieważ trzymała puzderko, nie mogła pomóc sobie rękami w utrzymaniu równowagi. Cofnęła nogę.

- Jeszcze nigdy nie wsiadałam do łódki i nie wiem, jak to się robi...

- Dobrze sobie. Jak ktoś, kto tak dobrze pływa, może bać się wody?

- spytał z ironią i zanim się zorientowała, chwycił ją na ręce jakby była dzieckiem, po czym w butach do konnej jazdy wszedł po łydki do wody.

Posadził ją na przedniej ławeczce i przytrzymał łódkę za burzę.

- Teraz zawołaj psa.

Nie podobał jej się ten rozkazujący ton Zane'a. Spojrzała na niego wymownie, lecz on patrzył w stronę brzegu. Dając więc za wygraną,

gwizdnęła na psa.

Kieł przybiegł na skraj jeziora i zatrzymał się, patrząc bezradnie i nie rozumiejąc zupełnie, dlaczego dzieli go od nich coś mokrego.

Zaczął się trząść.

- Piesku, wskakuj natychmiast - zniecierpliwił się Zane.

-Boi się wody.

Zane zaklął pod nosem, wrócił na brzeg i przyniósł przestraszonego czworonoga. Kiedy postawił go na dnie łodzi, pies zaczął merdać ogonem, ale bardzo niepewnie. Zane wskoczył w milczeniu do łódki, chwycił wiosło i kilkoma zdecydowanymi ruchami odpłynął. Z jego wysokich butów ciekła woda.

Przestraszony pies uciekł do Kelly i wskoczył na ławkę. Leżał przy dziewczynie cały rozdygotany.

- Co się z nim dzieje? - odezwał się w końcu Zane.

- Mówiłam ci: po prostu boi się wody. Dlaczego tak się złościysz?

Przecież to ty chciałeś, by z nami popłynął.

Kelly wyprostowała się, chcąc sobie dodać pewności siebie, bo łódź płynęła coraz szybciej. Czuła się tak, jakby mknęli po wodzie w jakiś tajemniczy sposób.

-To daleko stąd? - spytała, przytulając drżącego psa.

- Jakieś piętnaście minut drogi. A pies niech siedzi na dnie, bo może wypaść.

Usiłowała go zepchnąć z ławeczki, lecz jej się to nie udało. Biedak tulił się do niej coraz bardziej.

-Tylko Jimmie mógł wytrzymać z takim psem - rzucił Zane gniewnie.

- Tak, zgadza się, tylko Jimmie. - I jeszcze mocniej przycisnęła puzderko do piersi.

Zerknęła na Zane'a i zorientowała się, że niepokojąco się jej przygląda. Próbowwała zmienić wyraz twarzy ze smutnego na bardziej neutralny. Nie chciała być tak łatwo czytelna. Lecz nagle poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

- Może - zaczął Zane chłodno i jakby oficjalnie - opowiesz mi coś o swoim pisaniu. Nawiasem mówiąc, mam twoje książki od

**Jimmi'e'ego. Lecz jakoś nigdy ich nie przeczytałem. Książki dla dzieci nie należą do mojego ulubionego gatunku literatury. Powiedz mi coś o nich.**

**- Jestem pewna, że nic w nich ci się nie spodoba - odparowała Kelly. - Są optymistyczne. Nikt tam nikomu nie ścina głowy ani wampiry nie piją niczyjej krwi. Moje książki są dla dzieci i mają stwarzać im poczucie bezpieczeństwa. W moim pojęciu w ogóle książki istnieją po to, by ludzie czytając je mogli się poczuć lepiej.**

**Zane wzruszył ramionami i dalej spokojnie wiosłował. W końcu spojrzął na nią, sceptycznie unosząc jedną brew.**

**- W jakimś sensie masz rację. Bo książki są po to, by ludzie czytając je w ogóle zaczynali coś czuć. A gama uczuć dzieci jest tak szeroka, że dorośli nawet nie chcą brać tego pod uwagę.**

**- Skąd tak dobrze znasz dzieci? - spytała, kierując wzrok na skały. - Może trzymasz jakieś własne gdzieś w ukryciu?**

**Słowa te wymknęły jej się odruchowo i już ich żałowała. Nie powinno się głośno mówić o rzeczach, o których inni tylko szepczą.**

**- Nic mi na ten temat nie wiadomo - odparł niespodziewanie szybko i naturalnie.**

**Poczuła w sercu chłód, który zaczął się rozplýwać po jej całym ciele. Sprytnie jej odpowiedział. Zastanawiała się, co w podobnej sytuacji powiedziałby kiedyś jej ojciec. Czy też posłużyłby się nieszkodliwym i nic nie mówiącym żartem?**

**- A poza tym - ciągnął Zane - co za różnica, czy mam, czy nie mam dzieci. Przecież sam kiedyś byłem dzieckiem i jeszcze coś pamiętam.**

**Kelly tylko jeszcze mocniej przytuliła drżącego psa i patrzyła przed siebie na jezioro.**

**- I z pewnością nie byłeś ot takim sobie przeciętnym dzieckiem. Całymi dniami pewnie bawiłeś się małymi plastikowymi gilotynami i wkładałeś do ust wielkie, białe, plastikowe kły.**

**- Niestety, muszę cię rozczarować, bo byłem tak typowym dzieckiem, że zanudziłbym cię na śmierć. Wychowałem się w małym miasteczku w stanie Missouri. Mój ojciec był policjantem, a mama nauczycielką w szkółce niedzielnej. Nauczyli mnie wierzyć w**

prawdę, sprawiedliwość, dobro, szczęśliwe rozwiązania i w to, że cnota zostaje nagrodzona. Jednak nawet wtedy czułem, że życie do tego się nie ogranicza. Tak, przeczuwałem, że na tym świecie istnieje prawdziwe zło... Nazwij to jak chcesz, ale ono i tak istnieje. Dzieci nie daje się tak łatwo oszukać... Ani nie dadzą rady zrobić tego ludzie, ani książki. - Mówił to z taką goryczą, że Kelly patrzyła na niego zdumiona.

- Twoi rodzice nie chcieli cię oszukać, chyba wiesz o tym. Po prostu chcieli cię ochronić, jak wszyscy rodzice. Chyba nie masz do nich o to pretensji.

- Nie mam żadnych pretensji - rzucił niecierpliwie, wytrącony z zamyślenia. - Po prostu jest mi ich żal. Bo siebie też oszukiwali.

- Nie rozumiem.

- No, mój ojciec uważał, że świat jest przy zdrowych zmysłach i powinno się w nim przyjemnie żyć. W końcu jego praca polegała na pilnowaniu i przywracaniu porządku. Ale niespecjalnie mu się to udało, bo postrzelono go, gdy ja miałem osiemnaście lat.

- Postrzelono? - Przeszył ją zimny dreszcz i przytuliła do siebie psa. Czy to właśnie gwałt dokonany na ojcu wpędził Zane'a w mroczny świat?

- To przecież grozi każdemu glinie - wycodził. - Ojciec którejs nocy zatrzymał na skraju miasta jakiś samochód spoza naszego stanu. Brakowało mu po prostu tylnych świateł. Ojciec podszedł upomnieć kierowcę i w tym momencie strzelono do niego. Dwukrotnie. Po prostu. Byli to jacyś drobni przestępcy, poszukiwani za oszustwo i malwersację. Zostawili ojca przy drodze jak psa. Nie umarł, tylko już nigdy nie mógł chodzić.

Zane opowiadał z ponurą twarzą, usta miał jakby ściągnięte. Dziewczyna patrzyła na niego pytającym wzrokiem, a jej serce przepełniało współczucie.

- Złapano ich - ciągnął. - Byli to mężczyzna i kobieta. On dostał dziesięć lat, lecz po pięciu wyszedł. Ona dostała pięć lat, a wyszła po dziesięciu miesiącach. Przed tym całym wydarzeniem moja matka chorowała. A wszystko działo się tego samego roku. Jeszcze ja... ja



zostałem ranny, daleko od domu. Mama tak ciężko musiała pracować i tak ją przygniotły te nieszczęścia, że dostała zawału. Zmarła w niecały rok po tym, jak ojciec został postrzelony. Następne szesnaście lat spędził przykuty do wózka inwalidzkiego. A ludzie, którzy go postrzelili, chodzili sobie na wolności na dwóch zdrowych nogach. I nadal chodzą, o ile wiem. I niewykluczone, że nadal oszukują i malwersują. Tyle mogę powiedzieć o prawie, sprawiedliwości, porządku, zdrowych zmysłach. Tyle samo o dobroci i szczęśliwych zakończeniach. I tyle samo o cnocie, która zostaje nagrodzona. - Zaśmiał się z ironią, która aż wykrzywiła mu usta.

-Przykro mi - wydusiła z siebie, choć słowa te brzmiały naprawdę idiotycznie. Chciała go zapytać o to, gdzie i jak został ranny, lecz nie zrobiła tego. Miała wrażenie, że nie będzie chciał o tym mówić. Przeszła więc na bardziej neutralny temat. - Czy dlatego... dlatego piszesz o takich rzeczach?

- Nie, nie dlatego. - W jego oczach błysnął poskramiany od dłuższego czasu gniew. - Nie próbuj dokonywać na mnie psychoanalizy. Piszę o tym, o czym mam ochotę pisać. Mroczna strona życia zawsze mnie pociągała. I zawsze będzie pociągać. Wolę się jej przyjrzeć bliżej i zrozumieć, niż udawać, że jej nie ma. To tyle. A ty przypominasz mi moich rodziców. Wolisz udawać, że zła nie ma.

Czuła się dotknięta, dostała ostrą reprimendę. Okazała mu współczucie, a on go nie przyjął, tylko potraktował ją szorstko i krytycznie. Był zimnym mężczyzną i nie powinna okazywać mu serdeczności.

- Ja wolę podsuwać ludziom to, co w życiu przyjemne - powiedziała stanowczym tonem, patrząc na niego spokojnie. - Ty wolisz odmalowywać przed nimi koszmary. I dlatego ja wychodzę na łotrzycę, a ty na bohatera. Bardzo interesujące.

Odwróciła wzrok ku skałom. Niebo nad nimi było szafirowe, a chmury zabarwione starym złotem. Po co myśleć o okropieństwach, kiedy świat jest taki piękny?

- Nie powinno się rozmyślać o tym, co złe - wyrwało jej się

mimochodem. - Niby po co?

- Kelly... - Wymówił jej imię z takim naciskiem, że aż na niego spojrzała. Oczy miał teraz niemal czarne, a rysy jego twarzy jakby stwardniały w ciepłym świetle. - Ja lubię wyobrazać sobie jedno. Tak samo wyobrażał sobie to Jimmie. Ty lubisz wyobrazać sobie drugie. Oba te światy mają swoje miejsce. Ty chcesz pisać, by ludzie czuli się lepiej, a ja, by w ogóle czuli. Wcale mi nie zależy na tym, by czuli się gorzej. Chcę, by po prostu czuli.

- Jak ktoś, kogo chce się nastraszyć, może czuć się dobrze? - spytała nieustępliwie. - Jaki może z tego wypływać pożytek?

- Posłuchaj. Czy znasz słowo „katharsis”? To słowo greckie. Oznacza „oczyszczenie”. Do niego właśnie doprowadza dobra powieść z dreszczykiem. Oczyszcza umysły z lęków, które każdy tłumi i spycha gdzieś w zakamarki pamięci. Taka powieść pomaga człowiekowi odgrzebać własne lęki i nazwać je po to, by łatwiej się ich wyzbyć. Dobro przeciw złu. Największy konflikt jak świat światem.

- Ale na przykład dzieci uranie w szkole są za małe, by uczyć je tego, o czym ty piszesz. Umarłyby ze strachu.

- Zgoda - prawie ryknął Zane. - Ale ja nie piszę dla sześciolatków. Piszę dla dorosłych. Dla takich jak Jimmie. Dla ludzi, którzy chcą spojrzeć w twarz swojemu demonowi, jeśli on w ogóle ma dla nich jakieś oblicze.

- I to uważasz za swoje zadanie? - uśmiechnęła się z goryczą. - Jesteś facetem, który nadaje demonom twarze?

- Tak - odparł zniecierpliwiony. - Usiłuję to robić. By miały ją chociaż przez chwilę. To znaczy tak długo, jak czyta się książkę.

- No właśnie, przez chwilę. Doraźnie. Nie możesz nic zrobić na dłuższą metę. Nie możesz przegnać tych demonów. Twoje książki nie zmieniają tego, co się przydarzyło twoim rodzicom. Na dłuższą metę nie pomagały też Jimmie'emu.

- Kelly - jego zniecierpliwienie rosło - nie mogę pisaniem zmienić świata. Nie otrzymałem takiego daru. Potrafię i mogę dać ludziom pewnego rodzaju rozrywkę. Naprawdę nie wstydzę się tego, co

robię. I nie uda ci się mnie zawstydzić.

Potrząsnęła zapamiętałe głową.

- Słuchaj, znów się kłócimy. Obiecywaliśmy sobie, że to nie nastąpi. I nie powinno się zdarzyć, zwłaszcza w takiej sytuacji. To nie jest w porządku. I Jimmie na pewno by sobie tego nie życzył.

Zane popatrzył na nią, widoczną na tle skał i złotego nieba. Plecy miała wyprostowane, lecz głowę opuściła.

Promienie zachodzącego słońca igrały w jej włosach i tworzyły jakby złotą aureolę. Dlaczego opowiedział jej o rodzicach, o postrzale ojca? Przecież nigdy o tym nie mówił, bo nienawidził tych wspomnień. Dlaczego opowiedział jej, tylko jej? I po co próbował jej wyjaśnić, dlaczego zarabia na życie w taki, a nie inny sposób? Tysiące ludzi podziwiała jego książki. Czy to takie ważne, że nie podobają się jednej upartej kobiecie?

Odwrócił wzrok, by nie patrzeć na jej coraz bardziej mroczniejące ramiona i biel bluzki, która przybierała odcień topazu. Chciał, by ta kobieta coś zrozumiała, ale mu się nie udało. Miał dość.

Podniosła oczy i ich spojrzenia się spotkały. Żal jej było, że Zane nie rozumiał, jak głęboko przeżywa się poruszonymi przez niego sprawami. Trudno. Uważał jej poglądy za bezsensowne.

- Masz rację - powiedział nagle. - Jimmie nie życzyłby sobie, byśmy się kłócili. Zwłaszcza teraz.

- A o czym by chciał, byśmy rozmawiali? Wiesz?

Pomyślała, że może powinni opowiadać sobie o jakichś miłych przeżyciach z przeszłości. Na pewno jednak nie powinni rozmawiać na tak trudne tematy.

- Może lepiej w ogóle nie rozmawiajmy - rzucił, spoglądając przez ramię na srebrny ślad, jaki pozostawiała za sobą łódka.

Zatoka Niebieskiej Czapli była mała i głęboka, osłonięta z jednej strony skałami, z drugiej ciemnozielonym lasem. Nad powierzchnią wody unosiły się strzępy mgły, zatoka wyglądała więc bardzo tajemniczo, jak zaczarowana.

- Tu jest naprawdę... naprawdę bardzo pięknie - powiedziała, patrząc na przebogate złote refleksy na wodzie, na odbijające się w

tafli jeziora skały i drzewa.

- Czy dlatego wybrał to miejsce? Bo jest tu tak pięknie?

- Wybrał je dlatego, że kiedyś złapał tu okonia, który ważył szesnaście kilo - odparł Zane, patrząc na nią z cynicznym uśmiechem. - Ojej, nie mógł wtedy przestać o tym mówić. Byliśmy razem. No i potem zawsze powtarzał: „Kiedy umrę, chcę się znaleźć tam, gdzie złapałem tego okonia”.

- Och - Kelly tylko jęknęła.

Patrzyła na promienie igrające na wodzie i była przekonana, że wybór tego miejsca przez Jimmie'ego nie miał nic wspólnego z żadną rybą. Jimmie po prostu instynktownie ciągnął do pięknej przyrody. Ona sama dopiero teraz zaczynała rozumieć.

- Chcesz coś powiedzieć? To znaczy, czy chcesz wygłosić te tradycyjne kilka słów pożegnania? - spytał patrząc na nią.

- Chyba nie potrafię - odpowiedziała szczerze, drżącym głosem. - Chyba w ogóle nie dam rady zrobić tego wszystkiego.

- No to ja to zrobię - rzucił szorstko i wyciągnął rękę po puzderko. - I powiem kilka słów, bo jest taki zwyczaj.

Podawała mu symboliczną urnę. Kiedy palce mężczyzny musnęły jej rękę, przeszedł ją dreszcz. Przytuliła mocniej psa i starała się uspokoić.

- Jimmie kochał książki i kochał przyrodę - zaczął Zane, otwierając puzderko. Twarz miał poważną, głos spokojny. - Chyba więc powinienem coś powiedzieć.

Nabrał powietrza w płuca i zaczął recytować wiersz Wordswortha.

Choć nic nam nie przywróci przeszłej godziny przepychu źdźbeł trawy, dumnej koniczyny, Płakać za nimi nie będziemy, wolimy czerpać Siłę z tego, z czym nam pozostanie żyć...

Kelly przełknęła ślinę. Znała ten wiersz. Zane pięknie go recytował, ani razu się nie pomylił, ani nie zapomniał słowa. Serce jej się ścisnęło z bólu. Nie potrafiła wydobyć z siebie głosu. Słowa jego były nie tylko piękne, lecz także odpowiednie do okoliczności. Potem powoli rozsypał prochy po powierzchni wody.

- Do widzenia, przyjacielu - powiedział cicho. - Uwolniłeś się od demonów i straszdeł. Odpoczywaj w spokoju.

Pobladła i drżąca Kelly patrzyła, jak prochy znikają w jeziorze.

- Dobrze się czujesz? - spytał.

- Tak, zupełnie dobrze - skłamała.

- Nieprawda - rzucił z oburzeniem. Wsunął rękę do kieszeni, wyciągnął białą chusteczkę i podał dziewczynie. - Masz to, do diabła, i płacz. Nie zniosę tego twojego udawania, że jesteś taka dzielna. Płacz i ulżyj sobie.

Wzięła chusteczkę i skrzętnie się za nią ukryła, by nie widział jej łez. Płakała jak dziecko, łkała i szlochała, jakby wypłakując cały ból wszystkich swoich lat. Siedziała na ławce sztywna jak dyrektorka szkoły, pochlipując teraz jak dziecko. I tuliła do siebie biednego, głupiutkiego psa.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Kelly osuszyła oczy. Jej płacz był jak letnia ulewa: obfita, ale przelotna. Wstydziła się teraz, że okazała tyle słabości. Chusteczka była całkiem mokra, zwinęła ją więc w kulkę i trzymała mocno w garści.

- Nie bolą cię plecy? - spytał kwaśno Zane. - Cały czas siedzisz taka wyprostowana.

- Nie - odparła kategorycznie. - Oczywiście, że nie bolą. - Spojrzała na niego nieprzyjaźnie, choć wdzięczna mu była za to, że nagle nie zaczął jej słodko współczuć.

- W łódce lepiej jest się zachowywać bardziej swobodnie - mruknął, unosząc z dezaprobatą jedną brew.. - I nie powinnaś się wstydzić łez. Jeśli kiedyś pozwolisz sobie okazać trochę uczuć, to jeszcze nie oznacza, że ma cię to zabić.

Kelly wzruszyła ramionami. Urządziła niezłe przedstawienie. Pogłaskała psa, by ukryć zmieszanie. Niebo nad nimi już ciemniało, ostatnie promienie słońca wзираły zza skał.

- Jak ty to wszystko pamiętasz? - odezwała się, by cokolwiek powiedzieć. - Mam na myśli wszystkie te wiersze?

- Po prostu pamiętam. - Teraz on wzruszył ramionami.

Łódź mknęła jak bezgłośna strzała po ciemniejącej wodzie. Kelly siedziała w milczeniu, wciąż ściskając chustkę w garści.

- Ale właściwie o co ci chodzi? - spytał w końcu. - Uważałaś, że nie mogę znać wierszy na pamięć? Myślałaś, że przez całe życie czytam tylko komiksy lub powieści grozy? Czy może znam tylko wiersze wyskrobane na ścianach w pociągu?

- Nie, po prostu jakoś tak mi się wydawało, że może nie znasz czegoś takiego na pamięć - powiedziała wykrętnie, nie chcąc się przyznać, że odniósł słuszne wrażenie.

-Aha - mruknął z ironią. - Przyjmij więc do wiadomości, że noszę w pamięci wiele rzeczy. Już wiem, jak sobie wyobrażasz mój mózg... Jako niegustowne pomieszczenie, w którym straszy, w którym z

sufitu zwisają nietoperze, a w kątach rozrabiają tarantule.

Tymczasem znany jestem jako autor kilku szlachetnych myśli, które może niezbyt długo zaprzętały mi umysł, ale jednak zaprzętały.

- Oczywiście - przytaknęła.

Nawet wbrew sobie była pełna podziwu dla tego, co zrobił. Lecz nie chciała się nad tym dłużej zastanawiać. Zmieniła więc temat.

- Dziś poznałam kobietę z domku obok. Ma siwe włosy i chyba dobiega już sześćdziesiątki. Wynajmuje ten domek. Niejaka Mavis Pruer. Znała Jimmie'ego. Naprawdę przeżyła bardzo wiadomość, że on... no, wiadomość o nim. Czy wspominał ci, że ją zna?

-Nie przypominam sobie nikogo takiego. Jimmie'ego nie bardzo interesowały siwe kobiety.

- Mówiła, że była tu też w lecie ubiegłego roku.

- Nie było mnie tu zeszłego lata. Musiałem dopilnować różnych dziwnych spraw związanych z interesami. Domek ten wynajmują dziwni ludzie. Właściwie przez cały rok bez przerwy się zmieniają.

- Tak mówiła o Jimmie, jakby go dobrze znała

- zauważyła Kelly, odrzucając kosmyk włosów. - Zastanawiałam się... zastanawiałam się, jak to między nimi było.

-Po prostu byli sąsiadami - zaśmiał się Zane.

- Jimmie na ogół zachowywał się nieśmiało wobec tego rodzaju kobiet. Te, z którymi go coś łączyło, przeważnie poznawał w barach. I na tym między innymi polegał cały problem.

Kelly zaczerwieniła się. Z tą cechą charakteru Jimmie'ego nie bardzo potrafiła sobie poradzić.

- Odniosłam wrażenie, że z tą kobietą wiele rozmawiał - zauważyła i dodała w myśli: O tobie również.

- Tak, Jimmie bardzo łatwo zaprzyjaźniał się z ludźmi. Czasami tak bywa, że człowiek jest nieśmiały, ale z wieloma osobami łatwo nawiązuje znajomość. Chyba po prostu w głębi serca uważał, że nie jest wart normalnej, uczciwej kobiety.

-Pewnie tak. I mógłby być cudownym mężem i ojcem, gdyby tylko uporządkował swoje życie.

- Gdyby, gdyby. To nie było takie łatwe. Wojna wyryła na nim

bardzo głębokie piętno, i to niejedno. Zresztą nie tylko na nim, na wielu z nas.

- Powiedziałeś „z nas”? Też tam walczyłeś? Wydawało mi się, że byłeś na to za młody.

- Wylądowałem tam pod sam koniec wojny - rzucił ponuro. - Ale i tak mi to wystarczyło.

- I też byłeś ranny?

- Tak, ale nie tak poważnie jak Jimmie.

Kelly westchnęła i zamyśliła się. Gdzieś w oddali plusnęła ryba. Pies stanął na ławeczce i zaczął czegoś wypatrywać.

- Niech usiądzie - poleciał Zane. - Bo straci równowagę.

- Nie chce mnie słuchać - jęknęła Kelly. - Jimmie w ogóle go nie wytresował. Ale on chyba coś widzi...

Zaczęła wpatrywać się w wodę. I nagle zobaczyła ciemny kształt.

-Co to?

Podpłynęli bliżej łodzią do sterczącego nad powierzchnią przedmiotu. Pies zaczął się trząść z podniecenia.

- Och, to tylko pusta butelka po coli - powiedział po chwili Zane. - Co za pies, podnieca się pustą butelką.

- Siadaj, siadaj - usiłowała uspokoić zwierzaka, który nagle oszalał. - To tylko pusta butelka. To...

Nagle rozległ się plusk i pies wpadł do zniechęconej przez siebie wody. Wynurzył się, machając łapami jak oszalały. W jego oczach malowało się przerażenie. Kelly pochyliła się, by go wyciągnąć. Zane próbował jej pomóc i po chwili oboje również znaleźli się w wodzie, a łódka przewróciła się do góry dnem.

Kelly wynurzywszy się przetarła oczy i chwyciła psa. Zane zaraz pojawił się obok i klnąc pod nosem usiłował odwrócić łódkę. Wiosło i dwa kapoki pływały nieco dalej.

- Nic ci nie jest? - spytał Kelly.

- Nie, wszystko w porządku - odparła, tuląc psa do siebie tak, by nie mógł jej się wyrwać. - A tobie?

- Czuję się świetnie. Jak każdy, kto się skąpał przez idiotę psa, polującego na cholerne butelki. Masz go?



- Tak.

- To go utop - rozkazał. - Jeszcze nie widziałem tak bezużytecznego stworzenia.

Jęknął, dźwigając łódź w górę i ustawiając ją we właściwym położeniu. Popłynął po kapoki i wiosło i wrzucił je do łodzi. W wodzie radził sobie naprawdę doskonale.

- Latarka za pięćdziesiąt dolarów poszła na dno - mruknął. - I kosztowna lornetka. I moje ulubione okulary przeciwsłoneczne.

Musiał się porządnie nagimnastykować, by ściągnąć buty. Zaklął, wrzucając je w końcu do kokpitu. Na dnie stało mnóstwo wody.

- Dasz sobie radę z tym niby-psem? - spytał, przecierając oczy.

- Wszystko jest dobrze, póki go trzymam, ale jest przerażony.

- W porządku - rzucił z prawdziwą niechęcią w głosie. — Możesz go odholować na brzeg?

- Pewnie - odparła. - Gdzie?

Ruchem głowy wskazał pas wybrzeża pomiędzy dwiema skałami.

- Tam. Przy powalonym drzewie. Doprowadzę tam łódź.

Wylejemy z niej wodę i dokonamy przegrupowania.

Kelly ukończyła kiedyś kurs ratownictwa, ale ludzi, nie psów.

Postanowiła jednak spróbować. Odwróciła się na plecy, chwyciła psa w zgięcie łokcia i zaczęła płynąć w stronę brzegu. Zane złapał jedną ręką łódź, a drugą manewrował niczym wiosłem. Zacisnął zęby. Był wściekły.

- Przecież to był twój pomysł, żeby wziąć psa, nie mój - rzuciła Kelly, której płynęło się o wiele łatwiej, bo zwierzak był lekki i leżał na jej piersiach spokojnie jak dziecko, z łapami do góry. - Ja chciałam zostawić go w domu. Pamiętasz?

- Chciałaś, żeby wylądować na bezludnej wyspie? - spytał kwaśno.

- Ja tylko ci przypominam to, co mówiłeś - powiedziała słodkim tonem. - Powinieneś się cieszyć z tego wydarzenia/Strach i napięcie to twoja specjalność.

Pierwsza dopłynęła do płytkiej wody. Z trudem stanęła na skalistym dnie i zaczęła iść w stronę brzegu. Kiedy całkiem się wynurzyła, mokre ubranie oblepiało jej ciało. Pies już biegał tam i z

powrotem po skałach. Odwróciła się i, odgarniając ociekające wodą włosy, patrzyła, jak Zane wpływa na płytką wodę, staje i ciągnie dalej łódkę. W końcu dotarł do skał, przekreślił łódkę i wylał z niej wodę.

- Butelka po coli - mruknął. - Jakby tu był królik, to mógłby podejść i napluć temu psu w oko, a ten i tak by tego nie zauważył. A wiewiórka mogłaby mu skakać po głowie. Potrafi polować tylko na butelki po coli.

Kelly wyciskała wodę z włosów. Był lekki wiatr i zrobiło jej się chłodno.

- Może nie lubi śmieci - rzuciła.

Zane usiadł, wziął buty, wylał z nich wodę i wciągnął je na nogi.

- Myślę, że nie powinnaś nawet próbować go usprawiedliwiać. Jedyne, co można zrobić, to sprzedać go firmie Coca-Cola.

Kelly spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Po raz pierwszy w jego obecności się uśmiechnęła. Widząc to Zane poczuł ucisk w piersi. Miała ładne białe zęby i robiły jej się dołeczki w policzkach, co było dla niego całkowitym zaskoczeniem.

- Zgubiłam twoją chusteczkę - uśmiech znikł z jej twarzy. - Przepraszam. Odkupię ci.

- Daj spokój - westchnął. - To drobiazg. - Przykro mi też, że straciłeś latarkę i lornetkę.

Chyba również powinnam ci je odkupić. Przecież to teraz mój pies, czyli ja ponoszę za niego odpowiedzialność.

Wstał i wsunął koszulę w dzinsy. Patrzył na profil Kelly, zwrócony ku skałom, lecz w mroku nie potrafił powiedzieć, czy dziewczyna zaraz się rozpłacze czy roześmieje.

Splotła ręce na piersiach, jakby chcąc się okryć przed chłodem. Mokra biała bluzka opinała jej biust, dzinsy wręcz oblepiały jej długie nogi. Zgubiła białą wstążkę. Włosy opadły jej na ramiona.

- Nie będziesz za nic płaciła. - Zane podszedł do niej. - Miałaś rację, to był mój pomysł, by zabrać psa.

Spojrzała na niego. Jego mokre brązowe włosy wydawały się teraz czarne. Przemoczona koszula przylegała do potężnych ramion i torsu.

- Nie zachowywałem się specjalnie godnie, prawda? - Spojrzał na nią figlarnie.

- Zgadza się.

- Ale ty też nie. Szkoda, że się nie widziałaś, jak złapałaś psa i w tej samej chwili wylądowałaś w wodzie. Kiedy wypłynęłaś, tak machałaś rękami, że wokół ciebie powstała niezła fontanna.

- Hm, a ja w życiu nie słyszałam głośniejszego huku niż wtedy, kiedy ty wpadłeś do wody - rzuciła, uśmiechając się zalotnie. - A potem kłąłeś. Byłeś okropny.

- Byłem wspaniały. A ten pies zachowywał się zupełnie jak głupi; pływał w kółko, jakby był na karuzeli.

Potrząsnęła głową, uśmiechając się lekko. Oboje spojrzeli na psa, który robił sobie toaletę, wylizując z sierści wodę.

- To chyba niezbyt właściwy sposób zakończenia tak poważnego zadania, jakie wykonaliśmy? - spytała patrząc na Zane'a.

Wzruszył ramionami i odgarnął włosy z czoła.

- A może - zaczął, usypując butem mały kopczyk kamyczków - a może to właśnie najwłaściwszy sposób.

- To znaczy?

- Sądzę, że Jimmy na pewno by się uśmieł do łez, gdyby nas zobaczył, jak wszyscy troje chlup! i wpadamy do wody.

- Chyba masz rację. - Spojrzała na niego i znów się uśmiechnęła. - A potem spytałby: „To tak zakończyliście mój pogrzeb?”.

- Naprawdę wyglądałaś przezabawnie, gdy pies zanurkował niby szyja łabędzia, a ty za nim jak jakaś baletnica.

- Nie miałam pojęcia, co się stało - zaśmiała się.

- Za to ty zanurkowałeś jak jakaś płastuga, która chciała pójść w moje ślady.

- Płastuga? - spytał.

- Tak, płastuga. Chlup, chlup, kłap, kłap, grump, grump. I to strasznie gderliwa.

- A widziałaś wyraz oczu tego psa? - zaśmiał się.

- Jakby przed sekundą zobaczył Godzillę.

- Szkoda, że nie widziałeś wyrazu swoich oczu - zaśmiała się. -

Jakbyś zaraz miał cisnąć piorunem. Jak Zeus.

- A może to sam Jimmie wszystko wyreżyserował, działając z Drugiej Strony Świata? To do niego podobne. Pewnie turla się teraz ze śmiechu po posadzce nieba wołając: „Popatrzcie na te dwa przemoknięte szczury!”

- No bo na pewno wyglądamy teraz okropnie.

- Kelly zachichotała, spoglądając bezradnie na swoje ubranie, a potem na Zane'a. Zaskoczył ją wyraz jego twarzy, pełnej niedowierzania. - Co się stało?

Zmarszczył czoło, sięgnął do kieszeni koszuli i wyciągnął z niej malutką żywą rybkę, która zaczęła się wić na jego dłoni.

Kelly wybuchnęła śmiechem. Zane po chwili też zaczął się śmiać. Ruszył w stronę jeziora, by dać wolność malutkiemu więźniowi. Dziewczyna zanosząc się śmiechem usiadła na kamieniu. Taką reakcją rozładowała napięcie całego dnia i całej tej sytuacji. Zane pochylił się i usiadł obok niej. Spojrzała mu w oczy i zaczęła się śmiać jeszcze bardziej.

- Dobrze... dobre sobie - wykrztusiła w końcu - ryba w kieszeni...

- Wcale by do niej nie wpadła - zachichotał - gdyby twój dzielny pies nie zapolował na butelkę po coli...

- Och, przestań - jęknęła, opierając twarz o kolana, by wreszcie stłumić atak śmiechu.

- Co mam przestać?

- No... no... mówić o butelce po... coli...

- Po coli? - powtórzył specjalnie. - Po coli. Pies zobaczył butelkę po coli i skoczył, by nas przed nią uratować. Nic dziwnego, że Jimmie nazwał go Kieł.

-Przestań... przestań już! - błagała, trzymając się za bok. - Wszystko mnie już boli!

Nagle coś jej zasłoniło widok ciemniejącego nieba i wody. To Zane stanął przed nią i pochylił się tak, że niemal dotykał twarzą jej twarzy.

- Lepiej się czujesz? Czy i nad tobą będę musiał wypowiedzieć pożegnalne słowa?

Kiedy spojrzała na niego, w wyrazie jego oczu dominowało już coś zupełnie innego niż rozbawienie.

- Jesteś piękna, kiedy się uśmiechasz - powiedział cicho - ale absolutnie cudowna, kiedy się śmiejesz.

Chwycił kosmyk jej włosów i musnął nim jej własny policzek. Spoważniała. Patrzyła mu w oczy, usta miała rozchylone, serce podskoczyło jej do gardła. Dotknął ręką jej policzka, delikatnie odgarnął jej włosy z czoła, zatrzymał palce na brodzie. Milczał, lecz czuła, że porozumiewają się bez słów, a brzmiało to tak:

Chcę cię pocałować.

Wiem.

Nie chciałem, by do tego doszło.

Ja też nie.

Ale pozwolisz mi, prawda?

Tak, oczywiście.

I chcesz tego?

Och, tak, chcę. Chcę.

Kiedy znalazł ustami jej usta, były chłodne, ciepłe, gorące. Jego czułość niemal ją poraziła. Na moment zamarł, jakby chcąc dać im obojgu czas na uprzytomnienie sobie, co robią. Potem znów poczuła na wargach jego żarliwe, coraz bardziej zachłanne pocałunki. Chwycił ręką za tył jej głowy i wsunął palce pomiędzy jej włosy. Przytrzymał ją i całował coraz namiętniej, coraz goręcej. Ręka zsunęła mu się na jej chłodne nagie ramię.

Czuła przez mokrą bluzkę ciepło jego twardego torsu. Przyciągnął ją jeszcze bliżej i wtulił się w nią. Całe jego ciało pulsowało gorącem, które przenikało ją na wskroś.

Podniósł jej twarz ku swojej, wpił się wargami, sięgnął językiem głęboko w jej usta. Poczowała jego smak. Zareagowała na tę zachętę. Ich ciała przesywał dreszcz, jakby stanowili jedno.

Wargi Zane'a sięgnęły jej szyi, penetrowały każde zagłębienie, każdą miękkość. Ręka pieściła jej zebra, piersi, sięgnęła do pierwszego guzika. Wiedziała, że powinna zaprotestować, lecz nie zrobiła tego. Pierwszy guzik puścił, ręka pieszcząca jej ciało zaczęła

rozpinać drugi.

Nagle coś mokrego, miękkiego dotknęło jej policzka. Otworzyła oczy. To był Kieł. Wskoczył na nich i zaczął rozdawać pocałunki, tańcząc z radości.

Zane usiadł, przyciągając Kelly do siebie. Próbował odegnać psa, lecz nie odniosło to skutku. Zwierzak umościł się im na kolanach i zaglądał wiernie w oczy.

- Ten pies - rzucił przez zęby - musi zostać usunięty.

- Ten pies jest prawdopodobnie mądrzejszy od nas obojga - powiedziała, starając się odsunąć od Zane'a, lecz trzymał ją mocno przy sobie. - A może to też sprawa Jimmie'ego?

- Jimmie'ego? Nie! - zaprotestował, przybierając ten swój nieprzenikniony wyraz twarzy. - Nie sędzę, by miał coś przeciwko temu. Na pewno chciałby, bym cię pocieszył. Oczywiście w rozsądnym wymiarze...

Ponowiła wysiłki, by się od niego odsunąć i tym razem ustąpił. Wstała. Spędził z kolan psa i też wstał.

- Wstydzę się za siebie - mruknęła, odwracając głowę ku ciemniejszym chmurom.

- Posłuchaj... - Podszedł o krok bliżej, chwycił kosmyk jej włosów przylepiony do karku i połaskotał ją delikatnie.

- Przestań! - rzuciła ostro.

- Posłuchaj - powtórzył, lecz już nie próbował jej dotknąć. - Przecież to, co się stało, było całkiem naturalne. Oboje byliśmy w takim napięciu...

- Proszę cię, zabierz nas do domu. - Nagle poczuła się bardzo zmęczona. - Chcę do domu.

- Mówię tylko, że...

- Do domu - powtórzyła uparcie. - Zabierz mnie do domu. Zaraz. Zapadła cisza.

- Dobrze - rzucił w końcu. - Dobrze. Płyniemy do domu.

Przez całą drogę aż do brzegu, gdzie stał domek Jimmie'ego, nie powiedzieli do siebie ani słowa. Kelly czuła się zawstydzona. Jak mogła dwadzieścia minut po ceremonii pożegnalnej znaleźć się w

ramionach mężczyzny?

Ale przecież chciała tego, przyznała sama przed sobą. Położyła się w mokrym ubraniu na skałach, jakby zachęcając go do tego. Nie, opadła na plecy tylko dlatego, że się tak zaśmiewała. Co jest prawdą? Nie wiedziała. Naprawdę nie wiedziała.

Zane wysiadł z łódki i podał jej rękę. Chwyciła pod pachę psa i wsunęła palce w ciepłą dłoń mężczyzny. Po chwili stała już na brzegu. Postawiła psa, a Zane uwolnił jej rękę od uścisku.

- Jeszcze muszę przywieźć ci książki. A potem już nie będę próbował się z tobą widywać. Chyba że będziesz tego chciała.

- Tak chyba będzie najlepiej - odparła, nie patrząc na niego.

- Pewnie tak. - Przesunął nerwowo ręką po włosach. - W każdym razie staruszek Jimmie już znalazł swoje miejsce spoczynku.

- Tak.

Skinął jej głową w milczeniu i pogłaskał psa. Spojrzał na jezioro. Kelly odwróciła się w stronę domu. Usłyszała miękkie plaśnięcie wiosła o wodę. Zaczęła iść. Przygarbiła się bezwiednie.

Niebo było ciemne, spomiędzy chmur wyzierały gwiazdy. Żółty, pękaty księżyc wspinał się coraz wyżej.

Czy pełnia księżycy sprzyja wampirom czy wilkołakom? - zadała sobie w duchu pytanie, wchodząc do domu. Zane by wiedział. W końcu to jego specjalność. Potwory i demony, ciemność i niebezpieczeństwo. Jak mogła czuć pociąg do mężczyzny tak różnego od niej pod każdym względem?

- Kelly! Kelly! - usłyszała głos Mavis Pruer, dochodzący zza siatkowych drzwi jej domku. - Byłam u pani wcześniej, ale nikogo nie zastałam. Dżip stał przed domem, ale pani chyba gdzieś się wymknęła?

- Tak, popłynęłam łódką. Z... z sąsiadem - odpowiedziała uprzejmie, lecz chciała być sama. Chciała uporządkować myśli i uczucia.

- Upiekłam pierniczki! - zawołała Mavis. - Chciałam dać pani trochę. Jest pani za szczupła, o wiele za szczupła. Zaraz przyjdę!

O nie, pomyślała Kelly i chciała się jakoś wykręcić. - Proszę pani...

Lecz nie było odpowiedzi. Kobieta musiała już pośpiesznie wrócić do kuchni. Kelly zapaliła światła i przebrała się w suche rzeczy. Miała ochotę się umyć, lecz na pewno nie starczyłoby jej czasu przed przyjściem Mavis. Zakręciła więc tylko na głowie turban i umyła twarz.

Rozległo się pukanie do drzwi. Podeszła otworzyć. Kobieta weszła do środka, opierając się jedną ręką na lasce, a w drugiej trzymając talerz pierniczków.

- Jim lubił moje pierniczki. A teraz powiedziałam sobie, że muszę panią troszkę utuczyć. Pomyślałam, że napijemy się kawy i pogadamy po babsku.

Kelly zdobyła się na wymuszony uśmiech. Wciąż odganiała psa, który łąsił się do Mavis. W końcu wygoniła go na dwór.

- Co za słodki piesek - zauważyła Mavis, zasiadając nie proszona przy kuchennym stole. Szybko zlustrowała wzrokiem pomieszczenie. - Rok temu nie było tu psa. A pies obronny to naprawdę coś.

Kelly westchnęła. Kobieta wymogła na niej tę sytuację. Dostanie więc kawy, a potem Kelly wymówi się zmęczeniem.

- Niestety to nie jest pies obronny - powiedziała, nastawiając wodę w czajniku. - Chyba niewielki można mieć z niego pożytek. Będę musiała go komuś oddać. I te wszystkie koty.

- Koty? Hm, mogłabym wziąć jednego. Kocham koty. I miałabym po Jimmie pamiętkę.

Kelly sypała właśnie kawę do kubków. Słyszac słowa Mavis myślała, że się przesłyszała. Kobieta nagle wydała jej się miłą i pomocną osobą.

- Wzięłaby pani kota?

- Może i ze dwa - potwierdziła Mavis. - Podobają mi się te żółte. Tak. Mam w Fort Smith mały dom z dużym podwórkiem. Od śmierci męża cały czas myślę o tym, by kupić kota. Człowiek czuje się samotny. A dwa koty... czy to nie będzie cudownie?

Czajnik zaczął gwizdać. Kelly zalała kawę i postawiła kubki na stole. Przyniosła też śmietankę, cukier, łyżeczki i talerzyki.



- Nie używam śmietanki ani cukru. I nie zjem pierniczków. Chrupałam je przez cały wieczór. Kiedy człowiek nie może chodzić ani robić niczego konkretnego, to... je i je. Zawsze lubiłam gotować i piec. A teraz, kiedy jestem sama, z przyjemnością robię to dla kogoś. Proszę jeść.

Kelly skosztowała pierniczka. Był twardy i bez smaku, lecz wiedziała, że nie może sprawić Mavis przykrości.

- Kochanie... czy możemy mówić sobie po imieniu?

- Ależ oczywiście.

- Byłaś więc z kimś popływać? - Oparła się łokciem o stół i patrzyła na turban z ręcznika na głowie Kelly.

- Tak. - Dziewczyna nie zamierzała powiedzieć całej prawdy, nawet gdyby Mavis miała zaopiekować się dwoma kotami.

- A z kim byłaś? Z kimś, kogo znam?

Z mężczyzną, przed którym mnie ostrzegałaś, chciała odpowiedzieć Kelly, lecz ugryzła się w język.

- Chyba nie znasz. - I popiła piernik kawą, żeby zapomnieć o jego dziwnym smaku.

- Zjedz jeszcze jednego. Jesteś taka chuda. - Mavis podsunęła jej talerz.

Wbrew sobie Kelly wzięła pierniczek, ułamała kawałek i zaczęła przeżuwać.

- Przypadkiem widziałam, że to był mężczyzna - wyszczebiotała Mavis. - Siedziałam na ganku i oglądałam gwiazdy. Tu w okolicy jest kilku miłych młodych mężczyzn. Po drugiej stronie jeziora mieszka hodowca kurcząt, dalej, wzdłuż drogi, właściciel ślicznego sadu brzoskwiowego. Spędza tu też część lata doktor Hardesty, który byłby wspaniałą partią dla młodej dziewczyny. Jest bogaty. Samotny, ale taki sympatyczny. Zupełnie inny niż ten Graye.

Kelly poczuła nagle ukłucie w sercu. Odłożyła piernik, dotknęła czoła i zerknęła na Mavis.

- Wiele o nim możesz powiedzieć, a przecież go nie znasz - stwierdziła.

- Po prostu dlatego - zaczęła Mavis, odgarniając siwe włosy - że

**Jimmi o nim opowiadał. Kiedyś tak powiedział: „Kocham tego starego Graya jak brata, ale nie chciałbym, żeby go coś łączyło na przykład z moją siostrzenicą”. Tak właśnie powiedział, to jego słowa. I dlatego ci je powtarzam. Na ogół nie plotkuję. Jest pewnie podobny do mojego kuzyna: świetny przyjaciel mężczyzn, ale dla kobiet... sam diabeł.**

**- Rozumiem - wydusiła z siebie Kelly. Rozboliła ją głowa.**

**- Kochanie, chyba niezbyt dobrze się czujesz. Widzę to po twojej twarzy. Napracowałaś się. Czysto tu jak w pudełku. Pamiętam, jak tu było przedtem. Pewnie się przepracowałaś. Idź spać, a ja pokuśtykam do domu.**

**- Przepraszam, ale rzeczywiście sporo tego wszystkiego było.**

**Chciała wstać, lecz Mavis już się poderwała i kładąc jej rękę na ramieniu, zmusiła do siedzenia. Była zadziwiająco silną kobietą.**

**- Siedź. A ja już idę. Talerz zabiorę kiedy indziej. A do drzwi znam drogę.**

**Pokuśtykała tak szybko, że Kelly nie mogła wyjść ze zdumienia. Nagle potknęła się, oparła o framugę i zachichotała.**

**- Nic ci się nie stało? - spytała z troską Kelly.**

**- Nic, naprawdę, siedź sobie. Czasem się zapominam. Mam wpuścić tego słodkiego psiaka?**

**- Tak, bardzo cię proszę.**

**- Zamknę za sobą drzwi. A ty szybciotko do łóżka. Mavis wyszła. Pies wbiegł do środka i już tańczył przed Kelly swój taniec radości.**

**Wstała i poszła do łazienki, zamykając przed nim drzwi. Wzięła dwie aspiryny, a potem zafundowała sobie gorącą kąpiel.**

**Od razu poczuła się o wiele lepiej. Zaczęła pisać list do Cissie, ponownie wyjaśniając wszystko, co związane było z sejfem, podpisami, kluczami. Trudno jej było się jednak skoncentrować i nie dokończony list pozostał wkręcony w maszynę do pisania.**

**W końcu wskoczyła do łóżka. Nakryła się szczelnie, postawiła wyżej poduszkę, westchnęła i otworzyła grubą książkę, którą z sobą przyniosła. Nie wiedziała dlaczego, lecz czuła, że musi przeczytać „Jej**

demonicznego kochanka". A przecież o kim jak o kim, ale o Zanie naprawdę nie miała zamiaru myśleć.

Przypomniała sobie jednak, że przecież dzisiaj płakała tak jak nigdy w życiu, potem śmiała się tak jak nigdy w życiu, a później...

Później całowała i była całowana z taką namiętnością, jaka chyba bardzo rzadko się zdarza między mężczyzną a kobietą. Tyle smutku, tyle śmiechu i tyle namiętności, że jak na jeden dzień to raczej odrobinę za wiele.

Weźmie się do czytania. Całe życie uciekała w świat książek. Teraz wyglądało to jednak trochę dziwnie, bo uciekając przed Zane'em uciekała w świat jego książki.

Lektura pomoże jej spojrzeć na niego z innej perspektywy. Był przecież tylko marnym pisarzem taniego śmiecia, facetem, który pisał melodramaty podszyte strachem. Spojrzała na zegarek. Była dziesiąta. O wpół do jedenastej na pewno zaśnie nad książką.

Dochodziła trzecia nad ranem, a ona jeszcze czytała. Nie mogła przestać, chociaż wyrazy już zacierały jej się przed oczami. Książka opowiadała o kobiecie, której marzenia o nieśmiertelnym kochanku w jakiś przedziwny sposób ziszczały się w rzeczywistym świecie.

Opowieść była przebogata i skomplikowana. Kelly aż kręciło się w głowie. Wstała, pobiegła do kuchni, chwyciła twardy jak kamień pierniczek i wypita szklankę mleka. Wróciła do łóżka, lecz nie mogła zasnąć. Otworzyła ponownie książkę. Zane pisał o demonach, lecz pisał o nich jak anioł. Ta powieść rzuciła na nią urok.

Wkrótce jednak senność zwyciężyła. Książka osunęła się, otwarta, na jej piersi. Dziewczyna zdołała tylko zgasić światło i zwinąć się w kłębek, tuląc książkę do piersi jak talizman.

Miała dziwne, nie powiązane ze sobą sny, lecz w każdym z nich powtarzała się postać wysokiego mężczyzny, który czekał na nią we mgle. Nie wiadomo było tylko, czy czeka na dobre czy na złe.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Obudziła się późno. Czuła się ociężała. Jeszcze na chwilę chciała wtulić twarz w poduszkę, ale nagle poczuła coś twardego pod pierściami. Książka, pomyślała, zasnęłam z książką.

Niechętnie odwróciła się na plecy i otworzyła oczy. Przez szpary w żaluzjach wpadały promienie słońca. Coś ciężkiego nie pozwalało jej poruszyć nogami. Podniosła się na łokciu i zobaczyła psa, smacznie śpiącego w rogu łóżka. Otworzył ślepią i popatrzył na nią wzrokiem pełnym poczucia winy. Zamerdzał ogonem.

- Piesku, naprawdę nie jestem godna takiej adoracji - powiedziała Kelly, wzdychając ciężko. - Proszę cię, zejź z łóżka.

Wsunęła rękę pod pościel i wyciągnęła książkę. Grubą książkę w błyszczącej obwolucie. Książkę Za-ne'a. Ręka jej zadrżała.

Pamiętała, jak w nocy ta książka ją porwała. Działała na nią hipnotyzująco, była poetycka, zmysłowa i trzymała w napięciu wprost nie do zniesienia. Jak właściwie mogła przy niej zasnąć? I jak da radę nie wrócić zaraz do czytania? Ma przecież tyle roboty. A książka przyzywała ją tak, jakby rzuciła na nią czar.

Nie powinna jednak tak o niej myśleć. Jeśli książka tak ją urzekła, to niedługo urzeknie ją autor. Odłożyła ją zdecydowanym ruchem na nocną szafkę. Potrząsnęła głową, by oprzytomnieć. Według plotek przekazanych jej przez Mavis i zgodnie z jej własnym doświadczeniem, Zane sam był demonicznym kochankiem.

Zalały ją wspomnienia poprzedniego wieczora. Czuła się tak, jakby przez tych kilka godzin żyła w jakiś nowy sposób, bardziej intensywnie, jakby jej życie wybuchło doskonałym, drogocennym płomieniem.

Dość tego, powiedziała do siebie, odrzucając koc i wstając z łóżka. Nie wolno mi tak myśleć. Kręciło jej się w głowie, ciało miała ociężałe. Odgarnęła włosy i podeszła do okna, jakby przyciągał ją tam magnes. Skały jaśniały w porannym słońcu, niebo było tak lazururowe, że raziło swym blaskiem, a w połyskliwej wodzie brodziła

niebieska czapla. Poczwała ukłucie w sercu. W zatoczce też pokazały się czaple. Przypomniały jej się słowa Zane'a, które tam wczoraj wypowiedział, żegnając Jimmie'ego.

Pisał w podobny sposób, jak recytował poezję. Jakby bez żadnego wysiłku, bezbłędnie, idealnie. Nic dziwnego, że Jimmie tak lubił książki Farleya Collinsa. A ona odnosiła się do nich z taką pogardą. Uważała, że skoro Zane pisze tak dużo, to znaczy, że robi to szybko i źle. Teraz wiedziała, że oceniła go niesprawiedliwie. Aż ścisnęło ją w żołądku. Nigdy przedtem nie zdarzyło jej się potraktować kogoś tak okropnie.

Patrzyła na połyskliwą taflę jeziora. Czy pomyliła się też w ocenie Zane'a jako mężczyzny? Czy całował ją wczoraj tylko dlatego, że w oczywisty sposób okazała swoje pragnienia? Czy dlatego, że wyczuł, iż może ją wykorzystać? Nie, nie odpowie sobie na to pytanie.

Był naprawdę błyskotliwy, lecz miał też swoją mroczną stronę. Wiedziała, że to mężczyzna, który świetnie się czuje na łonie natury, a zarazem jest bardzo skomplikowany. Ma bardzo bogatą, wyrafinowaną osobowość. Intrygował ją jego intelekt, przerażała jego zmysłowość. Był pełen paradoksów i chyba nigdy by nie zdołała naprawdę go poznać. Lecz jakie to mogłoby mieć znaczenie, jeśli i tak zobaczy go jeszcze tylko raz?

Zmusiła się, by dokończyć list do Cissie. Wszystko dokładnie w nim wyjaśniła, załączyła formularz i jeden klucz do sejfku. Swoją trzymała w portfelu. Postanowiła wybrać się do miasta na pocztę. Chciała załatwić wszystko, póki pamiętała o szczegółach. Przez to ciągłe myślenie o Zanie stawała się coraz bardziej roztargniona.

W drodze do miasteczka też nie mogła odegnąć myśli o nim. Załatwiła sprawę na poczcie i wybrała się na poszukiwanie zakładu zajmującego się wywozem śmieci. Chciała, by ktoś zabrał wszystkie graty, walające się po podwórku Jimmie'ego. Musiała jeszcze kupić środki czyszczące i pójść do pośrednika handlu nieruchomościami, by wystawić dom na sprzedaż.

Upał robił się coraz trudniejszy do zniesienia. Idąc rozgrzany i zatłoczony chodnikami miasteczka, marzyła o kąpieli w jeziorze.

Nagle zadała sobie pytanie, jak mogła całe życie wytrzymać wśród tłocznych ulic Cleveland, pośród betonu i cegły. Marzyła o powrocie nad jezioro, do prostego i spokojnego życia. Lecz wraz z tymi marzeniami znów zalała ją fala wspomnień o Zanie.

Przygryzła wargę, czując ukłucie bólu. Stała jej przed oczami jego twarz, poczuła na ustach jego pocałunki, najpierw czułe, potem coraz bardziej gwałtowne i namiętne. To wspomnienie bolało.

Czy naprawdę pojawi się u niej z książkami? Co powie? Co ona powie jemu?

Zatrzymała się przed witryną księgarni. Jak na ironię, na wystawie leżał wachlarz egzemplarzy najnowszej powieści Farleya Collinsa. Okładka była szkarłatna, tytuł „Iluzje” przyzywał złotymi literami. Pod wpływem nagłego impulsu Kelly weszła do środka. Koło lady, na podłodze, spał stary biały pudel, a przy kasie stał mężczyzna. Miał kanciastą sylwetkę, jakby cały składał się z ostro zakończonych brył geometrycznych.

- Czym mogę służyć? - spytał ostrym głosem, zsuwając lekko okulary z nosa.

- Chodzi mi o... chodzi mi o tę książkę na wystawie, „Iluzje”. Słyszałam, że autor jej mieszka w tej okolicy. To prawda?

- Nie mam pojęcia - mruknął mężczyzna ze znużoną miną. - Nie uważam się za jego miłośnika

- Hm - chrząknęła zmieszana - po prostu... tylko słyszałam takie pogłoski.

- Nikt nie wie, gdzie mieszka Farley Collins, o ile mi wiadomo.

Mnie to naprawdę zupełnie nie robi różnicy. Opowieści z dreszczykiem, powieści grozy to nie jest mój ulubiony gatunek. Ja czytam prawdziwą literaturę. Powieści Farleya Collinsa pomagają mi jednak płacić czynsz. On jest skrajnie komercyjny, więc i ja traktuję go skrajnie komercyjnie. - Na twarzy sprzedawcy malowała się pogarda.

- A czytał pan którąś z jego książek?

- Nie. Widziałem tylko film na podstawie jednej z pierwszych.

Wręcz niewyobrażalny. Ale teraz słyszałem, że już nie będą kręcić

według jego powieści. Może to oznacza, że jednak ma odrobinę gustu.

Kelly patrzyła na niego zastanawiając się, czy Zane odbierał ją jako taką samą snobkę, jak ona tego faceta.

- A skoro interesują panią miejscowi pisarze - rzucił, podchodząc do jednej z półek - to mamy ich tutaj sporo. Tyle samo co pies na sobie pcheł. Tam dalej jest uniwersytet, rozumie pani. Pisarze wyrastają tu jak grzyby po deszczu. Niektórzy nawet dobrzy.

Kelly zorientowała się, że ten mężczyzna czuje się dobrze tylko wówczas, kiedy okazuje swoją przewagę. Patrzyła na półkę pełną pięknych książek.

- Co panią interesuje? - spytał tonem pełnym wyższości. - Historia? Biografie? Folklor? Poezja? A może powieść z dreszczykiem?

- Chciałabym... Tu nad jeziorem mieszka pisarz. Poznałam go.

- Ach, to pewnie ten facet o nazwisku Graye - rzucił mężczyzna, wydymając pogardliwie wargi. - Ma przynajmniej dość oleju w głowie, by pisać pod pseudonimem i z poczucia przyzwoitości nikomu tego pseudonimu nie zdradza. Píše westerny. Te najtańsze. Można je dostać tam w kiosku. Ja ich nie prowadzę. Są jakieś granice.

Kelly patrzyła na niego chłodno. Przysięgała sobie w duchu, że nigdy już nie będzie nikomu okazywała swojej wyższości.

- Na co więc się pani decyduje? - spytał rzeczowo.

- Mam tu piękny album miejscowych grzybów. W tym tygodniu po niższej cenie. Czterdzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów.

- Poproszę książkę Collinsa - rzuciła. - Nic więcej. Mężczyzna przewrócił oczami, nawet nie kwapiąc się ukryć swojej dezaprobaty. Kelly odwróciła się i zaczęła przeglądać książki na półce z tyłu. Teraz zrozumiała, dlaczego Zane poczuł się taki dotknięty jej opinią. Przecież zachowała się zupełnie tak, jak ten wyniosły i obrzydliwy facet.

Przeglądała półki z książkami dla dzieci. Nie bardzo wiedziała, dlaczego kupuje książkę Zane'a. Może był to z jej strony akt skruchy,

może przeprosi go i poprosi o podpisanie tej książki? Czy sprawiłoby mu to przyjemność?

Nagle zdała sobie sprawę, że wpatruje się w egzemplarz swojej drugiej książki. Zbladła. Książka była przeceniona o połowę. Stała wciśnięta pomiędzy dziesiątki innych. Wzięła ją do ręki i zwróciła się do mężczyzny.

- A co może pan powiedzieć o tej?

- Niewiele - rzucił obojętnie. - Słyszałem, że jest nieszkodliwa.

- Nieszkodliwa? - spytała podniesionym głosem.

- A co to znaczy?

- Po prostu nieszkodliwa - uciął. - Słodka i mdła. Jak budyń waniliowy.

Krew uderzyła jej do głowy. Położyła książkę na ladzie obok książki Zane'a.

- Też ją wezmę.

Wyszła ze sklepu z szeleszczącą torbą, w której pod postacią dwóch książek niosła część swojej duszy i część duszy Zane'a. Przeszył ją ból na myśl, że może ich dusze nigdy nie znajdą się blisko siebie w żaden inny sposób.

Wróciwszy do domu zauważyła ze zdumieniem, że w najbliższej okolicy pojawił się nowy mieszkaniec. Wprowadził się do największego domu nad jeziorem, niedaleko domku Jimmie'ego..

Na trawiastym podjeździe stał elegancki lincoln Continental, przy brzegu przyczepka do przewożenia łodzi, a w małym porcie była przycumowana duża błyszcząca łódź.

Z domu dobiegały głośnie dźwięki jakiegoś klasycznego utworu. Kelly zgrzytnęła zębami i wysiadła z samochodu.

- Hop, hop, Kelly! - usłyszała w tej samej chwili głos Mavis, siedzącej u siebie na ganku. - Jak się masz, kochanie? Chcę do ciebie wpaść i przedstawić cię doktorowi Hardesty'emu. Przyjechał zaraz po twoim odjeździe.

Kelly pomachała ręką Mavis, usiłując zrobić to z takim samym entuzjazmem.

- Będiesz przez chwilę w domu? Czy może zaraz wychodzisz z



tym swoim znajomym?

- Nie, będę w domu - odparła i ból przeszył jej serce.

Zdażyła tylko rzucić zakupy, przebrać się i pogłaskać witającego ją z radością psa, a Mavis już pukała do drzwi. Kelly otworzyła, ubrana w białą bluzkę koszulową i białe szorty. Psa chwyciła na ręce, żeby nie przewrócił sąsiadki.

- Muszę się wziąć do roboty - powiedziała szybko - ale proszę, wejdź na chwilę.

- Nie, nie. - Mavis miała na sobie kwiecistą podomkę i biały fartuch. - Nie będziemy teraz wchodzić. Doktor Hardesty jeszcze się rozpakowuje, a ja muszę dokończyć ciasto. Może wpadnę później przynieść ci coś dobrego. - W oczach Mavis pojawił się konspiracyjny błysk. - A to jest doktor Terry Hardesty. Doktorze, proszę poznać Kelly Cordiner, siostrzenicę Jimmie'ego, z Cleveland.

Wzrok Kelly spotkał się ze spojrzeniem orzechowych oczu za parą drogich okularów w metalowej oprawie. Terry Hardesty był szczupłym mężczyzną, odrobinę wyższym od Kelly. Miał ze czterdzieści lat, włosy modnie ostrzyżone. Nosił mocno wykrochmaloną niebieską koszulę i podobnie wykrochmalone białe szorty. Był tak opalony, jakby spędził co najmniej tydzień pod specjalną lampą. Robił wrażenie człowieka zadowolonego z siebie.

- Dzień dobry - powiedział z promiennym uśmiechem.

Miał szczupłą twarz, kościste policzki i cieniutkie wąsiki.

Przypominał Kelly świetnie zadbanego, eleganckiego gryzonia.

- Miło mi pana poznać - powiedziała naturalnym, lecz niespecjalnie szczerym tonem i podała mu rękę. Jego dłoń była wilgotna.

- Bardzo mi miło - rzucił, wciąż się uśmiechając i nie wypuszczając jej ręki ze swojej. - Mavis opowiadała, że jest pani nauczycielką i pisarką. Mamy więc ze sobą coś wspólnego, bo ja jestem psychologiem.

Kelly nie była pewna, czy mają ze sobą coś wspólnego. Odetchnęła z ulgą, kiedy udało jej się wyswobodzić rękę z jego uścisku.

- To pan puszcza tę muzykę?

- Trudno mieć dość dobrej muzyki - skostatował z uśmiechem.

Kelly już miała wyrazić przeciwne zdanie, ale przeszkodziła jej w tym Mavis.

- Wyobraź sobie, że doktor Hardesty ma nową łódź i zaprosił nas na przejażdżkę dziś wieczorem. Wspaniale, prawda? Będzie cudownie!

- Ja... - zaczęła Kelly.

- Wezmę magnetofon - przerwał jej Terry Hardesty. - I posłuchamy „Madame Butterfly”. W ten sposób nie tylko będę słuchał opowieści o pięknej kobiecie, ale będę w towarzystwie dwóch pięknych kobiet. Może wezmę też butelkę szampana.

- Nie wydaje mi się... - znów zaczęła Kelly.

- Kelly, tak nie wolno - przerwała jej, tym razem Mavis. - Jeśli ty nie popłyniesz, ja też nie. A mam wielką ochotę. Z tą nieszczęsną nogą prawie nigdzie się nie ruszam... a to byłaby naprawdę cudowna wyprawa. I z szampanem! Prawdziwym szampanem! Musisz popłynąć! Naprawdę będę rozczarowana, jeśli się nie zdecydujesz.

- Ale... - bąknęła Kelly.

Doktor Hardesty wykonał ruch przypominający ukłon lub podskok.

- Nie przyjmuję żadnych wymówek - powiedział z uśmiechem.

- Chyba masz jakieś listy w skrzynce - zauważyła Mavis. - A może już wyjęłaś? Jeśli nie, to mogę ci przynieść, jak pójde po swoje. Zawsze pierwsza wyjmuję pocztę. Żyję listami. Chętnie ci przyniosę.

- Nie, dzięki - odparła Kelly. - Pójde sama. Odebrała już jeden list - niebieską kopertę z adresem wypisanym charakterem matki - ale wciąż leżał na stole nie otwarty.

- Jak chcesz - powiedziała Mavis z uśmiechem.

- Chciałam tylko wyświadczyć ci sąsiedzką przysługę.

- Nagle twarz jej wykrzywiła się bólem. - Oj, moja noga. Czasem naprawdę okropnie boli. Ty, kochanie, jeszcze nie wiesz, jak dobrze jest mieć na co czekać. Na przykład na naszą wyprawę dziś wieczorem. Oświadczam wam, że czuję się prawie jak przed balem. Zwłaszcza że wybieramy się z naszym przystojnym doktorem

Hardestym.

Mężczyzna uśmiechnął się, zadowolony z komplementu, lecz niemal w tej samej chwili twarz mu spoważniała, bo Mavis znów jęknęła z bólu.

- Chyba przesadziłam z wysiłkiem. Doktorze Hardesty, czy mógłby pan mnie odprowadzić? Powinnam trochę odpocząć. Muszę być w formie przed wyprawą!

Terry wziął Mavis pod rękę, a Kelly posłał uśmiech, który miał być zabójczy, lecz ona znów tylko pomyślała, że jest podobny do gryzonia.

-Do zobaczenia wieczorem - powiedział głosem gładkim jak jedwab. - Około siódmej?

- Nie jestem pewna... - zaczęła Kelly.

- Och - znów przerwała jej Mavis - zapomniałabym o tym. - I sięgnąwszy do kieszeni fartucha wyciągnęła kilka listów bez kopert. - Są od twojego wujka. Pisał naprawdę pięknie. Pewnie tak samo jak ty.

Zdumiona Kelly wzięła je do ręki. Pisane były na papierze, którego Jimmie zawsze używał. Podobna papeteria wciąż leżała na jego biurku.

- Uff - jęknęła Mavis. - Muszę iść. Do zobaczenia wieczorem, Kochanie. - Odeszła wsparta na ramieniu doktora Hardesty'ego.

Kelly zamknęła drzwi, odcinając się także od muzyki, która rozbrzmiewała teraz tak głośno, że na pobliskich drzewach aż drżały liście.

- Naprawdę lubię muzykę klasyczną - powiedziała do psa, stawiając go na podłodze. - Ale trudno jej słuchać tak głośno, żeby płoszyło to ptaki. - Postanowiła porozmawiać na ten temat z doktorem Hardestym. Im szybciej, tym lepiej.

Upewniła się, że wszystkie okna są zamknięte i żeby choć odrobinę zagłuszyć hałas, włączyła klimatyzację. Skuliła się na starej zielonej kanapie i otworzyła list od matki. Na kartce był rysunek uśmiechniętego zajaczka.

Kochanie Moje, dopiero wyjechałaś, a ja już piszę, by ci było

przyjemnie dostać list. Trudno mi wyrazić, jak jestem ci wdzięczna, że podjęłaś się tego zadania. Zawsze byłaś kochaną córeczką. Uważaj na siebie.

Ściskam cię Mama P.S. Nie zapomnij wygospodarować sobie czas na pisanie książki.

Kelly uśmiechnęła się. Kochana Cissie, zawsze myśli o mnie. Moja książka. Miała wrażenie, że od lat o niej nie myślała. Może zadedykuje ją pamięci Jimmie'ego?

Tak, to dobry pomysł, Cissie też się spodoba i Jimmie pewnie byłby zadowolony.

Znów ogarnął ją smutek, który prześladował ją od rana. Popatrzyła na listy otrzymane od Mavis i zaczęła je czytać.

Po chwili знаła już wszystkie trzy. Napisał je do Mavis w tonie przyjacielskim i pogodnym. Opowiadał o chodzeniu na ryby, o krajobrazach, o swoich zwierzętach. W dwóch pierwszych nic specjalnego nie uderzyło Kelly, lecz w trzecim, na samym końcu, przeczytała coś, co zaciążyło jej na piersi jak najcięższy kamień.

Pamiętasz mojego kumpla od łowienia ryb, o którym ci opowiadałem? Tego, co ma na imię Zone? Cóż, kochałem go jak brata, ale teraz już koniec. Znów wpędził w kłopoty dziewczynę. Kolejną. Tym razem to młoda nauczycielka z Wayne County. Oczywiście, chce wyjść za niego, ale on, jak zwykle, nie chce o tym słyszeć.

Wiem, że nie jest to stosowny temat, by poruszać go w liście do takiej damy jak ty, lecz mimo że w ogóle lubię tego faceta, muszę zerwać tę przyjaźń. Nadaje się na kumpla, ale kiedy pomyślę, że mógłby się zbliżyć do mojej siostrzenicy czy innej porządnej dziewczyny, to aż robi mi się niedobrze. Ten facet jest chyba chory.

Myślę, że zerwę przyjazne stosunki ot, po prostu i poproszę, by mi oddał rzeczy, które dałem mu na przechowanie - rzeczy przeznaczone dla mojej siostry i siostrzenicy. Chciałbym cię prosić, byś ty mi je przechowała. Chodzi po prostu o to, by były bezpieczne i w razie gdyby coś się ze mną stało, żeby trafiły do nich. Wiem, że mogę ci ufać i chciałbym, żebyś przechowywała to wszystko ty, a nie

on.

Dziś znów widziałem błękitną czapkę...

Nie mogła dalej czytać. Kamień na jej piersi osiągnął ciężar nie do zniesienia. Łzy piekły ją pod powiekami. Gdyby Jimmie żył, to ze względu na nią zerwałyby stosunki z Zane'em. Czy wiedział, że niedługo umrze, a wtedy ona go pozna? Chciał temu zapobiec?

W końcu złożyła wszystkie listy, wstała, poszła do sypialni i wsunęła je do pustej szuflady biurka. Popatrzyła tępym wzrokiem w lustro. Twarz miała prawie tak białą jak bluzka, a na policzkach jakby chorobliwe wypieki.

Oparła ręce o biurko, żeby jakoś się pozbierać. I w tej samej chwili wzrok jej padł na okładkę książki. „Jej demoniczny kochanek”.

Odwróciła się i znów spojrzała w lustro. Może, powiedziała do swojego odbicia, może Jimmie się mylił. To zupełnie niepodobne do niego tak plotkować. I to w dodatku w liście. Potrząsnęła głową. Ale przecież to jego pismo i jego papeteria, czyli jednak on był autorem tego listu. Rzuciła się na łóżko i ukryła twarz w poduszce. Dlaczego boli ją to, czego się dowiedziała? Jakie to ma dla niej znaczenie? Co za różnica?

Ogromna różnica, odpowiedziało jej coś w sercu, ogromna różnica. I uświadomiła sobie, że nawet jeśli to głupie, zakochała się odrobinę w Zanie, po trosze w pisarzu, a po trosze w mężczyźnie.

Lecz jeśli odrobina miłości tak boli, to naprawdę nie ma ochoty kochać bardzo. Nigdy. Cissie miała rację.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Zane przysiągł sobie, że nie popłynie ani nie pojedzie do Kelly, póki nie odzyska stanu trzeźwości umysłu i nie ochłonie.

Nie miał zamiaru jej tknąć, zwłaszcza po uroczystości pożegnania Jimmie'ego. To wszystko przez ten prześmieszny wypadek, kiedy wpadli do wody. Rozluźnili się, zaczęli się śmiać i zupełnie nie był w stanie się powstrzymać.

Kiedy Kelly wyciągnęła się przy nim na kamieniu, jedno złote ramię wsuwając sobie pod głowę, a drugą ręką przytrzymując zapięcie mokrej bluzki, wyglądała jak smukła i piękna syrena. Perlisty śmiech wstrząsał jej piersiami, twarz miała rozjaśnioną, wręcz zachwycającą. Zane na ogół potrafił nad sobą zapanować, lecz tym razem ogarnęło go tak wielkie pożądanie, że natychmiast musiał poczuć smak jej ust i dotknąć jej ciała.

Potem nagle Kelly zamarła, odsunęła się od niego żalując, że pozwoliła sobie na tę chwilę intymności. Zadał sobie wówczas pytanie, po co, u diabła, dał się porwać pragnieniu. Przecież była siostrzenicą Jimmie'ego, jeszcze niemal dzieckiem. Zbyt mało znała życie, w przeciwieństwie do niego, który poznał zbyt wiele jego stron. Zawsze był samotnikiem i na zawsze nim pozostanie, pamiętając doświadczenia rodziców i swoje przeżycia w Wietnamie.

Poza tym miała lekceważący stosunek do jego pracy. Trudno mu było to znieść. Myślał, że przez lata uodpornił się na krytykę, nawet miażdżącą, lecz kiedy ostre słowa tak łatwo wypływały z jej ładnych ust, doznawał przenikliwego bólu.

Chciał zapomnieć o Kelly, zupełnie. Żeby sobie ułatwić to zadanie, zaprosił na wieczorną przejażdżkę łodzią córkę sąsiada, rozwiedzioną rudowłosą Annie Prudhomme.

Lecz Annie go nudziła. Łowiła każde jego słowo, pochylając się tak, by mógł podziwiać wyraźny rowek pomiędzy jej piersiami. Napraszała się, że chce przeczytać którąś z jego książek, bo jeśli pisze tak, jak mówi, to przecież jego powieści muszą być naprawdę

cudowne.

Co ja robię? - pytał sam siebie patrząc, jak Annie roztrzepuje włosy na wietrze. Oto rozpalona, zmysłowa Annie, a on siedzi i myśli o sztywnej, zbyt wysokiej, zbyt chudej nauczycielce, zarozumiałej, nienawidzącej jego książek, choć nie zadała sobie trudu, by którąś z nich przeczytać.

Dlatego też prawie się ucieszył, kiedy nagle spostrzegł ją na innej łódce, płynącej po jeziorze. Była to duża łódź z kabiną. Kelly stała obok mężczyzny, który wydawał się bardziej niż odrobinę nią zainteresowany. A na domiar wszystkiego mężczyzną tym był ten idiota psycholog, który zazwyczaj przyjeżdżał tu latem, ten, o którym Jimmie opowiadał, że ma tyle rozumu, co kot napłakał.

Obie łódki przepłynęły blisko siebie w przeciwnych kierunkach. Zane wykrzywił z niesmakiem usta. Nigdy nie lubił Hardesty'ego, uważał go za kabotyna. Był to zbzikowany, egocentryczny obłudnik. Trzymał się niezachwianie swoich opinii. Opinii, które Zane uważał za idiotyczne, a Jimmie za absurdalne i zabawne. Był pompatycznym, zapatrzonym w siebie nudziarzem, uwielbiającym się przechwalać swoimi osiągnięciami i romantycznymi podbojami.

Kelly stała u jego boku, z kasztanowymi włosami rozwianymi na wietrze. Jej długie nogi odbijały złotem opalenizny od białych szortów. On mówił do niej z ożywieniem, a ona słuchała z uwagą. Nawet w pewnym momencie przytaknęła mu ruchem głowy i uśmiechnęła się.

Boże, pomyślał Zane, czy chciała mieć takiego mężczyznę? Takiego ograniczonego typu? Najwyraźniej tak, bo nawet nie zauważyła Zane'a. Cóż, pasują do siebie. Będą mogli godzinami gratulować sobie nawzajem swojego poczucia wyższości.

- Uważam, że to zadziwiające, że zarabiasz na życie pisaniem książeczek o kowbojach - zaszcebiotała Annie. - Jakbym ja miała wymyślić te wszystkie słowa, żeby napisać książkę, to moja biedna głowa chyba pękła. Jesteś naprawdę wspaniała.

- Kochana z ciebie dziewczyna - powiedział i pochylając się pocałował ją w nos.

Chciał, żeby Kelly to zobaczyła, lecz kiedy się obejrzał, taka była zajęta rozmową z Hardestym, że na pewno niczego nie spostrzegła.

- Och — szepnęła Annie - jeśli w nos potrafisz tak całować, to co dopiero w usta?

Jeśli dam radę, moja droga, pomyślał znużony, nigdy nie wiadomo.

Popatrz, popatrz, myślała Kelly, zerkając dyskretnie. Wczoraj wieczorem ścisnął się ze mną na skałach, dziś całuje jakąś rudą. Kto pojawi się jutro? Dwie blondynki z brunetką dla kontrastu?

- Chciałabyś posterować? - spytał Terry Hardesty. Był teraz w granatowych spodniach i doskonale wyprasowanej białej koszuli. Na głowie miał czapkę kapitańską, a na nogach białe tenisówki.

- Nigdy w życiu nie sterowałam - odparła z nerwowym uśmiechem.

- Proszę, chwyc tylko koło, a ja stanę za tobą i będę czuwał.

Razem z nią ujął koło, a wyglądało to tak, jakby ją obejmował. Kelly poczuła do niego wstręt, lecz postanowiła tego nie okazywać. Przynajmniej zrobił tyle, że spełnił jej prośbę i nie nastawił głośno muzyki. Chciał bowiem przepłynąć jezioro z muzyką nastawioną na cały regulator.

- Widzisz? - zadyszał jej przy karku. - Całkiem dobry z ciebie pierwszy oficer. Podoba ci się rola mojego pierwszego oficera?

Kelly wstrząsnęła się, słysząc to pytanie, zwłaszcza że z naciskiem wymówił słowo „mojego”. Nie mogła znieść nawet zapachu jego wody kolońskiej, który tłumił świeżą woń wieczornego powietrza.

- Hej, hej! - zawołała z kabiny Mavis. - Gotowi na lody oblane czekoladą? Ale życie, co, kochani?

- Chyba powinniśmy zrobić przyjemność kochanej staruszce? - zamruczał do ucha Kelly. - Jest słodka, prawda? Zawsze taka serdeczna dla wszystkich.

Kelly przytaknęła machinalnie ruchem głowy, patrząc w dal na drugą łódź. Jeśli Zane ją zauważył, to nie dał tego po sobie poznać, pomyślała. Nawet nie skinął jej głową na powitanie. Trudno, obejdzie się. A ta rudowłosa niech lepiej uważa. Mavis znów jej naplotkowała o jednej kobiecie, że zaszła z nim w ciążę, ale na



pewno było ich więcej. Nic dziwnego, że Jimmie chciał z nim zerwać.

Kiedy jednak później, leżąc już w łóżku, czytała dalej „Jej demonicznego kochanka”, zapomniała o całej swojej niechęci.

Zagłębiła się w mroczny bajkowy świat stworzony przez Zane'a.

Przeczytawszy kilka ostatnich linijek, zamknęła książkę i długo patrzyła przed siebie, pieszcząc palcami błyszczącą okładkę.

Był dobrym pisarzem, pomyślała, naprawdę świetnym. Jaką miał fascynującą wyobraźnię, jaki talent rozsiewania czaru. Nie potrafiła odłożyć książki, jakby Zane zapanował nad jej umysłem.

Stanął jej przed oczyma, cała jego postać. Dla kogoś przypadkowego mógł wyglądać na nieskomplikowanego mężczyznę, lubiącego sport i rozrywki na świeżym powietrzu. Na pewno więc łatwo mu udawać autora prostych westernów, w których mowa tylko o strzelaninie. W rzeczywistości jednak miał nadzwyczaj złożoną osobowość i ogromny talent. Potrafił oczarować.

Tak, potrafi oczarować, pomyślała, wodząc palcami po książce. Kobiety powinny się go wystrzegać. Dobrze o tym wiedziała.

Nazajutrz Kelly znów usiłowała przestać myśleć o Zanie. Miała ogromną ochotę zabrać się do czytania następnej jego książki, „Iluzji”, ale zmusiła się, by ją odłożyć. Zamknęła ją w szufladzie obok listów Jimmie'ego i wzięła się do pracy.

W połowie tygodnia dom błyszczał czystością, a podwórze zostało uporządkowane. Mogła zabrać się do pisania. Nie miała telefonu, ale zupełnie jej to nie przeszkadzało. Tęskniła tylko za rozmowami z Cissie. Świetnie się czuła, mieszkając na skraju lasu z widokiem na jezioro i skały.

Lecz Mavis Pruer i Terry Hardesty nie byli idealnymi sąsiadami dla kogoś, kto chciał pisać książkę. Mavis bowiem wpadała dwa, trzy, razy dziennie, by pogadać i kolejny raz zasypać Kelly smakołykami.

Niestety nie miała talentów kulinarnych, dziewczyna więc nie brała tego jedzenia do ust. Kiedyś nawet chciała nakarmić psa zupą, którą dostała od Mavis. Czuła się z tego powodu winna, lecz pies też odszedł od miski, dziwnie spoglądając na Kelly.

- Niedobre, prawda? - spytała współczująco.

Jedynym jej kontaktem ze światem zewnętrznym była poczta. Wczoraj dostała list od Cissie, w którym mama donosiła, że schowała dobrze swój klucz do sejfu i przesłała pocztą swój podpis do banku. Kelly odwrotnym listem jeszcze raz ją zapewniła, że kosztowności naprawdę są bezpieczne. Wiedziała, że mama nad wyraz się tym przejmuje.

Największy kłopot miała teraz z Terryem. Coraz bardziej ją irytował. Uważała go za niesympatycznego ekscentryka i zupełnie nie rozumiała, dlaczego Mavis go lubi. Najwyraźniej był zdania, że jako psycholog może bez przerwy ingerować w życie dziewczyny i starać się je ulepszyć. Przychodził często, choć nigdy go nie zapraszała. Mówiła wtedy: „Muszę pracować”. A on na to odpowiadał: „Posługujesz się pracą jak mechanizmem obronnym, a to nie jest zdrowe”.

Dziś był szczególnie męczący. Zjawił się przed południem z dzbankiem ziołowej herbaty i stwierdził, że powinna ją pić zamiast swojej ulubionej kawy.

- Naprawdę nie powinnam robić sobie przerwy - westchnęła, wpuszczając go do środka. - Muszę pracować.

- Jak długo będziesz się przede mną chowała za tak zwaną pracą? - spytał, jakby znał sekret, który trzymał przed nią w tajemnicy. Kelly zjeżyła się, lecz nalała herbaty, by jak najszybciej się go pozbyć.

- Wcale się przed tobą nie chowam. Przyjechałam tu pracować, a ty odpoczywać.

Siedząc przy kuchennym stoliku, Terry ogarnął wnętrze krytycznym okiem.

- No, no, ale tu wysprzątałaś. Nerwica twojego wujka przejawiała się najwyraźniej właśnie w tym, jak mieszkał. W ten sposób wyrażał protest przeciwko wszelkim autorytetom.

- Mój wujek nie miał nerwicy i nie wyrażał protestu przeciwko autorytetom. Po prostu wiódł kawalerskie życie.

- Ależ nie powinnaś tak generalizować. Ja też jestem kawalerem, a nie robię bałaganu. Niektórzy ludzie... ci pozbawieni poczucia bezpieczeństwa... nawet uważają, że za bardzo zwracam uwagę na

porządek.

Kelly westchnęła. Jeszcze porządniejszy mógłby być tylko zawijając się w celofan. Mówił jej, że jest rozwiedziony. Łatwo mogła się domyślić dlaczego.

- A właściwie co dokładnie piszesz, malutka? Nigdy nie chcesz mi powiedzieć. Chyba więc dziś nie wyjdę, póki się nie dowiem.

- Piszę bajki o zwierzętach - odpowiedziała natychmiast, żeby tylko zaraz sobie poszedł.

- Bajki o zwierzętach? - Skrzywił się ze wstrętem.

- Takie, co to zwierzęta w nich mówią i tak dalej?

- Tak - odparła mając nadzieję, że nie słyhać w jej głosie zniecierpliwienia. - Owszem, mówią i tak dalej. To niedobrze?

- Hm, to daje dziecku okazję ucieczki od rzeczywistości. To niezdrowe.

- Fantazjowanie to ważna strona życia - zaproponowała. - I dzieci lubią fantazjować.

- Lubią też jeść cukierki, a od tego psują się zęby - odparował, pijąc łyk herbaty. - Powinnaś pisać o rzeczywistości. Na przykład o chłopcu, którego siostra bije z zazdrości. I jak on sobie z tym radzi. Sam byłem w takiej sytuacji. Taka książka by pomogła wielu osobom. Jesteś za inteligentna, żeby pisać bajki.

- Uważam, że fantazjowanie jest zdrowe - zakończyła.

- Chyba nie chcesz skończyć jak ten pismak, co mieszka w pobliżu. Ten, który pisze westerny.

- Zane? - spytała z niedowierzaniem. - Przyjaciel Jimmie'ego?

- Zgadza się. Niezłą stanowili parę. Ani jeden, ani drugi nie potrafił stawić czoła rzeczywistości. Twój wujek uciekał od niej w alkohol, tamten z kolei żyje w świecie banałów i fałszywej męskości. Przecież uwielbia broń, a strzelba to symbol seksu. Może obawia się o własną...

- No wiesz, jak możesz tak mówić o kimś, kogo prawie nie znasz? A o pijaństwie mojego wuja nie będę dyskutowała.

- Rozumiem, że chcesz odsunąć od siebie myśli o jego wadach - zapewnił ją Terry - ale ja mówię o świecie fantazji.

- Najlepsza książka, jaką czytałam tego lata, to „Jej demoniczny kochanek” Farleya Collinsa...

- Och - zmarszczył brwi poirytowany. - Moda na tego faceta tylko udowadnia, jak niestali potrafią być niektórzy czytelnicy. Pisanie horrorów to infantylne zajęcie. Niewiele wiadomo o Farleyu Collinsie, ale mogę cię trochę oświecić na jego temat. Żyje w odosobnieniu, bo życiem jego rządzi irracjonalny lęk. Moim zdaniem to syn słabego ojca i dominującej matki. Jest pewnie hipochondrykiem i chowa się przed ludźmi, bo cierpi na brak poczucia bezpieczeństwa. Na pewno ma wiele fobii...

- Co za bzdury - rzuciła zniecierpliwiona, odsuwając daleko kubek.  
- Mam dość. Nie wiesz, o czym mówisz. Chyba powinieneś już iść.

Terry zamrugał ze zdumienia, czując się w oczywisty sposób dotknięty.

- Dlaczego okazujesz mi taką wrogość? Chciałem po prostu być pomocny.

- To wyjdź. I proszę, już więcej nie przerywaj mi pracy. - Wstała, gotowa pokazać mu drzwi.

- Pomyśl o tym, co powiedziałem, Kelly. Zobaczysz, że mam rację. Może porozmawiamy o tym dziś wieczorem? Moglibyśmy znów się wybrać na wieczorną przejażdżkę łodzią. - Miał niemal łagodny wyraz twarzy.

- Nie chcę nigdzie płynąć. Będę cały dzień pracowała, a potem się wykąpię. A jeszcze potem mam do napisania listy. Jestem zajęta.

- Właśnie miałem z tobą porozmawiać o kąpaniu się po zmroku. - Zmarszczył brwi. - To naprawdę niemądre. Mavis mówiła mi, że to robisz. Naprawdę, kobieta o twojej inteligencji...

- Terry, możesz sobie pójść?! - krzyknęła. - Możesz po prostu sobie pójść?!

- Po co tak się irytować? - rzucił, najwyraźniej sam poirytowany. - Idę.

Kiedy zamknęła za nim drzwi, westchnęła z prawdziwą ulgą. Pies jednak wyglądał na zasmuconego, że nie ma już towarzystwa.

- To możliwe, byś naprawdę go lubił? - spytała. - Tylko święty albo

idiota mógłby z nim wytrzymać.

Wróciła do maszyny do pisania, mając nadzieję, że Terry nie spowodował w niej całkowitej utraty weny twórczej. I tak ostatnio bardzo powoli jej się pisało i ogromnie była tym zmartwiona. Z drugiej strony wiedziała, że może działo się tak dlatego, iż bez przerwy ktoś jej przeszkadzał. A to Mavis, a to Terry. I te myśli o Zanie. Wciąż nie mogła przestać o nim myśleć, choć nie widziała go już przecież od kilku dni.

Poza tym martwiła się, że gdzieś jej zginął zapasowy klucz do domu. Była niemal pewna, że wisiał na gwoździu przy drzwiach, ale teraz nie mogła go nigdzie znaleźć. Co mogła z nim zrobić?

Martwiło ją też kilka innych rzeczy. Mianowicie to, że nagle zaczęła sypiać jak zabita, tak głęboko, że potem nie pamiętała, czy jej się coś śniło. Budziła się z lekkim bólem głowy. Poza tym czasami miała wrażenie, że ktoś bywa w domu pod jej nieobecność i przegląda jej rzeczy. Papiery na biurku zastawała prawie na tym samym miejscu, ale trochę poprzekładane. Kartka od mamy na jakiś czas gdzieś się zapodziała, a potem zupełnie niespodzianie znów się pojawiła.

Chyba nie powinna była czytać tej książki Zane'a, bo może to ona tak na nią wpłynęła, że teraz wyobraża sobie różne rzeczy.

A jeszcze musiała znaleźć dom dla trzech kotów i psa. Wczoraj, kiedy pies się bardzo pochorował, nagle doszła do wniosku, że zaczęła lubić to dobrotliwe stworzenie.

Patrzyła na białą pustą kartkę myśląc, iż skoro ma tyle rzeczy na głowie, trudno się dziwić, że nie idzie jej pisanie. Nagle w pobliżu ryknęła muzyka. Pewnie Terry nastawił płytę tak głośno, by ją ukarać, bo przez kilka ostatnich dni już tego na jej prośbę nie robił.

Szkoda, że nie ma Zane'a, pomyślała. On na pewno by sobie poradził ze złośliwością Terry'ego. A gdyby ten nie ustąpił, Zane chwyciłby jego sprzęt i wrzucił go do wody. W tej samej chwili jednak znów zakazała sobie o nim myśleć. Przecież mogła go już nigdy nie zobaczyć.

Zapadł wieczór. Dzięki Bogu Terry poszedł się bawić na łódce i

zabrał ze sobą magnetofon. Kelly wstała od maszyny, wyprostowała bolące plecy i poszła do sypialni przebrać się w kostium.

Nie zadała sobie trudu, by coś zjeść. Przez cały dzień skubnęła tylko odrobinę ciasta Mavis, które tym razem było nadzwyczaj nieudane.

Na brzegu pobawiła się przez chwilę z psem, po czym zziajana weszła do wody. Pies usiadł na kamyczkach i patrzył na nią tęsknym wzrokiem.

Wieczór był piękny, zachodzące słońce rzucało tak ognisty blask, że chmury jakby płonęły czerwienią. Woda, odrobinę chłodniejsza niż powietrze, jak jedwab otulała jej ciało. Zanurkowała, płynąc w stronę skał na przeciwnym brzegu. Było cudownie. Poczła jednak, że prędzej się dzisiaj zmęczyła, nogi i ręce wydały jej się nienaturalnie ciężkie.

Zaniepokoiła się trochę, zerknęła w stronę swojego brzegu i zobaczyła tam kropeczkę, którą z tej odległości był pies. Nagle kropeczka się zamazała. Kelly zmrużyła oczy i poczuła, że zbiera jej się na wymioty. Ojej, pomyślała, organizm na pewno się zbuntował. Sporo pracowałam i trochę się martwiłam, a niewiele jadłam. Odepchnęła się od skały i zaczęła płynąć w stronę domu. Płynęła kraulem, stylem najbardziej wydajnym. Na środku jeziora nagle poczuła przeszywający ból brzucha. Zwinęła się w kłębek, ledwie łapiąc oddech, tak że przypadkiem napiła się wody. Zakaszła i w tej samej chwili znów poczuła ten sam przeszywający ból brzucha. Zaczęła wymachiwać rękami i nogami, zachłystywała się wodą. Już nie płynęła, tylko walczyła o utrzymanie się na powierzchni. Ból nie ustępował. Chciała krzyknąć, lecz znowu zakrztusiła się wodą.

To niemożliwe, to nie może się zdarzyć, myślała w panice. To zdarza się innym. Mnie nie może się zdarzyć.

Brakowało jej oddechu, dusiła się. Otworzyła usta. Znów woda. To niemożliwe. Ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Nie mogła zaczerpnąć powietrza, była bezbronna, tonęła.

Ktoś trzymał ją w ramionach. Bardzo silnych ramionach. Bolała ją głowa, paliło w gardle i płucach, bolał ją żołądek. Kończyny miała

bezwładne i nie miała siły otworzyć oczu. Lecz ramiona, które ją trzymały, były silne, przyjazne.

Nagle poczuła, że leży na brzuchu na czymś twardym i kłującym. To trawa? Nie miała pewności. Było jej zimno, wstrząsnął nią dreszcz.

Silne ręce naciskały teraz bardzo mocno na jej plecy, a kiedy puściły, zatchnęła się. Powietrze napływało do jej płuc, paliło. Chciała tylko odpocząć, powrócić w ciemność.

Ręce jednak znów nacisnęły na jej plecy, co zmusiło ją do zaczerpnięcia głębokiego, bardzo bolesnego oddechu. Te ręce stały się dla niej wrogie, nie chciały zostawić jej w spokoju, torturowały ją tak długo, aż jej oddech, bolesny i świszczący, odzyskał miarowość.

Teraz ręce przewróciły ją na plecy. Głaskały ją po czole, wycierały twarz. Nagle dotknęło ją coś jeszcze, coś ciepłego i wilgotnego. To pies, pomyślała, lize mnie pies.

Silne ramiona podźwignęły ją i gdzieś niosły. Spoczywała w nich bezwładnie, tak słaba, że nie mogła otworzyć oczu. Czuła się jakby zrodzona przez ciemność. Wędrownka wydawała jej się nieskończenie długa i bolesna.

Usłyszała trzask zamykanych drzwi. Ramiona położyły ją na czymś miękkim. To łóżko. Leżała na łóżku. Teraz mogła zapaść się w ciemność i czuć się bezpiecznie.

Lecz nagle wymierzono jej policzek, aż skóra ją zapiekła. Próbowwała odwrócić głowę, lecz uderzono powtórnie.

- Obudź się, no, oprzytomniej - zahuczał głos.

Trzecie uderzenie zapiekło jeszcze bardziej, aż spod powiek popłynęły jej łzy. Otworzyła oczy, by zobaczyć, kto ją tak torturuje. Zafalowała przed nią jakaś twarz, zmartwiona, pobrużdżona, sympatyczna.

Ręka chwyciła ją za podbródek, ramię objęło ją zmuszając do tego, by usiadła.

- Siadaj - powiedział męski głos. - Wiem, że tam jesteś. Wracaj do mnie.

Miał szare oczy, pełne cętek, jakby z popękanego szkła. Znała te

oczy. Już kiedyś się w nich zagubiła, a teraz się w nich odnalazła.

- Zane? - Poczowała pieczenie w obolałym gardle.

- Ten sam, we własnej osobie.

Zadrzała tak gwałtownie, że zadzwoniły jej zęby. Wciągnął ją sobie na kolana, a ona oparła głowę na jego ramieniu.

- Uspokój się - powiedział.

Był taki ciepły i silny, że zapragnęła już zawsze siedzieć tak przytulona do niego. Znów zamknęła oczy, napawając się jego siłą.

- Coś się stało - wymamrotała.

- Oczywiście. - Pieścił rękami jej drżące plecy.

- Zrobiło mi się niedobrze.

- Wiem. Również z mojego powodu.

Jęknęła upokorzona. Znów pogłaskał ją po plecach.

- Teraz już wszystko w porządku. Miliony litrów wody w jeziorze wszystko zmyły. A ja znów zmyłem z siebie wszystkie brudy.

Dziękuję.

- Jesteś cały mokry - zauważyła, dopiero teraz sobie to uświadamiając.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza.

Zadrzała i zarzuciła mu ręce na szyję, złakniona jego czułości.

- Ty mnie uratowałeś?

- Można by tak powiedzieć.

- Jak? Skąd się tam wzięłeś? - spytała, wtulając się w jego ramię.

- Przyjechałem konno. Zapukałem. Nikogo nie było. Zobaczyłem psa na brzegu. Popatrzyłem, w które miejsce się wpatruje i znalazłem cię.

- Czy już wtedy... byłam w niebezpieczeństwie? - Niezbyt dokładnie pamiętała przebieg wypadków. Przytuliła twarz jeszcze mocniej do jego ramienia.

- Nie. Ale nie płynęłaś równo. Aż nagle... zgięłaś się w scyzoryk.

- Dzięki ci.

Czuła miarowe bicie jego serca. Jesteś bezpieczna, mówiło jej, jesteś bezpieczna, jesteś bezpieczna.

- No a teraz położę cię i przykryję.



- Nie - zaproponowała. - Trzymaj mnie tak w ramionach.

Przesunął w milczeniu ręką po jej mokrych włosach. Poczwała, że serce mocniej mu zabiło.

-Trzymaj mnie - powtórzyła - proszę cię. Nie puszczaj. Jeszcze nie teraz.

Na chwilę w powietrzu zawisła cisza, zakłócana tylko biciem jego serca tuż przy jej uchu.

- Dobrze - powiedział, całując ją w policzek. - Dobrze.

I opadł na plecy, trzymając ją w ramionach.

- Nie puszczaj mnie - poprosiła, nie wstydząc się tego, co mówi.

-Kelly, Kelly, Kelly... - wyrzucił z siebie charczącym głosem, jakby też miał obolałe gdzieś głęboko gardło. - Nie puszczę cię.

RS

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Kiedy Kelly się obudziła, było jej zimno, czuła się słaba, obolała i samotna. Była opatulona kołdrą. Przez uchylone drzwi sypialni wpadały promienie światła. Pies leżał na pościeli, patrząc na panią poważnym wzrokiem, i z powagą merdał ogonem.

- Och! -jęknęła, wspierając się na łokciu, lecz zaraz opadła z powrotem na wygodną poduszkę.

Niezbyt dokładnie pamiętała, co się wydarzyło, czuła tylko, że czegoś jej brakuje, ale nie mogła sobie uświadomić czego.

- Czyżbym słyszał odgłosy życia?

Znieruchomiła. To Zane. To jego tak jej brakowało. Leżała w jego ramionach. Teraz oddalił się, a łóżko wydawało się puste, opuszczone.

- Pytam, czy żyjesz?

- Chyba nie. - Zawinęła się jeszcze szczelniej w kołdrę.

Nagle do sypialni wpadło więcej światła. To Zane szerzej otworzył drzwi.

-W takim razie niedobrze, bo już zaczynałem cię lubić.

Dostrzegła jego postać w drzwiach. Jęknęła i odwróciła się, chowając twarz w poduszkę. Pomyślała, że musi okropnie wyglądać. Naciągnęła poduszkę na głowę.

- Dlaczego chcesz się schować? - spytał, siadając na brzegu łóżka.

- Bo tak się czuję. Jak coś, co powinno być schowane.

- To dziecinne sztuczki. Nic a nic nie pomagają.

Delikatnie rozluźnił jej palce i zabrał poduszkę. Pogłaskał ją po starganych włosach.

- Jak więc się czujesz?

- Głupio - wymamrotała, leżąc twarzą na prześcieradle, z zaciśniętymi oczami. - Niesamowicie głupio. - Czuła jego cudowny dotyk. Jakże wspaniale jest mieć Zane'a przy sobie.

Pogłaskał ją po karku, zacisnął na nim dłoń.

- Pytam, jak się czujesz fizycznie?

- Jest mi zimno, mokro, wszystko mnie boli. Idiotycznie.

Wziął ją za ramiona i odwrócił na plecy. Zamrugła i spojrzała na niego, lecz w świetle wpadającym z sąsiedniego pokoju widziała tylko kontury jego twarzy.

- Musisz wziąć gorącą kąpiel i zjeść coś ciepłego, musisz mieć suchą pościel. Zobaczymy, co da się zrobić. Gdzie twój szlafrok? Ten ogromny, w którym kryjesz się co najmniej cała.

- W szafie - westchnęła. Przytrzymał rękę na jej czole.

- Nie masz gorączki - stwierdził. - No chodź, hop! w górę.

Podniósł ją do pozycji siedzącej, przytrzymując o sekundę dłużej, niż było to konieczne. Chwila ta obudziła w niej dziwną i słodką tęsknotę. Musiała się powstrzymać, by nie zarzucić mu rąk na szyję i nie wtulić w jego tors. Zapragnęła, by tulił ją i całował, jak wtedy wieczorem na skałach.

- Domyślasz się, dlaczego to wszystko wczoraj się zdarzyło? - Wstał i podał jej szlafrok.

- Nie. Po prostu... chwyciły mnie skurcze. Czytałam o tym, ale nigdy mi się to nie zdarzyło. Ani nikomu z moich znajomych.

- Ale teraz już wszystko dobrze?

- Tak, cokolwiek mi było, już przeszło.

- No to wskakuj pod prysznic. Ja usmażę ci jajecznicę.

Czuła, że kolana się pod nią uginają. Dziwnie będzie się rozbierać w takiej bliskości mężczyzny. Weszła jednak pod prysznic i po chwili poczuła się jakby odrodzona. Włożyła szlafrok, wytarła mokre włosy i przeszła do pokoju. Zane zerknął na nią znad patelni z zaciekawionym wzrokiem, lecz milczał. Po chwili talerz z jajecznicą i grzanką już stał dla niej na stole.

- Siadaj i jedz - rozkazał.

- Byłbyś świetną żoną - zauważyła, patrząc na apetyczną jajecznicę. Nawet zapach kawy rozpuszczalnej wydawał jej się cudowny.

- No dobrze - mruknął, siadając naprzeciwko. - Prześcielę ci łóżko, a potem zacznę szorować podłogi. Ale czy ktoś tu docenia, że haruję jak niewolnik i urabiam sobie ręce po łokcie? Nikt.

- Ja cię doceniam -mruknęła, pochłaniając jajecznicę. - Uratowałeś mi życie i jeszcze potrafisz gotować. Jak mogę cię nie doceniać?

- Z pewnością znajdziesz na to sposób. - Wzruszył ramionami.

-Posłuchaj - zaczęła, po raz pierwszy czując się swobodnie w jego obecności. - Jestem ci winna przeprosiny. Czytałam twoją książkę. „Jej demonicznego kochanka”. Jest wspaniała.

Oczekiwała jakiejś reakcji. A on tylko podparł ręką podbródek i powiedział:

- Wspaniała to chyba zbyt oszczędnie powiedziane.

- Czy nie jesteś trochę zarozumiały? - spytała drwiąco, żałując, że go pochwaliła.

- Uwielbiam, jak uderzasz w ten nauczycielski ton. Nie, nie jestem zarozumiały. Czasami robi się coś i człowiek wie, że zrobił to naprawdę dobrze. I tym razem właśnie tak jest.

- W porządku. Chciałam ci tylko powiedzieć, że się pomyliłam w ocenie twojej osoby.

- W takim razie dlaczego - spytał spokojnie - wciąż mam uczucie, że mnie nie aprobujesz? Dobry Boże, nawet o drugiej w nocy masz minę nauczycielki.

- O drugiej w nocy?! - wykrzyknęła. - Jest druga w nocy?

- Spałaś przez prawie pięć godzin. Zostałem tu, by mieć pewność, że nic złego ci się nie stanie. O co chodzi? Boisz się, że popsuję ci opinię?

- Po prostu nie miałam pojęcia, że jest tak późno - odparła zarumieniona, patrząc w swój kubek kawy.

-Przyszła sąsiadka, ta jak-jej-tam... Mavis, bo widziała, jak cię niosłem. Nie znoszę jej. Lubi się rządzić.. Ma w sobie coś odpychającego.

- Ale ma dobre intencje - mruknęła, nadal patrząc w kubek. Zastanawiała się, czy Mavis obserwuje jej dom nawet teraz, co było całkiem możliwe ze względu na obecność Zane'a. - Zachowuje się nadopiekuńczo, ale to chyba dlatego, że jest samotna,

- Nie odbieram jej jako osoby samotnej. Wydała mi się wścibska. Może trochę skrupowana... ale niezupełnie szczerą. Zamieniłem też

kilka słów z twoim sąsiadem. Na temat jego muzyki. Powiedziałem, żeby ją przyciszył... bo spałaś.

- Ty z Terrym? Zamieniłeś z nim kilka słów?

- Posłuchaj - zaczął, patrząc na nią poważnie - Jim-mie też „zamieniał z nim kilka słów” ubiegłego lata. Ten facet jest niemożliwy. Robi rejwach na całą okolicę. Nawet jeśli jest twoim mężczyzną...

- Nie jest moim mężczyzną - przerwała mu.

- On twierdził zupełnie co innego - rzucił ze złośliwym błyskiem w oku. - Wszedł do środka i upierał się, że to on będzie cię pilnować. Nazwał cię dokładnie swoją „własnością”.

- Jego „własnością”? Nie jestem niczyją własnością! - wykrzyknęła.— Jak śmie mówić takie rzeczy?!

Zane roześmiał się w dość nieprzyjemny sposób.

- Musisz to z nim omówić. Bo wtedy wieczorem na łódce wyglądałaś jak jego własność. W każdym razie ja wyrzuciłem go z twojego ganku. Mam nadzieję, że to nie wyrządzi trwałej szkody waszemu związkowi.

Kelly przesunęła ręką po włosach. Była zdezorientowana.

-Wyrzuciłeś go z mojego ganku? Naprawdę go wyrzuciłeś?

- Tak - rzucił lodowato. - Działał mi na nerwy. Patrzyła na niego nie wiedząc, czy się cieszyć, czy mieć mu za złe.

-Przemoc nie jest właściwym sposobem rozwiązywania problemów - oświadczyła w końcu nauczycielskim tonem, choć parę godzin wcześniej modliła się, by Zane wyrzucił do jeziora magnetofon Terry'ego.

- Czy choć raz udało ci się rozmawiać z tym dziwakiem w normalny sposób? - spytał.

-Tak.

- Ale wierz mi, że przemoc jest jedynym sposobem na niego.

O mało się nie uśmiechnęła, bo Terry rzeczywiście był niemożliwy i jedynym sposobem na niego było to, co zrobił Zane.

- Zachowujesz się dzisiaj jak prawdziwy mizantrop. Nikt ci się nie podoba.

- Zgadza się. Tobie też mam coś do zarzucenia. Mówiłem ci, byś nie pływała po zmroku.

Odsunęła gwałtownie talerz. Zdarzyło jej się coś dziwnego, niesamowitego, niewytłumaczalnego, lecz dość już miała ostrzeżeń.

- Jakbym się nie pojawił, już by cię jadły ryby

- mruknął. - Co za marnotrawstwo.

- Dobrze już, dobrze - przytaknęła znużona. - Już nigdy tego nie zrobię. Miałam szczęście, że znalazłeś się w pobliżu, by mnie uratować i tak dalej, i tak dalej.

- Ukryła twarz w dłoniach, bo znów powrócił strach. - Ale właściwie dlaczego przyjechałeś? Chciałeś na nas wszystkich popatrzeć z góry?

Milczał. Zaczęła pocierać oczy piekące od łez. Jedna noc przyniosła jej tyle sprzecznych uczuć. Nie chciała patrzeć na Zane'a. Zbyt wiele ją to kosztowało.

Dlaczego tak jej się podobał, skoro wiedziała, jaki rodzaj mężczyzn reprezentuje?

- Chciałem z tobą porozmawiać - wymamrotał w końcu.

- No to porozmawiaj. Ale o czym?

- Słuchaj, ty znów chcesz płakać?

- Nie - odparła, ale głos jej drżał.

- Potem ci powiem, o czym chciałem porozmawiać - oświadczył z tą samą niecierpliwością. - Mogę poczekać. Bo teraz chyba sobie popłaczesz? A wolałbym, żebyś tego nie robiła.

- Nie mam zamiaru płakać! - niemal krzyknęła.

- Wracaj do łóżka - rozkazał twardo. - No, wracaj do łóżka.

Potrząsnęła głową, wciąż kryjąc twarz w dłoniach.

- Idę - rzucił. - Już w niczym nie mogę ci pomóc. Wracaj do łóżka.

Słyszała, jak otwiera drzwi i zatrząskuje je za sobą.

Była sama. Łzy trysnęły jej z oczu. Przypomniało jej się, jak była przerażona, kiedy zaczęła tonąć. Uratował ją Zane, wspaniały Zane. Ale też ten sam Zane, który miał i skrzywdził tyle kobiet. Zapłakała gorzko. Tak uwielbiała być w jego ramionach.

Odjechał w świetle księżyca. Srebrne cienie kładły się pod nogi

konia, droga oblana poświatą wyglądała jak we śnie.

Wyszedł od Kelly tak nagle, bo gdyby tego nie zrobił, chwyciłby ją w ramiona. Ale tym razem nie po to, by ją utulić i ukołysać do snu.

Chciał z nią się kochać, aż zblakłyby gwiazdy. A nie byłoby to mądre, bo ona przecież patrzyła na niego jak na człowieka upadłego moralnie. Czasami jednak spoglądała tak czule, że miał ochotę chwycić ją w ramiona i nigdy nie wypuścić. Same sprzeczności. Co taki mężczyzna jak on, pragnący prowadzić spokojne i rozsądne życie, mógłby chcieć od kobiety, którą władają tak sprzeczne uczucia.

W ogóle nie powinien jej pragnąć. Była za młoda i z tysiąca powodów nieodpowiednia dla niego, okazywała mu dezaprobatę ze względów, których nawet nie próbował rozumieć. Poza tym istniał jeszcze jeden poważny problem. Musiał jej coś powiedzieć. Coś, co ją zaboli, bardzo zaboli. I nie będzie już pragnęła jego towarzystwa, tym bardziej w łóżku. Mimo to musiał jej o tym powiedzieć jako człowiek honoru.

Gniady koń niósł go coraz dalej od niej przez świat srebrnych cieni.

Kelly obudziło uporczywe pukanie do drzwi. Domyśliła się, że to Mavis. Odgarnęła włosy, wrzuciła na siebie szlafrok i poszła otworzyć. Pies przez cały czas tańczył u jej stóp.

- Biedactwo kochane - powiedziała od razu Mavis. - Wszystko w porządku? Kiedy ten mężczyzna wyszedł? Chciałam tu z tobą zostać, ale był wściekły jak ranny byk. Na pewno wszystko dobrze?

- W porządku - zapewniła ją Kelly, choć w gruncie rzeczy miała mieszane uczucia.

- Wyglądasz okropnie. Obudziłam cię, prawda? Idź więc ogarnąć się do łazienki, a ja zrobię ci dobre śniadanie.

Kelly .zapewniała, że nie ma jeszcze ochoty na śniadanie i że nie chce, by Mavis robiła sobie kłopot, lecz w końcu musiała ustąpić. Zgodziła się na filiżankę kawy.

Kiedy wróciła z łazienki, Mavis krzątała się po kuchence. Od razu zasypała ją tysiącem nie mających ze sobą związku pytań.

Czy Kelly poszła się kąpać po jedzeniu? Nie wiedziała, że to niebezpieczne? Czy nie jest przemęczona? Wyglądała jak ktoś, komu potrzebny jest długi, długi sen. Czy mama pisała do niej ostatnio? Czy ten okropny facet, ten Graye, próbował ją do czegoś zmusić?

Naprawdę Mavis nie miała zamiaru plotkować, ale Jimmie opowiadał jej kiedyś, że pewna dziewczyna usiłowała popełnić przez tego Greya samobójstwo. Mavis czułaby się okropnie ze względu na Jimmie'ego i Cissie, gdyby pozwoliła sobie biernie obserwować to wszystko między Kelly a tym mężczyzną.

Słuchając Mavis dziewczyna poczuła się strasznie zmęczona, znów zrobiło jej się niedobrze i zaczęło kręcić w głowie. Miała ochotę wczłogać się do łóżka i przespać całe miliony lat. Jak tylko wypocznie, umysł jej się rozjaśni, przestanie gubić rzeczy i wyobrazić sobie, że ktoś chodzi w nocy po jej domu.

Mavis chciała zostać, by czuwać przy jej łóżku, lecz w końcu udało się ją przekonać, żeby sobie poszła. Kelly została sama. Weszła do sypialni i już miała wsunąć się pod pościel, kiedy huknęła muzyka. Wyrzwała, robiąc szparę w żaluzjach, i zobaczyła, że Terry rozsiadł się z magnetofonem na ganku.

Położyła się i mimo hałasu zasnęła. Obudziło ją pukanie do drzwi. Nie przypominało ani uporczywego pukania Mavis, ani natarczywego dobijania się, które na ogół uprawiał Terry. Nie, z taką niecierpliwością pukał tylko Zane.

Poszła do drzwi w szlafroku, rozczochrana, zaspana. Gdy je otworzyła, oślepiło ją słońce. Zobaczyła tylko kontur postaci Zane'a. Dalej stał błyszczący ciemny dżip. Prawie za każdym razem pojawia się innym środkiem transportu, pomyślała. Zupełnie jak jakiś czarodziej.

- Jeszcze śpisz? - spytał z niedowierzaniem. - Nadal źle się czujesz?

- Nie, czuję się świetnie. Byłam po prostu wykończona. Proszę, wejdz.

- Jest po dwunastej. Spałaś przez cały czas?

- Nie, wypłam kawę z Mavis - odparła, pocierając czoło i patrząc na jego włosy, które na tle granatowej koszuli wydawały się blond.



-A jadłaś coś?

- Nie, tylko spałam. Dziwne, że mogłam spać, bo przecież siedział tam Terry i rąbał tą swoją muzyką na całą okolicę. Zaczyna mnie denerwować. Jest naprawdę dziwny.

Zane skinął głową, mierzając dziewczynę wzrokiem od stóp do głów.

- Widziałem go. Kiedy mnie zauważył, zwinął magnetofon i wszedł do domu. Ta kobietka z sąsiedztwa już niosła mu talerz z jakimś jedzeniem.

- Zawsze gotuje lub piecze coś dla innych. Mnie też przynosi. Nie lubię tego, ale jest taka samotna.

- Może, ale naprawdę coś w niej mnie niepokoi.

„A ją w tobie”, już chciała wypalić, lecz się powstrzymała.

Potrząsnęła głową, bo słońce tak ją oślepiło, że nadal niezbyt dobrze widziała. Zane stał z jednym biodrem wysuniętym do przodu i ramionami splecionymi na piersi.

- Wróciłeś tu. Dlaczego? - spytała cicho.

- Żeby zobaczyć, jak się czujesz. I żeby porozmawiać. Ale teraz się przebierz. Mam już dość tego szlafroka. Mogłabyś pod nim schować cały kontynent.

Dziesięć minut później wyglądała zupełnie inaczej, Miała na sobie białe spodnie, blad różową bluzkę koszulową i białe sandały. Jej wyszcotkowane włosy lśniły.

Zane znów stał przy kuchni. Przeglądał placuszki, które wcale nie wyglądały podejrzanie.

- Zachowujesz się jak gospoś - zauważyła. - Nie zaszkodzi to twojemu własnemu wizerunkowi króla powieści z dreszczykiem?

- Jestem niewidzialny, nie muszę więc się martwić, o to, jak wyglądam. Lubię robić, co chcę. Ale tylko to znalazłem do jedzenia. Reszta zapasów w twojej lodówce to jakieś dziwne stare naleśniki i ciastka twarde jak kamienie.

- To od Mavis. Tak się stara, a ja nie chcę jej urazić. - Wyjęła z lodówki podarunki od Mavis i wszystkie wsypała do torby. - Weź je do domu i nakarm kurczęta czy jakieś inne stworzenia. Pies jest za

wybredny, żeby to jeść, a głupio mi wyrzucić.

Wyszła na ganek myśląc o tym, że Mavis tak się stara i osiąga takie marne rezultaty jako kucharka. Zane też przyszedł na ganek z talerzem placuszków i puszką syropu. Postawił to na stoliczku.

- Siadaj i jedz.

- Zawsze każesz mi siadać i jeść - rzuciła, patrząc na niego.

- Zgadza się. Siadaj i jedz.

Usiadła. Przyniósł jeszcze kawę i usadowił się naprzeciwko, by bacznie jej się przypatrywać.

-Dlaczego wciąż mnie karmisz? I tak na mnie patrzysz? - spytała.

- Bo sama nic nie jesz. A patrzę na ciebie, bo... bo po prostu lubię patrzeć na ludzi.

Odwrócił głowę i zaczął przyglądać się skałom. Kelly jadła w milczeniu. Jakby zabrakło im tematu do rozmowy.

-Dziękuję - powiedziała wreszcie, zastanawiając się, jak to możliwe, żeby Zane mógł być taki miły, a zarazem taki okrutny. - Było pyszne. Ale chcę, byś wiedział, że nie musisz się mną tak opiekować.

- Wiem. - Wiatr rozwiało mu włosy, - Ta kobieta... to znaczy Mavis - zaczął po chwili milczenia - pisywała do Jimmie'ego. Odpisał kilka razy, ale niespecjalnie ją lubił. Chyba kiedyś musiała go upić i może powiedział jej coś takiego, czego potem żałował. Jakby martwił się z jej powodu, a nie wiedział dokładnie dlaczego. Teraz mnie ona martwi.

Kelly zmarszczyła brwi. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby słodka mała Mavis mogła upić Jimmie'ego.

- To chyba niemożliwe - zaczęła jej bronić. - Może to wytwór twojej dziwacznej wyobraźni. Oni się przyjaźnili. Miał do niej całkiem spore zaufanie.

Miał do niej większe zaufanie niż do ciebie, pomyślała. Zniszczyłeś jego wiarę w ciebie, i to nie bez powodu. Wiedziałeś, że chciał się od ciebie odwrócić i zawierzyć jej? Czy dlatego jej nie lubisz? Bo wiedziałeś o tym?

- Powiedziałem, że nie zależało mu na niej. - Popatrzył na Kelly chłodnym wzrokiem. - Był jednym z moich najlepszych przyjaciół.

Nie chciał już być twoim przyjacielem, myślała z goryczą. Miał dość twojego sposobu życia. Nie potrafił już cię szanować.

- Przypadkiem znam jego listy do niej - powiedziała. - Nawet je mam. Wskazują na to, że był o niej jak najlepszego zdania. Nawet jej zaufał.

Zane zaniósł się tym swoim kpiarskim śmiechem.

- Zrozum, że ja nie mam zamiaru kłócić się z jej powodu. Chyba możemy się kłócić o ważniejsze rzeczy.

- Kłócić się? O co? - spytała sztywniejac, bo jego twarz przybrała bardzo twardy wyraz.

- Na przykład na temat twoich książek. Tych, które napisałaś. I twoich bajek. Tych, które piszesz teraz.

- Och - jęknęła, bo, jakby przeszył ją ból, ale zaraz zdołała się opanować. - To znaczy, że czytałaś moje książki. I ci się nie podobały. Nigdy nie myślałam, że mogą ci się podobać. Zupełnie inaczej patrzymy na świat.

- Nie o to chodzi. - Wzruszył niecierpliwie ramionami. - Nie wdawałbym się w ten temat, gdybyś nie była siostrzenicą Jimmie'ego. Od początkujących pisarzy uciekam gdzie pieprz rośnie. I nie czytam tego, co piszą, nie udzielam rad, nie pouczam ich. Ale w twoim wypadku, jak zwykle, muszę zrobić wyjątek.

Twarz zaczęła jej płonąć. Przeciągnęła ręką po włosach.

- Chyba nie są aż takie złe. Zostały wydane, prawda? - broniła się. - Moja agentka widziała też część bajek i oświadczyła, że je sprzeda. Więc tylko dlatego, że ty...

- Kelly, przykro mi. Właśnie o tym chciałem z tobą wczoraj porozmawiać, no, ale nie była to odpowiednia pora. - W głosie jego wyczuwało się jakby okrucieństwo. - Twoje książki są dobre, ale tylko dobre. Oszukujesz w nich. I jeśli nie przestaniesz tego robić, nigdy nie będziesz tak dobrą pisarką, jaką mogłabyś być. Będziesz przeciętna.

- Oszukuję? - spytała bez tchu.

- Tak, oszukujesz - przytaknął ponuro. - Nie jesteś szczerą. Wszystko zbyt upiększasz, wszystko jest zbyt cukierkowe. Nie chcesz przyznać, że na świecie istnieje zło. Nie chcesz się mu przyjrzeć. Nie piszesz nawet o prawdziwych zwierzętach. Tylko o jednorożcach, misiach pluszowych... Mogłabyś się przestać kontrolować... pisać o czymś, co naprawdę czujesz... i to głęboko... nie tylko o rzeczach wymyślonych, nierzeczywistych.

Zmartwiała, czuła się zraniona, zdradzona i upokorzona. Tak miło się wypowiedziała na temat jego pisarstwa, a on wobec niej okazał się taki okrutny?

- Przecież nic nie wiesz o książkach dla dzieci... - wydusiła z siebie, wpijając palce w krawędź stołu.

- Ale wiem, na czym polega pisanie - prawie warknął. - Wiem, kiedy brzmi szczerze i jest prawdziwe. I wiem też, że w każdym dobrym opowiadaniu dla dzieci istnieje mroczna strona... może to być czarownica, czarownik, wilk, troll, klątwa, groźba. Dzieci lubią, gdy pojawia się ten mroczny świat... jest im potrzebny. Pomaga im dojrzeć.

- No dobrze - mruknęła dotknięta i wściekła. - Postawiłeś sprawę jasno: jestem płytką i nieszczerą. Zgoda, że może w tych dwóch pierwszych książkach za bardzo miałam się na baczności. Ale teraz moje bajki są zupełnie inne. Będą...

- Te bajki wcale nie są inne - przerwał jej zniecierpliwiony. - Znów za bardzo masz się na baczności... tłumisz w nich życie.

- Skąd wiesz? - spytała podniesionym głosem.

- Przecież ich nie czytałeś. Pokazywałam je tylko mojej agentce. Nawet mamie...

Zamilkła ogłuszona tym, co przyszło jej w tej chwili do głowy. Zbladła jak kreda, patrzyła na niego z oburzeniem.

- Czytałeś je! - krzyknęła oskarżycielskim tonem.

- Prawda? Przeczytałeś je wczoraj, kiedy spałam! Dobrałeś się do moich osobistych rzeczy i przeczytałeś maszynopis... Nie miałeś prawa!

- Nie, nie miałem - rzucił przez zaciśnięte zęby.

- Ale chciałem zobaczyć, czy nadal popełniasz ten sam błąd i miałem zamiar cię przed nim ostrzec. No i teraz wiem, że go popełniasz.

Kelly zerwała się tak gwałtownie, że omal nie przewróciła stołu. Spadł talerz i potłukł się na kawałki, lecz nie zwróciła na to uwagi. Zane też wstał. Patrzyli na siebie jak dwoje przeciwników, którzy zaraz skoczą sobie do oczu.

- Nie miałeś prawa! - krzyknęła z furją. - Powinnam rzucić ci w głowę tym kubkiem kawy, ty bestio!

- To rzuć, jeśli ci ulży - mruknął. - Pytanie tylko, czy dzięki temu będziesz pisała lepsze książki. Mnie tylko na tym zależy.

- Jak mogę pisać lepsze książki - wypaliła z ironią - jeśli twierdzisz, że brak mi głębi, uczuć, talentu i odwagi? Wręcz nie mogę się z tobą równać. Nie jest mi sądzone zostać takim wielkim i ważnym autorem bestsellerów jak ty!

- Przeciwnie. Masz głębię, masz uczucia, masz talent. Ale zacznij z nich korzystać. Naprawdę przyjrzałaś się tym twoim bajkom? Znow pisesz o wymyślonych zwierzętach. O jakimś jednorożcu, skrzydlatym koniu, piesku, który jest zabawką, a chce być prawdziwym psem. O wężu morskim.

- A co w tym złego?! - krzyknęła, zaciskając pięści.

- Moim zdaniem nic. Nic!

- A co złego w pisaniu o prawdziwych zwierzętach i prawdziwych uczuciach? - spytał. - Co byłoby złego w pisaniu na przykład o tym psie? O tym głupkowskim, beznadziejnym, złaknionym miłości psie, którego nikt nie kocha? - Wskazał na zdumioną awanturą psinę, która jak zwykle merdała ogonem.

- Będę pisała o tym, co chcę i jak chcę! - wrzasnęła. - Jesteś taki sam jak Terry z tym swoim mówieniem mi, co i jak mam robić, co i jak mam myśleć, jak mam żyć. I powiem ci to samo, co jemu powiedziałam. Wynoś się. Wynoś się i nigdy nie wracaj.

- Aha - wskazał na nią - to właśnie jest namiętność. Może choć raz w życiu byś o tym napisała?

- Wynoś się! - rozkazała. - Wynoś się, bo naprawdę czymś w ciebie

rzuce!

- Jeśli uważasz, że powiedziałem ci o tym wszystkim dla zabawy, to się mylisz - sarknął. - Mogłem trzymać język za zębami, a ty byś pisała sobie te swoje mierne książki, kiedy stać by cię było na wielkie. Jakbym nie myślał, że wiele potrafisz, tobym się nie odezwał słowem. Jimmie był moim przyjacielem i czułem się...

- Wcale nie był twoim przyjacielem! - wypaliła z furją. - Nawet cię nie lubił. Przyprawiałeś go o mdłości... ty i twój styl życia. Miał cię dość!

- Co?! - Zane zmarszczył brwi, przerażony jadowitością tego, co wykrzyczała.

- Nie był twoim przyjacielem, bo dobrze wiedział, jakim jesteś... potworem. - Oczy jej zrobiły się jak szparki. - Nie znosił cię. I mogę to udowodnić.

Pomaszerowała do sypialni, otworzyła szufladę biurka, wyciągnęła listy. Kiedy wróciła do głównego pokoju, Zane stał już w kuchni, twarz miał wzburzoną.

- Masz. - I wrzuciła listy do torby z obeschniętymi wypiekami Mavis. - Teraz są w odpowiednim miejscu... razem ze śmieciami. Poszukaj w tych śmieciach tego, co naprawdę o tobie myślał... ty draniu! Chociaż „drań” to za mało powiedziane. Ty potworze! Nic dziwnego, że piszesz o potworach. A teraz idź sobie.

Wcisnęła mu w rękę torbę, pobiegła do drzwi i otworzyła je na oścież.

- No, wychodź!

Przeszedł koło niej, zatrzymał się, cofnął o dwa kroki. Jego szare oczy przypominały twardy granit.

- Pisz więc sobie swoje zmyślane historyjki, Kelly - syknął gniewnie. - Ale zapraw je jakimiś prawdziwymi uczuciami, żeby ludzie mogli w nie uwierzyć. I pamiętaj, że na świecie jest wiele dobra, ale też wiele zła. Prawdziwego zła. I że nie możesz go nie zauważać. Ale i tak kiedyś zaczniesz...

- Już mi je pokazałeś - odparła gorzko. - Bardzo przekonująco. Ty i mój ojciec pokazaliście mi dość zła. A teraz... po raz ostatni... wynoś

się.

Długo na nią patrzył, aż w końcu kącik ust wykrzywił mu się w złośliwym uśmiechu.

- Do widzenia - rzucił z pogardą, odwrócił się i wyszedł.

Kelly trzasnęła drzwiami. Kręciło jej się w głowie. Rzuciła się na kanapę. Usłyszała tylko odgłos uruchamianego dżipa, a po chwili warkot silnika umilkł gdzieś w dali. Przyłożyła dłoń do czoła. Było rozpalone. Chciało jej się płakać, lecz z drugiej strony czuła się tak, jakby już nie starczało jej łez, jakby nie starczało jej uczuć, jakby miała w sobie zupełną pustkę.

Po jakimś czasie zdecydowała się usiąść przy biurku. Popatrzyła na rozłożony tam maszynopis i listy. Oczywiście, że Zane w nich grzebał. Nawet Ust od Cissie był inaczej złożony. To znaczy, że przeczytał ten list? Naprawdę karygodne. Co za łajdak.

Nie mogła jednak się powstrzymać, by nie sięgnąć do maszynopisu. W miarę czytania, kiedy starała się oceniać siebie jak najbardziej obiektywnie, zaczęło ją ogarniać coraz większe przerażenie, ręce jej drżały. Och nie, pomyślała, to niemożliwe, to niemożliwe. Bajki były cukierkowe, choć gładko i sprawnie napisane. Zane miał rację. Nie miały głębi, nie emanowały niczym istotnym, były bezbarwne, sterylne.

Nagle rozległo się znajome pukanie do drzwi. To Mavis, lecz Kelly nie ruszyła się. Nie miała zamiaru otwierać. Czytała dalej swoje bajki i nie znajdowała w nich niczego naprawdę ważnego. Sprzedawca w księgarni nazwał je „nieszkodliwymi”. I miał rację.

Przez kilka ostatnich tygodni życie Kelly obfitowało w przeżycia budzące tysiące uczuć, lecz żadne z nich nie zostało przelane na karty tych bajek. Chroniła siebie samą przed rzeczywistością i podobnie robiła pisząc te bajki - chroniła czytelników przed rzeczywistością. Zane od razu to wyczuł. Zalała ją fala wstydu, że tak się sama oszukiwała. Zane był okropnym człowiekiem, lecz dobrym krytykiem.

- Kelly! Kelly! Jesteś tam? Kochanie, dobrze się czujesz? Znow był u ciebie ten okropny mężczyzna? Wpuść mnie, kochanie - piszczala za

drzwiami Mavis.

- Nie mogę rozmawiać! - odkrzyknęła. - Nie chcę. Wszystko w porządku... chcę być sama.

- Och, kochanie, tak się o ciebie martwię... Upiekłam ci ciasteczka orzechowe. Proszę, wpuść mnie... tak się o ciebie martwię.

- Później - odkrzyknęła Kelly i wróciła do lektury maszynopisu, choć litery skakały jej przed oczami.

Mavis w końcu dała za wygraną. Odeszła mówiąc, że przyjdzie później.

Kelly czytała z uporem, a kiedy ponownie skończyła lekturę wszystkich bajek, łzy trysnęły jej z oczu, bo już wiedziała, że musi się pożegnać ze swoją pracą. Wstała, podarła cały maszynopis i wrzuciła do kosza. Pies stał obok, patrząc na nią z zaciekawieniem.

- Zaczynamy od nowa - powiedziała do niego. - Co ci tak wesoło? To naprawdę będzie trudne. Najtrudniejsze ze wszystkiego, co dotychczas robiłam.

Przeklinała Zane'a. Ale jeszcze mu pokaże, co potrafi. Usiadła do maszyny i wkręciła czysty arkusz papieru. I nagle poczuła, że słowa same jej się układają tak zręcznie, jak jeszcze nigdy tego lata, że poruszone uczucia spływają na papier, który zaczyna żyć. Pisała aż do zmroku.

Mavis pukała co pewien czas do drzwi i domagała się, by Kelly wpuściła ją do środka. Dziewczyna odpowiadała, że pracuje, choć wiedziała, że to niegrzecznie. Gdy się ściemniło, Mavis znów przyszła i oświadczyła, że zostawia talerz ciasteczek pod drzwiami, tylko dobrze by było, żeby Kelly naprawdę sama je zjadła, a nie zostawiała ich na pastwę dzikich zwierząt.

Po jakimś czasie, mając pewność, że Mavis sobie poszła, Kelly wstała, otworzyła drzwi i wzięła do środka niebiesko-biały talerz z ciastkami. Czuła się winna, że była taka niegościnna wobec tej dobrej kobiety. Przez cały dzień, odkąd Zane poszedł, nic nie miała w ustach. Teraz więc poskubała trochę ciasteczek, wypła szklanek mleka i czując, że ogarnia ją senność, rzuciła się na łóżko.

W nocy wydawało jej się, że słyszy warkot silnika samochodu.



Przez sekundę zastanawiała się, czy to nie Zane, lecz nagle uświadomiła sobie, że to samochód Mavis. Zerknęła na zegarek, nie mogła jednak odczytać godziny, bo cyfry latały jej przed oczami. No, ale i tak wiadomo było, że jest bardzo późno. Dokąd Mavis jedzie o tej porze? Może do sklepu otwartego całą dobę? W tej samej chwili zasnęła.

Obudziła się o szóstej rano - Terry Hardesty puścił muzykę na cały regulator. Niemożliwy, złośliwy, infantylny facet, pomyślała. Ma zamiar wymierzać jej kary do końca lata. Co jeszcze wymyśli? Zaczynała się go bać.

Nagle ktoś zaczął walić w drzwi. Kręciło jej się w głowie i w ogóle świat chyba zwariował. Po chwili uświadomiła sobie, że to Zane.

- Wpuść mnie - nalegał. - Wpuść mnie, bo wyważę drzwi. Ja w ważnej sprawie. Masz kłopoty.

- Przestać tam walić i wrzeszczeć! - usłyszała głos Terry'ego. - Zamelduję na policji, że zakłóćcie spokój! I te obrzydliwe koty przychodzą na mój trawnik, płoszą ptaki! Protestuję! Zostaną otrute! Nafaszeruję je arsenikiem!

- Panie Hardesty - huknął Zane - niech pan zostawi tę kobietę i te koty w spokoju! Bo zasile pan trawnik kilogramami kociego... gówna! Kelly! Otwieraj, do cholery! Jesteś tam? Wszystko dobrze?!

Drzwi zatrzęsły się od jego kopniaka tak, że słyszała to w sypialni. Wyskoczyła z łóżka i pobiegła do dużego pokoju.

- Nie będzie mnie pan straszył! - wrzeszczał Terry. - Już raz mnie pan obraził! Będzie miał pan do czynienia z moim adwokatem! Wariat! Niech pan przestanie kopać w te drzwi. To przestępstwo! To włamanie!

Zane ponownie kopnął w drzwi z całej siły. Kelly sekundę później otworzyła je na oścież. Patrzył na nią dzikim wzrokiem, usta miał dziwnie wykrzywione.

- Wszystko dobrze?

- Nie! - odparowała. - Czego chcesz?

- Przyszedłem wyekspediować cię do Cleveland.

- Co?! Na pewno nie. Muszę pracować. Muszę sprzedać ten dom.

- Nie, niczym tu już nie musisz się zajmować. Ja kupuję ten dom. Mam dość pieniędzy i z przyjemnością to zrobię. A ty pojedziesz do siebie. Za dużo z tobą kłopotów. Pakuj się! - rozkazał.

- Nie! Nie będę się pakowała!

- Owszem, będziesz. Spakujesz się, a ja ci pomogę. Odjeżdża pani. Bez żadnego ale.

Chwycił ją na ręce i poniosł, wymachującą rękami i nogami, do sypialni.

RS

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

- Puść mnie! - krzyczała Kelly, bijąc go pięścią w bark.

Nawet się nie skrzywił. W końcu rzucił ją bezceremonialnie na łóżko, otworzył szafę i wyciągnął walizki.

- Wyjeżdżasz. Odsyłam cię do domu, bo przez ciebie i z tobą są same kłopoty. Możecie sobie teraz z mamą siedzieć i razem czytać bajki. Ja nie mam na to wszystko czasu.

Wysunął szuflady komody i rzeczy z nich zaczął wrzucać wprost do walizki. Kiedy dobrał się do jej bielizny, robił to szczególnie gwałtownie.

- Zostaw moje rzeczy!

Ledwie zerknął na nią lodowatym wzrokiem.

- Widziałaś się z Mavis po moim odejściu?

- Nie - rzuciła, wstając z łóżka. - A co cię to obchodzi?

Zaczęła rozpakowywać walizkę. Chwycił ją za ramiona tak gwałtownie, że aż się przestraszyła.

- Jadłaś coś przygotowanego przez nią?

- Nie... A właściwie tak. Kilka ciasteczek. Dlaczego pytasz? Go robisz? Przestań!

- Gdzie jest Mavis? - spytał, przyciągając ją mocniej do siebie. - Dokąd pojechała? Jest dopiero wpół do siódmej, a nie ma już jej samochodu i dom jest zamknięty na trzy spusty.

- Nie wiem, gdzie jest - odparła gniewnie. - Zwariowałeś? O co tu chodzi?

- Obudziłem się wcześniej rano, aby pójść na ryby i szybciej zapomnieć o tobie. Patrzę, a tu na podwórzu leży sześć zdechłych kurcząt. Siódme ledwo dyszy.

- Co?! - wykrzyknęła.

Usiłowała się wyswobodzić z jego silnych jak żelazo rąk. Zachowywał się dziwnie, zaczęła się go bać. Lecz on jeszcze mocniej nią potrząsnął.

- Otruły się - wycedził. - Dałem im te resztki z torby od ciebie,

resztki specjałów Mavis, i tym się otruły. Czyli systematycznie podtruwała ciebie. Pewnie dlatego dostałaś tych skurczów w wodzie i o mało nie utonęłaś.

- Co? - powtórzyła nic nie rozumiejąc. - Dlaczego? Była oszołomiona, lecz teraz zaczęła rozumieć jego dziwne zachowanie. To wszystko było straszne. Zaczynało się układać jak łamigłówka. Przecież rzeczywiście przed kąpielą zjadła ciastko. Przypomniała też sobie, że czasami zasypiała tak głęboko, jakby zapadała w jakiś narkotyczny sen. Mavis bez przerwy do niej przychodziła, bez przerwy przynosiła coś do jedzenia. I pies raz strasznie chorował po zupie Mavis. A potem już nigdy nie chciał nawet liznąć niczego, co ona przynosiła. Wczoraj rano po kawie przygotowanej przez Mavis Kelly zasnęła jak zabita. Wczoraj wieczorem po ciastkach też, chociaż miała zamiar pracować.

- To niemożliwe! - Stała sztywno w uścisku dwóch żelaznych rąk. - Po co? Po co miałyby mnie podtruwać?

- Bo miałaś coś, co ją interesowało. Kosztowności. Jimmie musiał jej o nich powiedzieć... może kiedyś, jak był pijany. Mógł powiedzieć jej więcej niż innym kobietom, bo wydawała się taka słodka, nieszkodliwa i godna szacunku.

Kelly już nie mogła znieść jego dzikiego wzroku, od jego uchwytu bolały ją ramiona.

- Ale przecież nie może się dostać do kosztowności - zaoponowała. - Są w sejfie w banku.

- Nie ma ich tam - rzucił. - Posłuchaj, mieszkam tu wśród wzgórz naprawdę długo i znam sporo ludzi. Jestem spokojnym facetem, ale jeśli będzie trzeba, zrobię piekło. Zadzwoń mi dzisiaj o szóstej do prezesa banku i poproszę, by sprawdził.

- Co sprawdził?

- Wczoraj po południu - cedził, aż chodziły mu żuchwy - ktoś pojawił się w banku, podpisał się jako Cissie Cordiner, otworzył sejf i zniknął.

- Co?! - wykrzyknęła. - Przecież moja mama jest w Cleveland!

- Ja uważam, że to była Mavis i że teraz kosztowności są w jej

posiadaniu. Zadzwoiłem na policję. Bank będzie wcześniej otwarty, możesz więc sprawdzić. Ale założę się, że kosztowności tam nie ma. Nie wiem, do diabła, jak to zrobiła, ale jej się udało.

Kelly opadła na łóżko. Stał nad nią, oddychając tak ciężko, jakby gotował się do walki. Przyłożyła palce do skroni, myśli kłębiły jej się w głowie.

- Przecież nikt nie może się dostać do sejfu. To niemożliwe. Trzeba mieć klucz. I podpis musi się zgadzać z wzorem, który tam się pozostawia.

- Wiem o tym - oświadczył, wrzucając jej podkoszulki do walizki. - Ale ona jakoś sobie poradziła.

- Myślałam... myślałam, że gdzieś zgubiłam zapasowy klucz do domku, wiszący przy drzwiach. Teraz sobie przypominam, że kiedy Mavis była tu za którymś razem, potknęła się w progu i oparła o framugę. Wtedy musiała go wziąć. - Zamyśliła się na chwilę. - Czasami wydawało mi się, że zastaję rzeczy trochę poprzesuwane albo inaczej położone, niż je zostawiłam. Ale myślałam, że to moja wyobraźnia płata mi figle. A to ona... przychodziła tu, kiedy spałam.

- Czy mama pisała coś o tym sejfie? - spytał, wrzucając do walizki kilka par jej szortów. - Pisałaś jej o tym, że musi przesłać wzór swojego podpisu? Odpisała ci, że wysłała go do banku?

- Tak. - Popatrzyła na niego czując, że robi jej się niedobrze. Tak strasznie została oszukana. - Właśnie wczoraj przyszedł list, w którym pisała, że wysłała to do banku - szepnęła. - Czyli musieli to dostać wtedy co i ja... A... a dziś rano rzeczywiście zwróciłam uwagę, że list mamy był inaczej złożony. Pomyślałam, że ktoś musiał go ruszać... pomyślałam, że to ty. Myślisz, że to Mavis?

- Ja nie czytam cudzych listów - rzucił chłodno.

- Tylko maszynopisy - mruknęła.

- Chodziło o coś zupełnie innego - warknął. - Poza tym nie czas na omawianie moich wad. Chyba rozmawiamy o Mavis. A więc dostała się tutaj, przeczytała list, z którego się dowiedziała, że podpis mamy już musi być w banku. Zgadza się?

- Tak - jęknęła. - Wiedziała o kosztownościach, miała klucz do

mojego domku i była przekonana, że po jej ciastkach będę spała tak mocno, że może sobie wejść. Czytała listy, które pisałam do mamy, i jej do mnie. Wiedziała wszystko.

- No właśnie - zauważył, zapinając jej walizkę. - Poznała też podpis twojej mamy, więc łatwo mogła go podrobić. Mogła tu przyjść, zabrać twój klucz do sejf, pojechać do banku, podać się za twoją mamę, sfalszować podpis i dostać się do sejf. Przecież nikt nie mógł podejrzewać, że to nie twoja mama.

- I rzeczywiście - znów jęknęła - teraz sobie przypominam, że jeden list od mamy mi zginął. Musiała go wziąć, żeby mieć wzór podpisu. Ale mój klucz do sejf? No tak, wczoraj piłyśmy razem kawę. Mogła go wziąć, kiedy wyszłam z pokoju. A potem zasnęłam jak zabita. Przychodziła po południu jeszcze kilka razy i okropnie jej zależało, żebyśmy wzięła nowe ciastka. Wczoraj wieczorem, kiedy zasnęłam, też tu mogła wejść. Ale po co? W którymś momencie słyszałam, jak odjeżdża jej samochód. Co to wszystko znaczy? Nic nie rozumiem.

- Po prostu zostałam obrabowana - powiedział z naciskiem.

- Wczoraj rano wzięła klucz do sejf i odniosła go wieczorem, żebyś nie zauważyła, że go nie masz i żeby nic cię nie zaniepokoiło. Mogłabyś dopiero pod koniec lata, wyjeżdżając stąd, stwierdzić w banku, że nie ma kosztowności.

- Przecież to niemożliwe, żeby ich tam nie było - jęknęła załamana, wiedząc, że rozwiały się marzenia mamy i jej własne.

- Chodź. - Wziął ją za łokieć i skierował w stronę drzwi.

Kiedy stali już na ganku, odwróciła się, by popatrzeć na wzruszający napis na wycieracze „Witaj” i nagle spostrzegła, że od spodu wystaje różowa koperta. Podniosła ją. Była zaadresowana do niej.

Kochana Kelly, właśnie dostałam wiadomość, że zachorował mój brat w Kansas i muszę jechać mu pomóc. Pędzę tam! Wrócę, jak tylko będę mogła. Napiszę do ciebie. Przecież muszę też zabrać koty! Uważaj na siebie.

Ściskam Mavis

- Wyjechała - stwierdziła drżącym głosem, patrząc bezradnie Zane'owi w oczy. - Muszę jeszcze sprawdzić, co z tym kluczem do sejfu. - Otworzyła torebkę, wyciągnęła portfel i zajrzała do niego. - Klucz jest. Może się mylisz?

- Mówiłem ci przecież, że na pewno go odniosła i z powrotem schowała ci do portfela - powiedział stanowczo. - Żebyś niczego nie podejrzewała. Moim zdaniem kosztowności zniknęły. Ona zresztą też.

- Jeśli rzeczywiście je wzięła...

Nie mogła mówić dalej, była prawie załamana, zrobiło jej się niedobrze. Trzy tysiące dolarów! Marzenia mamy, która całe życie tak ciężko pracowała, nigdy się nie spełnia. Jej marzenia, że będzie mogła zająć się tylko pisaniem, też się rozwiały. A przecież teraz, kiedy Zane jej uprzytomnił, że musi zacząć wszystko od nowa, tym bardziej chciałaby się zająć tylko pisaniem. Popatrzyła mu w oczy, lecz nie mogła nic z nich wyczytać.

-Może klejnoty nie zniknęły - mruknęła jakby modląc się, żeby to była prawda.

Okazało się to jednak tylko pobożnym życzeniem. Zane zawiózł ją do banku i tam w obecności prezesa, który stał obok z bardzo poważną miną, i dwóch detektywów otworzyła sejf. Był pusty. Kosztowności zniknęły razem z Mavis Puer. Z tą małą, słodką, dobrotliwą kobietką o siwych włosach i ze złamaną nogą. Dokonała tego, co wydawało się niemożliwe. Okazała się oszustką, fałszerzem i złodziejką. Zniknęła z całym majątkiem Kelly i jej matki.

Po złożeniu zeznań na posterunku policji Zane zabrał ją na kawę do małej kafejki na placu.

- Nie rozumiem - stwierdziła Kelly - dlaczego nie ukradła ich wtedy Jimmie'emu?

- Może właśnie po to przyjechała, ale już tu na miejscu dowiedziała się, że on nie żyje.

-Ale chodzi mi o to, dlaczego nie ukradła ich w zeszłym roku?

- Może próbowała? Może odjechała w pośpiechu, bo ktoś ją nakrył. Może w ogóle zaczęła tu przyjeżdżać po to, by przed czymś

uciec albo zrobić sobie tu kryjówkę. Bo ta kobieta nie po raz pierwszy weszła w konflikt z prawem. Jest zawodowcem. Pewnie od lat uprawia ten proceder.

Kelly milczała. Jak ma powiedzieć Cissie o tej niesamowitej stracie? Ukryła twarz w dłoniach.

- Posłuchaj - powiedział szorstko - może ją niedługo złapią i odzyskacie klejnoty. Nie martw się. Tymczasem, jak mówiłem, kupię ten cholerny dom. Potem mogę go komuś sprzedać. To nie taki wielki interes, ale nie wrócisz do domu z pustymi rękami.

- Wcale nie jadę do domu - zaoponowała.- Zresztą nie chodzi tylko o domek Jimmie'ego, chodzi o koty i psa.

Pies wpuścił złodziejkę i jeszcze pewnie merdał do niej ogonem, lecz mimo to Kelly nie potrafiła myśleć o nim z nienawiścią. Był to po prostu pies, który zbyt łaknął miłości.

-Zajmę się tym - mruknął Zane. - Wszystkim się zajmę.

- Nie potrzebuję twojej łaski - zaprotestowała.

Powiedziała prawdę. Nie chciała od niego żadnych uprzejmości, niczego. Tylko żeby zostawił ją w spokoju.

- To nie żadna łaska - rzucił. - Zrobię to dla własnego spokoju. Jesteś dzieckiem przyzwyczajonym do życia w mieście. Tu czujesz się nieswojo. Musisz więc wrócić do domu i swojego bezpiecznego życia z matką. Jesteś tu właściwie przez chwilę, a już podtruwano cię, niemal nie utonęłaś, a potem cię obrabowano.

- Ja... - zaczęła z wypiekami na twarzy, odsuwając filiżankę po kawie. - Ja...

- Poza tym - przerwał jej - nie tylko przyciągnęłaś do siebie złodziejkę, ale też tego wariata Hardesty'ego, a ja nie będę ciągle się martwił, co on może wymyślić, i nie będę cię pilnował. Ani Jimmie, ani twoja mama by nie chcieli, żebyś się znajdowała w takiej sytuacji. I ja też sobie tego nie życzę.

- Po pierwsze - mruknęła, powstrzymując łzy - nie nazywaj mnie dzieckiem. Po drugie, dam sobie radę sama...

- Dla mnie jesteś dzieckiem. - Na jego twarzy pojawił się okrutny grymas. - I nie chcę, byś się tu kręciła. Dociera to do ciebie? Musisz



jechać do domu. To przyniesie mi ogromną ulgę. Ja jestem zawodowcem i muszę wykonywać swoją robotę, a ty amatorką, która wszystko mi psuje.

Wciągnęła głęboko powietrze. Nagle uprzytomniła sobie coś, co przyprawiało ją o mdłości.

- Wiem... wiem, że masz prawo być wściekły. Niewłaściwie cię oceniłam. Mavis sfalszowała podpis mojej mamy, na pewno więc sfalszowała też pismo Jimmie'ego i wszystko na twój temat w tym liście wymyśliła. Ale dlaczego? Dlaczego to zrobiła. Przecież miała jego prawdziwe listy. Musiała ukraść z biurka papier listowy i zmienić zakończenie tego listu.

Słowa jej nie zrobiły na nim jednak żadnego wrażenia. Siedział nieporuszony, z kamienną twarzą. Lecz była przekonana, że zna treść listów, które mu dała.

- Bo był napisany charakterem Jimmie'ego - zakończyła bezradnie.

- W każdym razie wydawało się, że to jego charakter.

- Mój Boże - jęknął, patrząc na nią z pogardą. - Przeczytałem to dziś rano. Jak mogłaś uwierzyć w taką lipę? Przecież to w ogóle niepodobne do Jimmie'ego. On nigdy by o nikim nie opowiadał takich rzeczy. Miał różne wady, ale nie był hipokrytą i nie rzucał oszczerstw na swoich znajomych. Chyba go dobrze znałaś? A mnie? Czy naprawdę chciałaś wiedzieć, jaki jestem? Nie, wystarczały ci własne uprzedzenia co do mojej osoby.

- Mavis kłamała. - Kelly aż się skrzyła ze wstydu. - Jim musiał jej o tobie opowiadać. Musiała wiedzieć, że zajmiesz się jego sprawami. I bała się ciebie. Okropnie jej tu przeszkadzałeś, więc kłamała.

- Nieważne, że kłamała. - Oczy zwęziły mu się jak szparki. - Ważne jest to, że tak ochoczo jej wierzyłaś. Mnie nigdy o nic nie spytałaś. Nigdy. Wierzyłaś we wszystko, co podawała ci jak na talerzu. No, ale to w twoim stylu, prawda? Nie wierzyć własnym odczuciom, nie starać się przekonać na własny rachunek, tylko polegać na czyichś opiniach. Tak jest bezpieczniej.

Zamrugnęła, zeszywniała, ze wszystkich sił powstrzymywała łzy. Powiedział coś, co tak okropnie ją zabolalo, ponieważ było prawdą.

Wierzyła w jakieś straszne kłamstwa na jego temat, a nigdy nawet nie przyszło jej do głowy, że to mogą być kłamstwa. Nigdy nie starała się dowiedzieć prawdy od niego, nigdy nie stworzyła nawet sytuacji, by mógł się bronić.

- A więc jedź do domu, do mamy - powiedział, patrząc na nią zimnym wzrokiem. - Pisz swoje grzeczne opowiadania i prowadź swoje grzeczne życie. O klejnoty się nie martw. Wszystko wskazuje na to, że powinnaś je odzyskać.

Wstał, kładąc na stole pieniądze za kawę.

- Chodź, dzieciaku - rzucił. - Do Cleveland czeka cię daleka droga.

Kelly wróciła do domu. Sprawdziło się przeczucie Zane'a co do kosztowności — policja złapała Mavis w stanie Missouri niecały tydzień po kradzieży. Miała przy sobie nie tylko kosztowności, lecz także znaczną gotówkę, którą otrzymała z ubezpieczenia za złamanie nogi. Było to jednak oszustwo: nogi nie złamała, wymyśliła całą sprawę, by wyłudzić pieniądze. Znalaziono przy niej nawet zapasowy klucz do domku Jimmie'ego. A tam znajdowały się następne dowody przeciwko niej: w nie umyтым kubku po kawie, którą przyrządziła dla Kelly, i w resztkach ciastek stwierdzono ślady trucizny.

Jak się okazało, wszystko rozegrało się zgodnie ze scenariuszem, do którego doszedł Zane. Mianowicie Mavis przychodziła do domku Kelly, kiedy ta była uśpiona jej ciastkami. Ukradła list od Cissie, by nauczyć się podrabiać jej podpis, oraz papeterię Jimmie'ego, żeby sfałszować na niej list pełen kłamstw o Zanie. Zabrała z torebki Kelly jej klucz do sejfu, a potem go zwróciła, by nic nie wzbudziło podejrzeń dziewczyny. Żeby ułatwić sobie sytuację, rano dosypała coś do kawy i Kelly zasnęła. Nic już nie stało na przeszkodzie, by mogła się dostać do sejfu.

Dodatkowy problem miała tylko z Terrym Hardestym, który tak pilnie obserwował domek Kelly. Jemu więc też zaczęła serwować swoje zatrute smakołyki. Klucz do sejfu włożyła z powrotem do torebki dziewczyny, kiedy i ona, i Terry spali. Napisała wtedy pożegnalny list, wsunęła go pod wycieraczkę i z klejnotami w

walizce odjechała.

Okazało się, że Mavis Pruer była również znana pod nazwiskiem Marvelle Prescott. Policja weszła w posiadanie długiej listy jej przestępczych powiązań i równie długiej listy wyroków, jakie wydały na nią różne sądy.

Z rozmowy telefonicznej z policją w Arkansas Kelly dowiedziała się, że Zane miał również rację, jeśli chodzi o poprzedni pobyt Mavis nad jeziorem ubiegłego lata. Otóż przyjechała, by się tam ukryć po dokonaniu wielkiego fałszerstwa gdzieś w Teksasie, a z Jimmim zaprzyjaźniła się dlatego, że zwęszyła nowy interes i chciała od niego wyciągnąć jak najwięcej informacji. Kiedy już się dowiedziała o istnieniu kosztowności, pozostawało jej tylko stworzyć taką sytuację, by móc się do nich dostać. Bała się jednak, że policja mogła już być na jej tropie, zostawiła więc Jimmie'ego w spokoju i odjechała. Potem w Houston znów dokonała jakiegoś fałszerstwa, a wydostawszy się na wolność powróciła nad jezioro, aby zakrzętnąć się wokół kosztowności.

-Wszystko dobre, co się dobrze kończy - skostatowała Cissie filozoficznie.

Kelly opowiedziała jej oczywiście o kradzieży, lecz słowem nie wspomniała o Zanie ani o niebezpieczeństwie, w jakim się znajdowała.

Po raz pierwszy w życiu Cissie czuła się zabezpieczona finansowo. Od razu zaczęła inaczej wyglądać i miała zupełnie inny nastrój. Wybrała się na Hawaje i spotkała tam wdowca z Cincinnati, przysadzystego wytwornego właściciela księgarni. Zaczął mówić o przeniesieniu się do Cleveland i Kelly widziała, że matka po raz pierwszy od lat czuje się bezpiecznie u boku mężczyzny.

Kelly skończyła swoje bajki. Bardzo się nad nimi napracowała, dbając o to, by każda z nich nasycona była uczuciem i niosła mądre przesłanie. Zanosilo się na to, że książka bardzo szybko się sprzeda. Pierwsze recenzje miała wspaniałe i nawet nazwano ją „urzekającą współczesną klasyką dla dzieci”.

Kelly powinna więc tryskać szczęściem: Cissie zaczynała sobie

układać nowe życie, ona dokonała tego, o czym marzył Jimmie i ona sama - książka odniosła sukces. Lecz mimo to nie czuła się szczęśliwa. Od pobytu w Arkansas minął blisko rok, a jednak niej przestała myśleć o Zanie. Nadal nie mogła sobie wybaczyć, że z takim snobizmem skrytykowała jego książki. Teraz znała je wszystkie i miała już absolutną pewność, że to świetny pisarz, a może nawet i wielki. Nawet Cissie przychyliła się do tej opinii, bo przeczytała „Jej demonicznego kochanka”.

Jeszcze bardziej Kelly nie potrafiła sobie wybaczyć tego, że uwierzyła we wszystkie kłamstwa Mavis na temat Zane'a. Były tak perfidne, że nie tylko oddaliły ją od tego świetnego mężczyzny, lecz w efekcie odsunęły również jego od niej. Wciąż wydawał jej się bliski, widziała jego twarz, czuła dotyk jego rąk, jego ciała.

Myślała z goryczą o tym, że Mavis zatruchiwała nie tylko jej organizm, lecz także jej myśli, a tym samym zatruchiła znajomość, która mogła się rozwinąć w coś cudownego.

Często jednak rozmyślając tak miała wątpliwości, czy Zane kiedykolwiek mógłby ją też naprawdę pokochać. Przecież uważał, że jest za młoda, za głupia, sprawia zbyt wiele kłopotów. Przez te wszystkie miesiące ani razu się nie odezwał. Ona też nie dała znaku życia. Za bardzo się wstydziła.

Dnie spędzała głównie na pracy. Zaczęła pisać nową książkę, w której po raz pierwszy porwała się na bardzo trudną formę przeplatania fantazji z rzeczywistością.

Któregoś ciepłego kwietniowego wieczoru Cissie wybrała się ze swoim przyjacielem do teatru. Kelly została w domu i pracowała przy swoim biurku.

Nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Ponieważ miały w sąsiedztwie kilka zaprzyjaźnionych osób, które często wpadały wieczorami, Kelly wcale nie była tym zdumiona. Wsunęła ołówek za ucho i poszła otworzyć. Miała na sobie dzinsy i bladożółty sweterek, włosy splecione w warkocz francuski niesfornie opadały jej na kark.

Otworzyła zamasyście drzwi. Właśnie miała wypowiedzieć rutynowe słowa powitania, gdy stanęła jak wryta.

Na progu, na tle ciemniejącego wiosennego nieba, stał Zane. Patrzyła na niego, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Ubrany był w ciemne spodnie i ciężki sweter koloru miedzi. Wyglądał w nim jeszcze masywniej i potężniej. Stał jak zwykle swobodnie, z rękami w kieszeniach, lecz wyraz jego twarzy przeczył tej nonszalancji.

Jak dobrze pamiętała tę twarz, te głęboko osadzone oczy. Włosy wydawały jej się dłuższe i odrobinę ciemniejsze, nie tak wyblakłe od letniego słońca. Patrzył jej w oczy potrząsając głową, jakby miał jakieś wielkie zmartwienie.

- Zane? - w końcu wydobyła z siebie głos. - Prześladowały mnie wizje - powiedział głosem przepełnionym bólem.

- Co? - spytała cicho. Serce podskoczyło jej do gardła.

- Prześladowały mnie wizje - powtórzył. - Twoje wizje. Jakbyś była pięknym duchem, którego nie mogłem odegnąć.

Była tak zdumiona, że miała wrażenie, iż się przesłyszała.

- Ja... ja... - zająknęła się, przekonana, że śni. - Wejdiesz do środka?

- Nie - odparł - chcę, byś ty wyszła na dwór. Chyba tutaj to pierwszy wiosenny wieczór. Chodź go powitać. Chodź powitać go ze mną.

Skinęła głową, jakby przykuta do niego wzrokiem. Wyciągnął rękę, a ona wsunęła w nią dłoń. Poczowała ciepło i siłę. Wyprowadził ją na ganek. Z boku rosły dorodne, stare drzewa i kwili cudowny bez. Zane przystanął i wziął w ręce jej drugą dłoń, patrząc jej w oczy długo i przenikliwie.

- Słyszałem, że twoja książka jest dobra - rzekł i przez twarz przemknął mu miły, ale jakby zaprawiony goryczą uśmiešek. - Odniosłaś zwycięstwo. Udało się. Jestem z ciebie dumny.

- Dzięki - powiedziała drżącym głosem. Była tak szczęśliwa, że go widzi, iż wydawało jej się to aż nieprawdopodobne. - To dzięki tobie.

- Właściwie to bała się, że Zane zaraz znów zniknie z jej życia, jak najszybciej więc chciała mu wszystko powiedzieć.

- Myślałam, że nigdy ci nie wybaczę tej twojej przemowy na temat mojego pisania, ale miałeś rację. Należało mi się to, co powiedziałaś.

- Powiedziałem dużo rzeczy. Myślałem, że nigdy mi nie wybaczysz. - Ścisnął mocniej jej dłonie.

- Oboje powiedzieliśmy różne rzeczy - zauważyła.

- Czy było tego za wiele? - spytał, gotów się uśmiechnąć. - Tak wiele, że nie da się tego naprawić?

- Mam nadzieję, że nie. - Zagryzła wargę, modląc się, żeby to okazało się prawdą.

Przyciągnął ją do siebie. Jakże cudownie poczuła się w jego ramionach.

- Jestem od ciebie o wiele starszy - zaczął poważnym tonem. - I bardzo przypominam Jimmie'ego. To ślady po Wietnamie. I po tym, co stało się z moimi rodzicami. Lubię spokojne życie. Żyję sam, mam określone przyzwyczajenia. Zbyt często chodzę na ryby i zbyt często rozmyślam o wampirach i duchach. Chyba nie jestem zbyt atrakcyjny jako towarzysz. Mam pieniądze, ale lubię proste życie, więc często nie wiem nawet, na co je wydawać. Mam wszystko, czego mi potrzeba. Wszystko na świecie. Prócz ciebie. - Zaśmiał się jakby z siebie. - Tak, prócz ciebie. Próbowałem wszystkiego, by przestać o tobie myśleć. Najpierw byłem oburzony, że uwierzyłaś w te bzdury wymyślane przez Mavis. Nie mogłem zrozumieć, dlaczego je wymyśliła... i dlaczego ty tak od razu w nie uwierzyłaś.

- Też nie wiem, jak to się stało - powiedziała ze łzami w oczach i uchwyciła się wysoko jego ramion, wciąż się obawiając, że nagle zniknie.

- Nie płacz - mruknął i wytarł jej łzy. - Teraz już to rozumiem. Opowiadałem ci kiedyś o moim ojcu? Jak go postrzelono i tak dalej? Otóż jedną z osób, które to zrobiły, była Mavis. Na pewno nie mogła zapomnieć mojego nazwiska, to znaczy nazwiska ojca, człowieka, przez którego siedziała w więzieniu. Było to prawie dwadzieścia lat temu, ale mogła się bać, że ja też ją sobie przypomnę.

- A więc była w tym samochodzie, w którym siedziały dwie osoby zatrzymane przez twojego ojca? I miała czelność znów się pokazać w twojej okolicy?

- Wydaje się to dziwne. - Potrząsnął głową. - Ale jak oboje dobrze

wiemy, rzeczywistość często przerasta fantazję. Tacy ludzie jak Mavis krążą po swoich ścieżkach, mają swoje rewiry. Mavis krążyła po Teksasie, Arkansas, Missouri, Tennessee. Poza tym mogła liczyć na to, że się zmieniała przez te lata. I rzeczywiście. Rozpoznał ją dopiero szeryf Barnstable. Od tamtego czasu zmieniała z setkę pseudonimów.

- Westchnął głęboko, jakby trudno mu było dalej mówić. - Ja... ja dowiedziałem się o tym dopiero w ubiegłym miesiącu. Powiedział mi właśnie Barnstable. Kiedy poprzedniego lata zaprzyjaźniła się z Jimmim, mnie nie było nad jeziorem. Ale następnego, kiedy przyjechałaś ty, przecież byłem. Musiała się przestraszyć, że ją zdekonspiruję. Dlatego wymyśliła te kłamstwa.

- Nie miałam jednak prawa jej od razu wierzyć - powiedziała Kelly czując, że w jego ramionach dziwnie kręci jej się w głowie. - Nie powinnam w to uwierzyć tak bez żadnych zastrzeżeń.

- Oj, Kelly - szepnął, biorąc ją pod brodę. - Nie rozumiesz tego? Ta kobieta rzucała urok. Naprawdę rzucała urok. Od Jimmie'ego wyciągnęła wiele informacji, a kiedy zobaczyła ciebie, od razu zorientowała się w twoich słabostkach. Bo to jej zawód: poznawanie czyichś słabostek. Nie życzyła sobie, bym pokrzyżował jej plany, no więc wymyśliła kłamstwa, które miały zrobić na tobie wrażenie. Po prostu nacisnęła w tobie odpowiednie guziki, żeby nas rozdzielić.

- No dobrze, ale jak mogła to wszystko tak szybko wymyślić?

- Przecież, jak mówiłem, to jej zawód. Szybkie ruchy, szybkie uderzenia w słabe punkty, udawanie, manipulowanie. Tak, byłem oburzony, że jej uwierzyłaś, ale kiedy się dowiedziałem, kim ona jest naprawdę, zrozumiałem, jakimi kłamstwami musiała cię faszerować. Poza tym zrozumiałem, że właściwie to najbardziej oburzało mnie nie to, że jej uwierzyłaś.

Spojrzała na niego pytająco, wpijając się palcami w jego ramiona.

- W końcu więc zrozumiałem - mówił dalej z ogromną powagą - że właściwie byłem oburzony głównie tym, że nie chciałem się zakochać... ani odrobinę, a właśnie się zakochałem. W tobie. Przez prawie rok usiłowałem to w sobie stłumić, ale się nie udało.

- To prawda, nie udało się.

Rozumiała to dobrze i teraz mogła już odetchnąć z ulgą.

- Już kiedyś ci mówiłem - ciągnął, a na jego twarzy malował się jakiś bolesny wyraz - mówiłem ci, że każdy się czegoś boi. Ja bałem się uczucia do kogoś i tego, że na kimś by mi zależało. Nigdy nie chciałem, żeby ktoś się naprawdę do mnie zbliżył. Zwłaszcza po Wietnamie, po tym roku w moim życiu, kiedy to wszystko się zdarzyło. Czułem się tak, jakby częścią mnie umarła. Ale ty ją od nowa ożywiłaś. Nie mogłem pozwolić, by Mavis znów ją we mnie zabiła. I nie pozwolę. Kocham cię, Kelly.

Była tak wzruszona, że nie mogła wydobyć z siebie słowa. Powiał chłodny wietrzyk, zaczęła drżeć.

- Dlaczego drżysz? - spytał, obejmując ją jeszcze mocniej. - Zimno ci?

- Nie, boję się, że znów znikniesz jak jakieś przelotne zjawisko - odparła, dygocąc. - Że to sen, że wcale cię tu nie ma i wcale nie powiedziałaś tego wszystkiego.

- Nie jestem duchem. Jestem mężczyzną z krwi i kości. - Pochylił się, by ją pocałować.

Zarzuciła mu ramiona na szyję, spragniona jego dotyku, jego objęć, bliskości jego ciała. Całował ją czule i gwałtownie, aż świat dookoła przestał istnieć i odczuwała tylko szczęście i pragnienie. W końcu opanował się, odsunął odrobinę od niej i uśmiechnął.

- Mogłabyś się nauczyć spokojnego, bardzo cichego życia na osobności w Arkansas?

- Już się go nauczyłam - odparła ze śmiechem.

- I od razu je pokochałam. Teraz bardzo tęskniłam za nim.

- Mogłabyś żyć z mężczyzną o głowie pełnej fantazji na temat wilkołaków i doborowych duszków?

- A mógłbyś żyć z kobietą - mocniej zacisnęła mu ramiona na szyi - której głowa zawsze będzie pełna fantazji o biedronkach i krasnoludkach?

- Będziemy chodzić po domu zagubieni we własnych, osobnych światach i co pewien czas będziemy na siebie wpadać.



- Brzmi to cudownie - powiedziała, uśmiechając się ze szczęścia. - Już nie mogę się doczekać, kiedy zacniemy na siebie wpadać. I chcę, by to trwało do końca życia.

- Aha, musisz wiedzieć, że znalazłem opiekunów dla tych piekielnych kotów. Trudniej mi to szło niż napisanie tysiącstronicowej powieści, ale udało się.

- Wiedziałaś, że się uda. Potrafisz dotrzymać słowa. A co z psem?

- To dłuższa historia - zasepił się.

- Coś mu się stało? - spytała przestraszona. - Och, proszę cię, powiedz, że nic.

- Stało się tylko to, że zatrzymałem go dla siebie.

- Cmoknął ją w nos. - Pozostałe moje psy nie chciały mi tego wybaczyć i pewnie nigdy nie wybaczą. Cały czas tańczy wokół nich i usiłuje je całować. Mają tego dosyć.

- Zatrzymałeś psa?! - wykrzyknęła zachwycona.

- Nie potrafiłem go nikomu oddać. Przypominał mi Jimmie'ego, no i ciebie. - Twarz mu spochmurniała.

- Oj tak, zbyt dobrze i zbyt często przypominał mi o tobie. Całymi dniami. Dzień w dzień. Cały czas zadawałem sobie pytanie, co zrobić z tym głupim psem. Przecież, mówiłem sobie, on potrzebuje kogoś zupełnie innego. Wiedziałem nawet kogo, bo potrzebowałem tej samej osoby. Czyli ciebie. Przyjechałem więc tutaj. W końcu ten pies na coś się przydał.

- Zawsze się przydawał - przekomarzała się z nim, całując go w brodę. - Zawsze go można było kochać.

- Tak, zgadza się. - Pogłaskał ją po włosach. - Och, Kelly, tyle razy mi się śniłaś, tyle razy sobie wyobrażałem ciebie. I to wcale nie w jakichś okropnych scenach... W zupełnie niewinnych...

- Ja też często sobie wyobrażałam, jak ty i ja... - przyznała. - I to wcale nie w dziecinny sposób.

- No to sprawdźmy, na ile te wyobrażenia są zgodne z rzeczywistością - zaproponował, pochylając się nad nią. - Chyba takie postawimy przed sobą zadanie, prawda?

- Tak, zostaliśmy do niego stworzeni - powiedziała i zatopiła się w

**czarownym świecie jego pocałunków.**

RS